NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I ZESZYT I

STANISŁAW KOT
ANTONI SŁONIMSKI
KAROL ESTREICHER
MARJA KUNCEWICZOWA
STANISŁAW BALIŃSKI
OLGIERD GÓRKA
FELIKS TOPOLSKI
MARJA PAWLIKOWSKA
TYMON TERLECKI
STEFANJA ZAHORSKA
EUGENJUSZ CĘKALSKI
JERZY KUNCEWICZ
LUDWIK GROSFELD
ZYGMUNT HŁADKI
H. G. WELLS

LONDYN
1942


POLISH STEAMSHIP AGENCY LTD.
Plantation House,
Fenchurch Street,
-LONDON, E.C.3-

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND
MONTHLY
MARCH—APRIL

ZESZYT I

STANISŁAW KOT

ANTONI SŁONIMSKI

KAROL ESTREICHER

MARJA KUNCEWICZOWA

STANISŁAW BALIŃSKI

OLGIERD GÓRKA

FELIKS TOPOLSKI

MARJA PAWLIKOWSKA

TYMON TERLECKI

STEFANJA ZAHORSKA

EUGENJUSZ CĘKALSKI

JERZY KUNCEWICZ

LUDWIK GROSFELD

ZYGMUNT HŁADKI

H. G. WELLS

LONDYN
MARZEC—KWIECIEŃ
1942

Published by
NOWA POLSKA
91, Great Titchfield Street,
London, W.1
Phone: MUSeum 2077-8-9



STANISŁAW KOT.

NAUKA POLSKA W OKRESIE ROZBIORÓW.

" Upaść może nawet naród wielki, zginąć tylko nikczemny " —tak pouczał Polaków, których fakt rozbioru przejmował zwątpieniem, Stanisław Staszic, pierwszy reprezentant plebeuszów w życiu politycznym narodu. Rzeczywiście było wiele powodów do zwątpienia nawet dla najbardziej niezłomnych, gdy trzej zaborcy Polski sprzysięgli się, by po zniszczeniu Państwa wygładzić kulturę, język, piśmiennictwo, świadomość, nawet samo imię Narodu Polskiego.

Pamiętać należy, że odrodzenie umysłowe Narodu, trwające lat 20-cia, reforma szkół i nauk zainicjowana przez Komisję Edukacji Narodowej dokonywało się tylko na tym terytorium Rzeczypospolitej, które ocalało po pierwszym rozbiorze. Natomiast ogromne prowincje, wówczas stracone, nie przeszedłszy wstrząsu reformy, poddane zostały przez zaborców bezzwłocznemu wynaradawianiu. A raczej degradacji kulturalnej.

Najgorzej działo się w zaborze austriackim, nazwanym Galicją, gdzie blisko przez lat sto Austria utrzymywała kraj w nędzy materialnej i duchowej, usiłując—zresztą bezowocnie—stłumić polskie poczucie narodowe. Zamknięto wszystkie szkoły polskie, razem z Akademią w Zamościu, zasypano kraj nasłanymi urzędnikami, którzy usilnie starali się go germanizować. Dla tegoż celu założono niemiecko-łaciński uniwersytet we Lwowie, o bardzo niskim poziomie naukowym, z zamiarem wychowywania urzędników i kleru na podstawie zgóry przepisanych podręczników.

Tę samą bezwzględność germanizacyjną okazali Prusacy na przypadłych im ziemiach polskich. Już zająwszy od Austrii polski Śląsk Fryderyk II. zakazał wstępu do szkół średnich dzieciom stanów niższych, więc dzieciom polskim, bo Polacy wówczas już nie mieli na Śląsku ani szlachty ani patrycjatu miejskiego, a zakazał przy szkołach miejskich utrzymywać nauczycieli polskich. Zabrawszy Polsce Prusy Zachodnie i część Wschodnich (Warmię), zlikwidował kolegia polskie, a stworzył dla germanizacji szkołę kadecką w Chełmnie: gdy szlachta—z obawy przed wynarodowieniem—nie chciała tam oddawać synów, polecił wykradać dzieci ubogiej szlachty kaszubskiej dla zapełnienia szkoły. Zająwszy wreszcie największą część Polski z Warszawą, zaczęły Prusy od zniszczenia dzieła Polskiej Komisji Edukacyjnej i zaboru polskich fundacyj. Mimo, że nawet czołowi pedagogowie pruscy stwierdzili doskonałą organizację, programy i podręczniki Komisji Edukacyjnej, zakazano ich stosowania, ilość szkół zmiejszono do kilku

i narzucono im niemiecki język i podręczniki. Młodzież polską zaczęto wysyłać na studia do uniwersytetów pruskich, które za to subwencjonowano z Polskiego Funduszu Edukacyjnego. Jedynym ustępstwem dla polskości było zezwolenie na utworzenie polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, złożonego z erudytów antykwarystów, przy udziale nawet kilku generałów pruskich.[1] Rosja ziemie Polsce zabrane też zdecydowała się wynaradawiać, ale przy swym niskim stanie kulturalnym nie miała ich ani kim ani czym rusyfikować. Zabrane przez nią Kolegium Jezuickie w Połocku carowa Katarzyna pozwoliła przemianować na akademię, aby przez powolnych sobie Jezuitów, których uchroniła od kasaty papieskiej, doprowadzić do schizmy katolickiej. Ta akademia choć rusofilska, z języka i ducha polska, była w ówczesnej Rosji wybitnym ogniskiem nauki. Po rozbiciu powstania Kościuszki wywieziono do Rosji wiele polskich zbiorów i archiwów wraz z całą Biblioteką Załuskiego, ale przez kilka pokoleń nikt nie umiał zbiorów tych uporządkować i uruchomić, choćby dla dobra nauki rosyjskiej. Przypadł też Rosji Uniwersytet w Wilnie; kosztem utraty jego autonomii powiodło się Polakom ocalić go przed zamknięciem u cara Pawła; ten jednak chciał go poddać pod zwierzchnictwo Jezuitów w Połocku; protestujący przeciw temu rektor Strojnowski otrzymuje karę aresztu o chlebie i wodzie, ale zamordowanie Pawła uchyliło niebezpieczeństwo i otwarło niespodziane widoki Uniwersytetowi w Wilnie. Car Aleksander I. z jednej strony chciał sobie zjednać Polaków przeciwko rosnącej popularności Napoleona, z drugiej rozumiał trudności rusyfikacji Polaków; jeszcze w r. 1808 na 8.737 uczniów szkół średnich w okręgu wileńskim w całej reszcie ogromnej Rosji było ich zaledwie 6.916. Pod wpływem księcia Adama Czartoryskiego zdecydował się Aleksander oprzeć nowoczesną organizację rosyjskiego szkolnictwa właśnie na wzorze i doświadczeniach polskiej Komisji Edukacyjnej.

Rosję podzielono na okręgi szkolne, które poddano kierownictwu uniwersytetów; wszystkie ziemie zabrane Polsce stanowiły okręg wileński pod kuratorem Czartoryskim; także kuratorem Ukrainy Zadnieprzańskiej został Polak—Seweryn Potocki, założyciel Uniwersytetu w Charkowie, obsadzonego w znacznej mierze przez Polaków z braku innych sił naukowych. Tak Uniwersytet Wileński mógł stać się w tych ponurych czasach jedynym ośrodkiem nauki polskiej, obok niego uczony prawnik i historyk Czacki otrzymał pozwolenie założenia liceum na Wołyniu w Krzemieńcu, które stało się ogniskiem

[1] Towarzystwo to po ucieczce Niemców z Warszawy, niebawem stało się ważnym ośrodkiem pracy naukowej, dając inicjatywę do rozległych badań historycznych, językowych (Linde) i slawistycznych.

nauki dla Ukrainy Przeddnieprzańskiej. Najwyżej stanęły w Wilnie nauki ścisłe, w których przodowali dwaj bracia Śniadeccy, Jan, matematyk i astronom i Andrzej, wychowanek uniwersytetów w Pavii i Edynburgu, lekarz i chemik, autor samodzielnej "Teorii jestestw organicznych," tłumaczonej na język niemiecki i francuski. Botanikę reprezentował wybitny uczony Jundziłł. Zwłaszcza fakultet medyczny był chlubą Uniwersytetu. W naukach humanistycznych przodowali : Groddeck, filolog klasyczny, inicjator kierunku t.zw. neo-humanistycznego w Polsce oraz historyk Lelewel. Wilnu zawdzięcza nauka polska własną terminologię w chemii, fiziologii, zoologii, mineralogii, medycynie. Duch gruntownej nauki stworzył nowoczesne seminaria, instytuty i gabinety naukowe. Uniwersytet urządzał publiczne posiedzenia naukowe i założył pierwsze polskie czasopismo, wyłącznie poświęcone nauce " Dziennik Wileński." Wysoki poziom Uniwersytetu imponował Rosji, ale zarazem budził zazdrość ministrów reakcyjnych. " O, Ojczyzno prawych studentów, Getyngo, Wilno i Oxfordzie ! U was nie może dostać patentów głupiec, hultaj lub niecnota "—śpiewał rosyjski poeta Poleżajew w poemacie " Sasza."

Atmosfera Uniwersytetu była przepojona duchem liberalizmu. Niezwykłą w niej rolę odegrała młodzież, zwłaszcza w latach 1816-24 : było to najzdolniejsze pokolenie młodzieży polskiej, jakie kiedykolwiek się pojawiło. W poufnym kontakcie z siecią związków studenckich, które w Europie powstawały dla obrony przed reakcją Świętego Przymierza, w Wilnie powstały stowarzyszenia młodzieży, szersze filaretów i bardziej zamknięte filomatów ; celem ich było : Ojczyzna, nauka, cnota. Dochowały się w ukryciu protokóły ich posiedzeń i prac, z których widać jak wszechstronne i głębokie były zainteresowania naukowe tej młodzieży (ekonomia, statystyka, etnografia, historia, estetyka itd.), owiane ideą służby Ojczyźnie, postępu etycznego, oświaty powszechnej i emancypacji mas ludowych. Z tej młodzieży z Adamem Mickiewiczem na czele wyrosły szczyty poezji polskiej, obfita twórczość literacka i naukowa oraz pełna poświęcenia działalność patriotyczna. Postępująca w Rosji reakcja uderzyła w tę młodzież i w Uniwersytet, ograniczając samorząd i poddając zarówno młodzież jak i profesorów pod nadzór policyjny : miarą tego może być usunięcie—wśród wielu innych—profesora filozofii Gołuchowskiego, ponieważ przy wykładach filozofii zdaniem nadzorującego agenta używał zbyt wielu wyrazów cudzoziemskich. Przywódców młodzieży uwięziono, a potem wygnano w głąb Rosji.

Odblask rozkwitu Wilna podziałał ożywczo na życie umysłowe w stworzonym przez Napoleona z ziem polskich odebranych

Prusom—Księstwie Warszawskim. Powstała tam natychmiast polska Izba Edukacyjna, która bezzwłocznie spolszczyła szkoły istniejące, stworzyła rozległą sieć nowych, ale dla nauki wiele zdziałać nie mogła z powodu ustawicznych wojen. Dopiero po stworzeniu przez Kongres Wiedeński t.zw. Królestwa Kongresowego powstał w r. 1816 Uniwersytet w Warszawie. Jakkolwiek wyposażony materialnie nieźle, nie mógł się odrazu wybić pod względem naukowym, zaćmiony przez świetne Wilno: brak mu było tradycji naukowej i przyświecały mu zbytnie tendencje utylitarystyczne, zwłaszcza potrzeba wykształcenia urzędników dla młodego organizmu państwowego. Również potrzeby państwowe wpłynęły na rozwój wyższego szkolnictwa specjalnego. Powstają wyższe szkoły: górnicza, leśna, rolnicza z weterynarią, wreszcie Szkoła Przygotowawcza do Instytutu Politechnicznego. Rzecz znamienna—młodzież szlachecka nie garnęła się do tych szkół, pozostawiając je warstwie plebejskiej.

Założono także Szkołę Rabinów, w której wykształciło się wielu światłych obywateli żydowskich, ale ani jeden rabin, gdyż zacofana masa żydowska nie chciała na to stanowisko powoływać wychowańców zakładów publicznych.

Inicjatorem zarówno Uniwersytetu Warszawskiego, jak wszystkich szkół specjalnych—był Stanisław Staszic, który również prezydował w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Był to istotny motor życia naukowego, jakkolwiek na stanowisko szefa Komisji Rządowej Wyznań i Oświecenia Publicznego wysunięty był minister Stanisław Potocki, zresztą przyjaciel Staszica i—jak on—liberał. Wpływowi Staszica głównie zawdzięczała ówczesna nauka polska zwrot do badań przyrodniczych. On sam, niegdyś uczeń Buffona, długie lata strawił na badaniu struktury geologicznej Polski z szczególnym uwzględnieniem jej gór, czego wyrazem było wielkie dzieło "O ziemiorodztwie Karpat i innych gór i równin polskich" (1815 r.) z dodaną mapą geologiczną całej Polski i krajów przyległych. Pierwszy on zwrócił uwagę na osobliwość Tatr. Jak trafne były jego metody obserwacyj, dowodziły symbole w mapie geognostycznej, wyrażające wysokość poszczególnych punktów nad poziom morza: wszystkie te określenia w liczbie około 2,000 zostały wykonane na podstawie własnych jego barometrycznych pomiarów, tak że na ich podstawie wykonano sto lat później mapę hypsometryczną ziem polskich. Wysokie przygotowanie naukowe w zakresie mineralogii okazały studia Borkowskiego o Wezuwjuszu (1816 r.) Głęboką wiedzę matematyczną—prace Hoene-Wrońskiego, wydawane we Francji. Dowodem wysokiego znawstwa pod względem geograficznym, obyczajowym i religijnym były studia podróżnicze

Jana Potockiego z Azji i Afryki, Wacława Rzewuskiego (wydawcy czasopisma " Mines d'Orient ") z Arabii, Aleksandra Sapiehy o Słowianach bałkańskich. Ówcześni badacze polscy stworzyli podwaliny słowiano-znawstwa, zwłaszcza W. Majewski W. Surowiecki, a Chodakowski w zakresie folkloru, obyczaju, twórczości, siedzib; Rakowiecki, a po nim Maciejowski, w w zakresie prawoznawczym.

Oczywiście najbardziej pociągała uczonych polskich własna ojczyzna i jej przyszłość oraz znamiona charakterystyczne. Wytężając wszystkie siły ku odzyskaniu niepodległości, traktowano i naukę jako rodzaj oręża. Miała się ona przyczynić do uratowania od zagłady szczątków bytu narodowego, zachowania indywidualności, wyświetlenia jego przeszłości. Na pierwszy plan zatem wybiły się prace historyczne, badające nietylko dzieje polityczne, ale i kulturalne (Kołłątaj), prawne (Czacki), literackie (Bentkowski), wyznaniowe (Ossoliński). Etnografia, pieśn ludowa, muzyka własna—pociągały badaczów, z tego pędu wyrosła także twórczość muzyczna Szopena. Nie był to jeszcze okres specjalizacji naukowej: geolog, geograf, etnograf, historyk—zajmują się również poezją i piśmiennictwem różnorodnym, co jeszcze i w następnym pokoleniu cechować będzie naukę polską. Ten pewnego rodzaju dyletantyzm często nie obniżał naukowej wartości ich dzieł, ale był przyczyną, że dzieł tych nie było wiele, że życie uczonego rozszczepiało się wielostronnie na usługach sprawy narodowej.

Reakcja despotyczna w Rosji poczęła odbierać Polakom ich uprawnienia, zapewnione przez Kongres Wiedeński, odbijała się też niezwykle dokuczliwie w dziedzinie nauki i szkół, wywołując opozycję, a nawet spiski wśród młodzieży. Młodzież też uniwersytecka była czynnikiem, który najbardziej wpłynął na wybuch powstania w 1830 r. przeciw Rosji. Po jego klęsce karą dla Polaków było nietylko odebranie resztki swobód politycznych, ale i zniszczenie wszelkich polskich dóbr kulturalnych, a więc zamknięcie uniwersytetów w Wilnie i Warszawie, liceum w Krzemieńcu, (przeniesiono jego zbiory i profesorów do Kijowa, co było początkiem powstania tamtejszego uniwersytetu rosyjskiego), zniesienie polskiej sieci szkolnej w 8-miu guberniach na ówczas rosyjskich, zamknięcie wszystkich towarzystw naukowych i oświatowych oraz czasopism, wywiezienie do Rosji największych dwuch bibliotek warszawskich, uniwersyteckiej i Towarzystwa Przyjaciół Nauk oraz wielu zbiorów z Wilna. W wspomnianych guberniach nakazano bezwzględną rusyfikację żywiołu polskiego, w Królestwie Kongresowym, gdzie nie było żadnego Rosjanina, poznoszono wiele szkół, w istniejących obniżono poziom, fundusze edukacyjne przeznaczono na budowę cytadeli w Warszawie, symbolu

ujarzmienia Polaków, a wreszcie poddano szkoły pod rosyjskie ministerstwo oświaty, przykuwając je do urządzeń zacofanych w Rosji. Aby znikąd nie można czerpać wiedzy, zakazano przywozu naukowych książek z zagranicy i wyjazdu młodzieży na studia do obcych krajów. Taki stan rzeczy trwał około lat 30 i przyczynił się do bolesnego obniżenia poziomu kulturalnego Polaków. W zaborze austriackim nadal trwała germanizacja, a na ruchy demokratyczne i wolnościowe studentów lwowskich odpowiedział rząd austriacki w r. 1848 zbombardowaniem Uniwersytetu i spaleniem Biblioteki Uniwersyteckiej, która zawierała wielkie skarby, zebrane ze skasowanych klasztorów polskich. Wolne Miasto Kraków, które mimo wielkiej biedy materialnej utrzymywało w tym okresie jedyny uniwersytet, w którym wykładano w języku polskim, zostało zabrane przez Austrię, uniwersytet zgermanizowano, a wybitni uczeni usunięci lub przeniesieni w głąb Austrii. Przykład Rosji zachęcił Prusy do odbierania Polakom w dziedzinie szkoły i języka tych uprawnień, które mieli pod ochroną traktatu wiedeńskiego. Ludności polskiej w Prusiech Zachodnich i Wschodnich nie dano ani jednej szkoły polskiej, w Prusiech Wschodnich założono wprawdzie polskie seminarium nauczycielskie w Angerburgu, ale jedynie dla młodzieży niemieckiej, aby ją przygotować do skuteczniejszej propagandy niemieckości wśród t.zw. Mazurów. Dopiero od r. 1840, gdy się rozluźniła przyjaźń Prus z Rosją, nastąpiło złagodzenie kursu antypolskiego. Pojawiają się publiczne wykłady naukowe w języku polskim, Dr. Marcinkowski zakłada Towarzystwo Pomocy Naukowej dla wydobywania z ludu zdolnej młodzieży, powstają fundacje naukowe, nawet rząd pruski stwarza dwie katedry filologii słowiańskiej i polskiej, ale w Berlinie i w Wrocławiu. Bądź co bądź rozkwit nauki w Niemczech w atmosferze ówczesnych prądów liberalnych pozwolił Polakom zdobywać sobie wyższą wiedzę, dzięki której Wielkopolska mogła wytworzyć pewne życie naukowe, założyć kilka choć krótkotrwałych czasopism naukowych i ogłosić szereg wybitnych dzieł naukowych pióra współrodaków z innych dzielnic.

Nieliczne grono uczonych polskich schroniło się na emigrację, przeważnie do Francji, częściowo do Belgii, Niemiec i W. Brytanii. W Paryżu powstaje w r. 1838 Biblioteka Polska, w r. 1832 Towarzystwo Literacko-Historyczne (jego ekspozytura w Londynie 1839 r.), w 1859 r. Towarzystwo Lekarzy Polskich, po nim Towarzystwo Nauk Ścisłych, które ogłosiło 12 tomów prac matematycznych. Wielkie zbiory Czartoryskich z Puław, potajemnie wywiezione w r. 1831 przed konfiskatą, 50 lat pozostawały w schowaniu w Paryżu. Atmosfera emigracji, jak to zrozumiałe, pełna niesnasek politycznych, wysiłków zbrojnych

i nędzy materialnej—nie sprzyjała rozwojowi badań naukowych. Właściwie uchodziło za zaniedbanie interesu narodowego oddawanie się studiom oderwanym. Niesprzyjał im też ogólny prąd, który ogarnął serca i głowy Polaków i stworzył wielką poezję patriotyczną romantyzmu, który,wyżej stawiał dzieła serca i wyobraźni od dzieł rozumu, sprzyjał mistycyzmowi i marzycielstwu, a nie badaniom ścisłym. Największym uczonym polskim w dobie romantyzmu był znany już z Uniwersytetów w Wilnie i Warszawie historyk i geograf Lelewel. Jako członek powstańczego Rządu Narodowego 1831 r. musiał ujść na emigrację, gdzie był jednym z przywódców rodzącej się demokracji polskiej ; głęboko przywiązany do nauki pracował w Brukseli, żyjąc w nędzy, nad swymi dziełami numizmatologicznymi i wielką, swego czasu epokową, " Geographie du Moyen-age," honoraria otrzymywane od rządu belgijskiego ofiarowywał na uboższych od siebie emigrantów ; obfite jego dzieła z historii polskiej krzepiły ducha narodowego, a zarazem teorią o t.zw. gminowładztwie u pierwotnych Słowian budziły szacunek dla lekceważonej dotąd masy ludowej.

Zdolniejsze, dobrze do badań naukowych przygotowane jednostki, nie mając nigdzie oparcia o własne warsztaty pracy naukowej, rozpraszały się po świecie, wzbogacając obce piśmiennictwa. Najwięcej Polaków znalazło pracę w powstających świeżo uniwersytetach rosyjskich, kilku z rozproszonych z Wilna filomatów objęło katedry profesorskie np. Kowalewski—filologii klasycznej, Pietraszewski—orientalistyki (iranista). Niektórzy Polacy, nie chcąc żyć wśród społeczeństwa rosyjskiego, wybierali raczej studia orientalne (Aleksander Chodźko, później profesor College de France). Niektórzy powędrowali do dalszych części świata : Sir Paul Edmund Strzelecki badał konstytucję geologiczną Nowej Walii i Tasmanii (Physical description of New South Wales and Van Diemensland, London, 1845 r.), Ignacy Domeyko badał geofizykę Chile, gdzie wybudował koleje i był rektorem uniwersytetu w Limie.

Nieco opieki znalazła nauka u osób prywatnych : arystokraci, jak Raczyński, Działyński, Przeździecki—łożyli na wydawnictwo dzieł naukowych, niektórzy potworzyli wielkie fundacje publiczne ze swoich zbiorów, jak Ossoliński we Lwowie (1828 r.) Raczyński w Poznaniu (1829 r.), Krasiński w Warszawie (1844 r.). Do Warszawy przenieśli swe zbiory Zamoyscy, w Kórniku stworzyli muzeum i bibliotekę Działyńscy, we Lwowie muzeum przyrodnicze—Dzieduszycki, galerię dzieł sztuki—Lubomirski, bibliotekę—Baworowski. W Rapperswillu po r. 1864 zgromadził Plater cenne zbiory emigracyjne. Wszystkie te zbiory zawierały przedewszystkiem materiał historyczny oraz artystyczny, albowiem pragnęły

służyć utwierdzeniu uczuć narodowych, jeden tylko między nimi miał charakter przyrodniczy. Dodajmy do tego powstanie Towarzystwa Naukowego w Krakowie (1816 r.) i Towarzystwa Naukowego w Poznaniu (1857 r.), obydwa szybko otwarły wielkie zbiory z darów ofiarnej publiczności i podjęły serie wydawnictw naukowych. Wydawnictwa krakowskie, oparte o uniwersytet, dawały przewagę zagadnieniom przyrodniczym i medycznym, co w kołach gorętszych, jak niegdyś za Staszica w Warszawie, budziło niepokój i skargi.

Po r. 1860 przerywa się ta stagnacja życia naukowego na ziemiach polskich. Po wojnie krymskiej car Aleksander II. dał się przekonać zwolennikowi ugody polsko-rosyjskiej, margrabiemu Wielopolskiemu, do pewnych ustępstw w dziedzinie oświaty i nauki, ale tylko w granicach Królestwa Kongresowego. Zezwolił na powstanie polskiej Komisji Edukacyjnej (1861 r.) pod kierownictwem Wielopolskiego, który natychmiast zaczął organizować sieć szkół średnich i ludowych oraz stworzył w 1862 r. pod nazwą Szkoły Głównej[1] uniwersytet w Warszawie : obsadził jego katedry głównie sprowadzając z zaboru pruskiego młodych uczonych, wykształconych w uniwersytetach niemieckich. Wybuch powstania w 1863 r., krwawo stłumionego w Królestwie i na Litwie, spowodował zruszczenie szkół średnich oraz uniwersytetu. Osiem tylko lat istniał, ale zdołał wykształcić i natchnąć pędem do nauki wiele jednostek wybitnych, które w ciągu wieku XIX reprezentowały zarówno nauki humanistyczne, jak ścisłe w Warszawie. Uniwersytet odtąd rosyjski obsadzony został miernotami, dla których nie było miejsca w Rosji—uczeni polscy, niedopuszczani do katedr i laboratoriów, szukali oparcia w bibliotekach prywatnych, w szkolnictwie średnim i w prywatnej pracy zarobkowej jako urzędnicy bankowi lub kolejowi. Na Litwie rządy krwawego Murawiewa nie dopuściły do rozwoju ani badań, ani wydawnictw naukowych.

Represje rosyjskie znalazły natychmiastowe echo w zaborze pruskim, gdzie zwłaszcza od zwycięstwa nad Francją przyszedł okres długiej i systematycznej germanizacji. Usunięto język polski ze wszystkich szkół, niedopuszczono wyższego szkolnictwa dla Polaków nawet prywatnego, jedną wyższą Szkołę Rolniczą, jaką Polacy sobie założyli w Żabikowie, zamknięto w r. 1877. Czasy Bismarcka i t. zw. " Kulturkampfu " zmusiły Polaków do obrócenia całej energii ku obronie ziemi, języka i

---

[1]Z Szkołą Główną wiąże się najściślej rozbudzenie nowego ruchu umysłowego w dziejach kultury polskiej : pozytywizm warszawski był w lwiej części tworem ducha i wychowanków Szkoły Głównej. Był on zaś daleko silniej związany z odpowiednim ruchem angielskim (olbrzymia poczytność pism Spencera, Milla, Buckle, Drapera i Darwina wśród pozytywistów warszawskich), niż z francuskim czy niemieckim.

religii, na naukę nie było sił ani środków. Tylko światłemu klerowi zawdzięczało swój byt zawiązane w r. 1876 Towarzystwo Naukowe w Toruniu, które poczęło wydawać źródła i badania nad historią Prus polskich.

Obraz tej kalwaryjskiej drogi, jaką odbywała gnębiona nauka polska, okazuje, że warunki jej rozwoju były całkowicie zależne od sytuacji politycznej. Współdziałanie państw powoduje zawsze nowe represje wobec kultury polskiej, niesnaski wśród nich otwierają widoki lepsze. Klęski, poniesione przez Austrię, zmusiły ją do szukania ratunku przez nadanie jej ludom swobód konstytucyjnych, co otwarło Polakom w Galicji możność kulturalnego rozwoju. W r. 1867 uzyskują Polacy utworzenie Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie, która spolszczyła szkoły średnie, a stworzyła prawdziwą sieć wykształcenia powszechnego. Spolszczenie uniwersytetów w Krakowie i Lwowie od r. 1870 umożliwiło im postawienie badań naukowych na tak wysokim poziomie, że Ministerstwo Oświaty w Wiedniu, od którego bezpośrednio zależały, musiało liczyć się z ich wybitną wartością naukową. Społeczeństwo polskie otaczało je szacunkiem i polityczną opieką, wdzięczne nietylko za kształcenie szeregów inteligencji, ale zwłaszcza za stworzenie polskiej nauki, która poczęła zdobywać sobie uznanie w świecie. Do świetnego rozkwitu doszedł Uniwersytet Jagielloński, pomnażający stale swe katedry, zakłady i zbiory; w r. 1890 powiększył się o piąty wydział, rolniczy. Zasłynął zarówno naukami humanistycznymi, jak i ścisłymi. Jubileusz 500-lecia, święcony w r. 1900 przy współudziale delegacyj całego świata, był zarazem dowodem powszechnego uznania dla nauki polskiej. Powolniej postępował rozwój Uniwersytetu Lwowskiego, który nie miał ani tak starej tradycji, ani sprzyjającego naukom środowiska: jednakże energia profesorów i tłumny napływ młodzieży wyrobiły mu (po uzyskaniu w r. 1894 wydziału lekarskiego) równorzędne z Krakowskim stanowisko. Do grona szkół wyższych przybyła w r. 1894 Politechnika we Lwowie, przeistoczona z dawnej skromnej Akademii Technicznej; wnet chlubiła się dzielnymi fachowcami na katedrach inżynierii, mechaniki, architektury i chemii. Dodajmy utworzenie Akademii Rolniczej w Dublanach i Akademii Weterynarii we Lwowie.

Wspólnym wysiłkiem krakowskich i lwowskich uczonych powstała w r. 1873 najwyższa instytucja naukowa polska, Akademia Umiejętności w Krakowie, która skupiwszy około siebie uczonych także z innych zaborów, podjęła szereg wydawnictw naukowych i dawała inicjatywę do zorganizowanej pracy. Posiadała ona trzy wydziały: dwa humanistyczne, filologiczny i historyczno-prawny, a jeden tylko wydział matematyczno-

przyrodniczy. Ta nierównowaga płynęła częściowo z obawy osób wpływowych które wyjednywały u cesarza Austrii zgodę na jej powstanie, aby nie górowały gałęzie nauk, które ze stanowiska ortodoksji wyznaniowej budziły wątpliwości. Obok tego powstały naukowe towarzystwa specjalne: w 1867 r. Lekarskie, w r. 1868 prawnicze, w r. 1874—Towarzystwo Przyrodników imienia Kopernika: wszystkie one założyły własne czasopisma naukowe, a za nimi przyjdą Towarzystwo Historyczne z naczelnym organem Kwartalnik Historyczny i Towarzystwo Historyczno-Literackie ze swoim Pamiętnikiem Literackim. Siedzibą tych towarzystw i czasopism jest przeważnie Lwów, jako miasto wielkiej energii i ruchliwości. Liczne zjazdy naukowe odbywają się raczej w Krakowie, którego atmosfera starożytna, pełna powagi i spokoju, sprzyja wiedzy rzetelnej, objektywnej.

Dopiero ujęcie przez ręce polskie dwóch regularnych nowoczesnych uniwersytetów pozwoliło na skupianie uczonych przy warsztacie pracy i młodzieży przy gruntownych studiach, kładąc koniec dyletantyzmowi i dorywczości. Pęd do studiów był tak silny, że nie sposób było przy niezbyt hojnych środkach jakimi Austria wyposażała te uniwersytety, dostatecznie rozwinąć gabinety i laboratoria i znaleźć miejsce dla wszystkich chętnych. Społeczeństwo galicyjskie było niezmiernie ubogie, do tego między r. 1870-1890 gnębione dotkliwym kryzysem ekonomicznym. Ofiarność publiczna śpieszyła z rozlicznymi fundacjami stypendyjnymi dla studentów i zapisami dla Akademii Umiejętności. Uprzystępnienie studiów wraz z rozpowszechnieniem szkół pozwoliło dotrzeć ku nim nietylko synom szlachty i nielicznego zresztą bogatszego mieszczaństwa, ale po r. 1880 pojawiają się w pracy naukowej także nazwiska synów chłopskich.

Rezultaty badań osiągnięte w polskich zakładach naukowych, szybko poczynają wchodzić w ogólny dorobek nauki światowej. Jednakże nie bez trudności. Przywiązanie prześladowanego narodu do swego języka było tak wielkie, że uchodziło za obowiązek narodowy ogłaszać prace naukowe w języku własnym, co je czyniło niedostępnymi wobec obcych. Do znajomości szerszej dochodziły zaledwie studia filologiczne, ogłaszane po łacinie, albo streszczenia prac polskich, publikowane w czasopismach obcych, najczęściej niemieckich. Ale w tym wypadku nie zawsze świat dostrzegał, że to są rezultaty nauki polskiej, kładziono je na rachunek nauki austriackiej lub niemieckiej. Wskutek nieistnienia Państwa nawet na kongresach międzynarodowych nie chciano dopuścić, aby uczeni polscy występowali pod własną firmą narodową, z trudem zdołano zgodę na to uzyskać zaledwie od Międzynarodowego Kongresu

Nauk Historycznych, najtrudniej było bowiem oczywiście historykom nie wiedzieć o bogatej przeszłości polskiej i uporczywym utrzymywaniu się indywidualności narodu polskiego.

Brak warsztatów pracy naukowej dla Polaków w zaborze rosyjskim i pruskim oczywiście redukował do minimum szanse rozwoju nauki polskiej, wyjątkowe jednostki musiały emigrować i wsiąkać w naukę rosyjską albo niemiecką, albo jeszcze w innych krajach szukać możności pracy. Dzięki niemieckim nazwiskom dwaj Polacy uzyskali katedry filologii słowiańskiej w Niemczech, W. Nehring w Wrocławiu i Aleksander Brückner w Berlinie, jednakże swe prace w języku polskim musieli oni posyłać do druku do Krakowa, Lwowa i Warszawy. Całe działy nauki rosyjskiej przepełnione były Polakami, ale rzadko kto wiedział o ich narodowości. Tak np. naukowe badanie Syberii niezwykle wiele zawdzięcza wygnańcom polskim, których tam Rosja zsyłała za uczestnictwo w pracach patriotycznych (ornitolog Taczanowski, zoolog Dybowski, geofizycy Czekanowski i Czerski, antropolog Talko-Hryncewicz, geolog Bogdanowicz, podróżnik Grąbczewski, badacze języków szczepów mongolskich i syberyjskich Przewalski, Br. Piłsudski, Kotwicz i inni.) W Rosji sławę naukową zdobyli : anatom Leon Cienkowski, jeden z pionierów nauki o komórce, badacz pierwotniaków, językoznawca porównawczy Baudouin de Courtenay, filolog klasyczny T. Zieliński, filozof prawa Petrażycki.

To znów w Heidelbergu zdobył możność pracy zasłużony chemik J. W. Bruhl, w Berlinie badacz galwanoterapii Robert Remak oraz gwiazda aeronautyki niemieckiej Artur Benson, w Bonn pionier na polu cytologii roślin—Edward Strasburger, sławny z badań nad budową komórki, a w szczególności nad podziałem jądra komórkowego.

Nierzadkie są nazwiska na “ ski ” w nauce francuskiej, prehistoryk Zaborowski, znawca dialektów arabskich Motyliński, specjalista historii buddyzmu Przyłuski—są to jednak już synowie emigrantów polskich. Bezpośrednio po pierwszych studiach w Warszawie z Polski przybyła do Paryża Maria Skłodowska, która jako Madame Curie znana jest całemu światu. Badania geofizyczne i meteorologiczne Arctowskiego i Dobrowolskiego z wypraw arktycznych weszły w naukę belgijską, Czekanowskiego z Afryki Centralnej w niemiecką.

Niezwykłym objawem organizacyjnego wysiłku naukowego ze strony społeczeństwa ciemiężonego i kulturalnie spychanego w dół jest stworzenie w Warszawie w czasie największego ucisku rosyjskiego pewnego rodzaju towarzystwa naukowego pod zawoalowaną firmą, które wielką rolę odegrało wspierając studia laboratoryjne, archiwalne i przedsięwzięcia wydawnicze. Była to t. zw. Kasa Naukowa im. Mianowskiego,

stworzona w r. 1881. Pod pretekstem uczczenia pamięci Józefa Mianowskiego, ongiś profesora ginekologii w Wilnie, a potem rektora Szkoły Głównej w Warszawie, grono byłych uczniów tej Szkoły uzyskało możność zbierania funduszów na popieranie prac i wydawnictw naukowych, tak niewinnych, że nawet najczujniejszej policji rosyjskiej wydały się niepodejrzane. Ofiarność, jaką Polacy, rozrzuceni po całej Rosji, na Kaukazie i Uralu, darzyli tę Kasę i energia prywatnych uczonych w Warszawie, którzy starannie finanse i prace Kasy prowadzili, pozwoliły jej odegrać rolę niezmiernie wybitną w podtrzymywaniu dążności naukowych Polaków zaboru rosyjkiego. Wydała ona do wybuchu wojny światowej zgórą 1,000 tomów prac naukowych. Dla narodów, które wówczas w pełnym rozkwicie uniwersytetów, łatwo i naturalnie czerpały wiedzę i posuwały ją w bogato wyposażonych zakładach i laboratoriach, pozostanie niedość zrozumiana dola wielotomowego wydawnictwa Kasy pod charakterystycznym tytułem Poradnik dla samouków, prowadzonego przez lat 20-cia przez inżyniera Stanisława Michalskiego. Grube tomy owego Poradnika, zawierające zwięzłe wprowadzenie do wszystkich nauk wraz z szczegółową ich bibliografią, musiało żądnej wiedzy młodzieży polskiej zastępować seminaria i laboratoria uniwersyteckie, a wielu wybitnych później uczonych polskich podnietę i wskazówki przy pierwszych krokach swej pracy naukowej temu właśnie wydawnictwu zawdzięczało. Dawało ono przewagę naukom matematycznym i przyrodniczym zgodnie z duchem t. zw. pozytywizmu warszawskiego. Był to prąd, stanowiący reakcję przeciwko romantycznemu pojmowaniu świata, przeciwko przewadze pierwiastków uczuciowych, zwracający zamiłowanie młodzieży—zgodnie z wymaganiami ówczesnego życia gospodarczego—ku naukom ścisłym i technicznym.

Trzeba było gruntownej przemiany w myśleniu młodego pokolenia, ażeby i wiedzę ścisłą uznać za pełnoprawną w służbie narodowej. Uchodziło bowiem dotąd za kanon, że obowiązkiem wobec narodu jest rozwijać te nauki, które jak historia, literatura, językoznawstwo, etnografia, prawo, ekonomia, statystyka, lub badanie pod względem przyrodniczym własnego terenu—bezpośrednio przyczynią się do zwiększenia znajomości rzeczy ojczystych.

Na pierwszy plan niewątpliwie w dorobku nauki polskiej wysunęła się historiografia, mając licznych przedstawicieli i wiele pierwszorzędnych dzieł zarówno monograficznych, jak syntetycznych, jak i wydawnictw źródeł. Im bardziej wrogowie atakowali polskość, tym usilniej pielęgnowano historię ojczystą, mało garnięto się do dziejów powszechnych, rozpraszanie na nie sił uchodziło za zbytek intelektualny. Tym bar-

dziej, że brak lub niedostępność archiwów, już to wywiezionych, już to zazdrośnie zamykanych przez zaborców, pracę utrudniały. Było w polskiej twórczości historycznej wiele dzieł apologetycznych, broniących narodu i jego przeszłości, było to niezbędne dla podtrzymania wiary w sens egzystencji własnej, ale z drugiej strony śmiało można powiedzieć, że żaden naród nie poddał swej przeszłości tak bezlitosnej krytyce, jak historycy polscy. Jeśli w chwilach męczeńskiej ekstazy widzieliśmy w sobie naród wybrany, to w przystępie gryzącego żalu nie cofnęliśmy się przed najboleśniejszą analizą swoich błędów. Największym wydarzeniem w tej dyskusji były "Dzieje Polski" profesora krakowskiego Michała Bobrzyńskiego, głośnego później przywódcy partii konserwatywnej, t. zw. Stańczyków prezydenta Rady Szkolnej Krajowej, później namiestnika Galicji i ministra dla Galicji. Upatrywał on przyczynę upadku Polski nie tyle w zaborcach, co w braku silnej myśli państwowej i odpowiedniej organizacji, w braku silnej władzy, a wybujałości anarchii i indywidualizmu szlacheckiego. Krakowska Szkoła Historyczna przeciwstawiała dawnej lelewelowskiej, republikańskiej, kierunek konserwatywny: skupiła koło siebie większość historyków krakowskich i lwowskich, oparcie miała w Akademii Umiejętności (Szujski, Tarnowski, Helcel, Wojciechowski, Smolka, Ulanowski): opozycja przeciwko niej wyszła od historyków warszawskich (Korzon, Smoleński, Askenazy), którzy uwydatniali wielkie siły, tkwiące w odrodzeniu narodowym XVIII wieku i wykazywali wiarołomstwo trzech mocarstw rozbiorowych, których złączonej potędze Państwo Polskie nie mogłoby się samo, bez sprzymierzeńców, oprzeć. Ułatwieniem dla gruntownych studiów historycznych były ogromne przedsięwzięcia wydawnicze: Estreichera "Bibliografia Polska," obejmująca znakomicie opisane i scharakteryzowane druki przed r. 1800 wraz z zwięzłym spisem za w. XIX oraz Finkla "Bibliografia historii polskiej," obejmująca wszelkie wydawnictwa źródeł i studia krytyczne, nawet najdrobniejsze, do dziejów Polski się odnoszące, aż po r. 1815. Folklor polski zgromadził podczas wędrówek całego życia w dziele p.t. "Lud polski" Oskar Kolberg.[1] Język polski znalazł kilku znakomitych badaczów (Malinowski, Brückner, Rozwadowski). Zabytki dzieł sztuki na ziemiach polskich—historyków Łuszczkiewicza, Sokołowskiego, Antoniewicza, Mycielskiego. Historia literatury polskiej—całą rzeszę badaczy, z tych najwybitniejsi; Małecki, Brückner, Chmielowski, Chrzanowski, Bruchnalski. Zabytki prehistoryczne na ziemiach polskich—Deme-

[1] To wielotomowe wydawnictwo Kolberga stało się przedmiotem szczególnych poszukiwań hitlerowców w dzisiejszych bibliotekach polskich, którzy tą drogą starają się zniszczyć wszelkie ślady ludowej kultury polskiej.

trykiewicz, Krzywicki. Najznakomitsi z pośród badaczów filologii klasycznej—Morawski, Zieliński, Ćwikliński, Sternbach. Geografię ziem polskich i przyległych badali Zejszner, Nałkowski, Rehman, Romer. Strukturę geologiczną—obfite grono uczonych, przyczym wydatnie na poszukiwania naukowe wpłynęły potrzeby praktyczne, związane z pokładami nafty i węgla. Wysoko stanęła paleontologia i petrografia. Antropologię swego terytorium badali : Józef Majer, I. Kopernicki, Talko-Hryncewicz. Faunę i florę—wielkie grono specjalistów.

Z działów wiedzy ogólnych wymienimy postęp badań biologicznych : poza kilku wcześniej wymienionymi szeroko znane jest nazwisko Emila Godlewskiego w dziedzinie fizjologii roślin : badał on warunki asymilacji węgla przez rośliny, oddychanie normalne i śródcząsteczkowe, rozkład i odwarzanie substancyj białkowych w roślinie oraz procesy życiowe bakterii azotowych. M. Raciborski, botanik (studia nad glonami i grzybami Jawy r. 1900), przyczynił się do poznania enzymów utleniających, a przede wszystkim paleobotaniki kory kopalnej zagłębia węglowego.

Samo wyliczenie nazwisk nie daje oczywiście pełnego obrazu rozmiaru i charakteru pracy dokonanej w każdej z tych dziedzin. Za każdym uczonym, który zdobywał sławę międzynarodową stało kilkudziesięciu innych, którzy wnieśli swój wkład indywidualny do zbiorowego osiągnięcia. Nierzadko wniosek, przypuszczenie czy odkrycie bezimiennego lub nieznanego uczonego pozwalało koledze czy następcy jego zdobyć sławę. Ale cel był osiągany, gdyż w ten sposób Polacy wzbogacali dorobek naukowy.

Wiek XIX był stuleciem bezprzykładnego postępu we wszystkich gałęziach nauki, było to stulecie rozwoju życia i pracy uniwersyteckiej przewyższające wszystkie poprzedzające stulecia. Polska niestety przeżyła ten wiek w politycznej niewoli, w czasie której wszystkie jej wysiłki kulturalne napotykały na największe przeszkody. A jednak to wszystko co zostało zrobione, a co tu niedostatecznie przedstawiono, jest dowodem naszej odważnej pracy, która pozwala nam patrzeć w przeszłość z świadomością dokonań i uczuciem spełnionego obowiązku naszego narodu w pochodzie cywilizacji europejskiej.

"Nauka Polska w Okresie Rozbiorów" jest jednym z trzech odczytów o rozwoju nauki polskiej wygłoszonych przez Prof. Stanisława Kota w Uniwersytecie Oxfordzkim.

ANTONI SŁONIMSKI.

PROFESOROWIE.

FRAGMENT AKTU TRZECIEGO.

(*Plac pod pomnikiem Mickiewicza w Krakowie. Wieczór zimowy. Strącona statua leży pod cokołem. Wkoło tłum się zebrał. Patrzy. Ciemno już prawie i tylko te postaci widać, które się od tłumu odłączą i wyjdą na miejsce puste pod obalonym pomnikiem*).

INTELIGENT

Serce mi pęka z bólu i z udręki.
Ludzie pomóżcie ! Siłami wspólnemi
Moglibyśmy go ruszyć i podźwignąć z ziemi !
Czy nikt mi nie pomoże ? Nikt nie poda ręki ?
Więc ten policzek zniesie obojętny Kraków ?
Czy nikt się nie obudzi z tej całej gromady ?

ROBOTNIK

Tu już nie da rady.

INTELIGENT

Więc nie ma Polaków. . . .

ROBOTNIK

Wolnego panie blady, panie w meloniku.
Naco pan ludzi zmawiasz, o co tyle krzyku ?
Pan będziesz deklamował i rączkami machał
A kto inny za pana pojedzie do Dachau.

INTELIGENT

Ja chcę z wami. . . .

ROBOTNIK

Teraz chcesz z nami.

INTELIGENT

Czy wy nie rozumiecie, że ten, co tu leży,
To już nie bryła martwa ale to duch żywy.
Że to jest symbol święty i kto w Polskę wierzy,
Ten w sercu to poczuje. Kto jest sprawiedliwy,
Ten pojmie, że to chwila duchowej komunji. . . .

ROBOTNIK

Może pan składkę zrobi na Ozon i Fon ?
Maszerować ! A potem jak Rydz do Rumunji !
Na Zaolzie ! Pókim spokojny—mówię : won.

ROBOTNIK II

Powiadasz, że on żywy, że on duchem.
A ja ci mówię, że on był martwy na pomniku.
On tutaj trupem cuchnął, choć go jednym uchem
Słuchał który, choć było tam coś w podręczniku,
Od święta, w radjo, w rządowej gazecie,
Ale wiadomo było, że to nic nie znaczy.
Wyście go pierwsi zrzucili z cokołu.

INTELIGENT

To wszystko już minęło. Czy nie rozumiecie
Co to jest rozpacz ?

ROBOTNIK

Było w Polsce wiele przyczyn do rozpaczy.
Myśmy ten pomnik oglądali z dołu.

KOBIETA

Cichoj tam. Nie widzicie ? Idom. Już są blisko.

ROBOTNIK

Zejdź pan z tej kukły, bo pana przyskrzynią. . .

(*Z lewej wchodzi paru żołnierzy i ajentów S.S. Żołnierz popycha kolbą Inteligenta.*)

ŻOŁNIERZ

Rusz się polska świnio.

OFICER

Rozejść się. Co to jest za zbiegowisko ?

(*Kordon otacza pomnik. W środek kordonu wchodzi Gubernator Frank. Nogę stawia na strąconym posągu.*)

FRANK

A, to o tego chodzi . . Nie do wyleczenia.
Niepoprawni jak dzieci. Poco te złudzenia ?
Radzę. Lepiej wam z twardym pogodzić się losem,
Niż wierzyć w jakieś głupstwa, w jakiś cud zamorski,

Że może Francja, Anglja albo pan Sikorski
Podniosą co tu leży. Co pod naszym ciosem
Raz powalone, nigdy się nie dźwignie.
No ? Może który z was ten pomnik ruszy ?
Za cenę kuli w łeb, nim trup ostygnie,
Zabłyśnie bohaterstwem. To jest w waszym stylu.
Przecież wierzycie w nieśmiertelność duszy.
Popiszcie się Polacy.

INTELIGENT

Ja. . .

ROBOTNIK

Milcz głupi.

FRANK

Jest was przecież tylu,
I takie piękne zadanie.
Kto pomnik ten podniesic ?

GŁOS

My, panie. . . .

GŁOS II

My, panie. . . .

(Wychodzi z tłumu gromadka ludzi. Jest ich szesnastu. Różnią się od innych blaskiem i bladością twarzy. Idą. Powoli podnoszą statuę Mickiewicza. Stawiają na cokole. Gdy już postawili, stanęli wokół pomnika kręgiem ciasnym.)

FRANK

Ognia . ! *(Salwa.)*
Durnie. Żadnego nie trafili. Kul szkoda.
Otoczyć ich, jak bydło sprowadzić na sznurku.

(Żołnierze otaczają gromadkę pod pomnikiem. Świecą im latarkami w twarz. Frank zbliża się do pierwszego z brzega.)

Nazwisko ?

PROFESOR I

Wilk. Astronom.

FRANK

Urodzony ?

PROFESOR I

Zmarły w Oranienburgu.

FRANK

(Świeci w twarze trzem najbliższym z gromady)

Wilk, Estreicher, Siedlecki. To znaczy sen.
To znaczy, że się we śnie łudzę.
To znaczy mary tylko, znikną, kiedy się obudzę.

(Scena zciemnia się zupełnie. Zniknął w mroku tłum, żołnierze, pomnik, zarysy domów krakowskich. Na tle ziemi i nieba został tylko Frank i trzej profesorowie.)

FRANK

Jeśli to sen, trujący sen zrodzony z polskiej mgły,
Jeśli w tym śnie pokonać chcesz mą duszę—
Jak chcesz tak ze mną walcz. Na miecz, na krzyż, na sny.
Wybierzesz krzyż—Wotana młotem skruszę.
Wybierzesz sen—ja sen twój przezwyciężę,
Bo moje sny z odwiecznych płyną gniazd,
Z jaskiń i z pieczar i z mokradeł.
Sny jamochłony—ptako-węże.

WILK

Mój sen się zrodził w drżącym pyle gwiazd,
Od srebrnych wód odbija się zwierciadeł.

FRANK

Słyszysz ten wiatr co w drzewach dziko jęczy,
Czy słyszysz grom, co ziemię ogniem pali ?
Tak śpiewa sen, mój sen, mój sen z Walhalli.

SIEDLECKI

Mój sen rozpina łuk siedmioramiennej tęczy.

FRANK

Mój sen jak dym w skłębioną skrył się chmurę.

WILK

A mój się w niebo wzbił, strzeliście płynąc w górę.

FRANK

Idzie ten gniew, ten grom z pokoleń w pokolenia.
Zdławiony raz, na nowo się odradza.
Ja nie śnię sam. Miljony śnią wraz ze mną!
Patrz w przyszłość. . .

ESTREICHER

Tam już nie sięga twoja władza.
Tam wolno patrzeć nam, z krainy cienia.
Patrzę w twą przyszłość. Widzę drogę ciemną.
Bo są sny jak śmierć ciężkie, duszne i samotne,
I śmierci jak sen lekkie, jako sny powrotne.
Są sny i noce bardziej podobne do zgonu,
Niż śmierć co sieje ziarno, wieczystego plonu.
Pomnik na sercu wroga wydźwignięty męką
To ciężar, co się z żadną nie równa udręką.
Nieść go będziesz i dźwigać długie pokolenia,
Aż cię zmiażdży swą siłą nienawistny duchu.
Nawet tyle nie znajdziesz powietrza i ruchu,
Ile ma czerw żyjący w szczelinach kamienia.
Nie będzie już ten kamień z piersi ci odjęty,
Bo ten co na nim stoi aniołom zabrania
Zmienić te bryły śpiewne w głaz zmartwychpowstania,
Bo on nad aniołami jest. Bo on jest święty.

(*Kurtyna.*)

KAROL ESTREICHER

WALKA KLASYKÓW Z ROMANTYKAMI

Przeszła dawno w zapomnienie. Dzisiaj nikt się nią nie przejmuje, choć kiedyś roznamiętniała intelektualny ogół polski. Czasem wraca do niej uczony historyk, by opisać jakiś jej szczegół, studiuje ją uczeń z podręcznika, powołuje się na nią pisarz, walcząc o nowy kierunek w naszym piśmiennictwie.

Bohaterowie owej walki, przed wiekiem postacie tak żywe, tak bliskie, oddaliły się i współczesne pokolenie nie czuje z z niemi związku. Brodziński, Koźmian, Osiński, Niemcewicz, Dmochowski, Śniadecki, a z drugiej strony Odyniec, Mickiewicz, Mochnacki, Zaleski—to nazwiska, które lepiej lub gorzej znamy z historji literatury, lecz ich teoretyczne spory, namiętne i nieustępliwe, obecnie już nikogo nie wzruszają.

A jednak walka toczona wówczas ma swe zasadnicze znaczenie w dziejach myśli polskiej. Ma swe przyczyny głębsze i istotniejsze niż te, które przywykło się jej przypisywać, posiada także daleko donioślejsze skutki. Kto pragnie zrozumieć duszę nowoczesnego Polaka, wyjaśnić niejedną z pobudek jego postępowania, sięgnąć musi do owych czasów i ludzi.

W połowie XIX wieku ustalił się o klasykach i ich walce z romantykami pogląd, który niezmiennie trwa do dzisiaj. Romantyzm zwyciężył, literaci tego obozu zapanowali, pochylono przed niemi czoła i klasycy przeszli do historji z niepochlebnym świadectwem, wydanym im przez przeciwników. Że zaś nie mieli w swych szeregach, żadnego wielkiego talentu, że istotnie byli literatami miernymi, więc późniejsze pokolenia przejęły o nich ustalony sąd romantyków.

Ci okrzyczeli poetów, krytyków i teoretyków klasycznych, jako skostniałych, rutynowanych, zacofanych wierszopisów, co zatrzasnęli wszystkie okna na świat, a niewolniczo trzymali się przepisów Boileau. Mickiewicz zarzucił im " blokadę rozumów," oskarżył ich o obskurantyzm i zjadliwie ośmieszył. Rozbił także ich szeregi i wielu zmusił do uznania swego geniuszu. Tylko nieliczni klasycy pozostali wierni głoszonym hasłom, do końca dni swoich nie widząc w Mickiewiczu wielkiego poety.

Ballady i Romanse, Sonety Krymskie, a zwłaszcza Konrad Wallenrod wyniosły Mickiewicza ponad ogół literacki i ustaliły zwycięstwo młodego poety, a wraz z nim kierunku romantycznego. W międzyczasie spór umilkł, przerwała go katastrofa 1831 roku.

Walka klasyków z romantykami ma pewne podobieństwo ze sporem, który w pół wieku później toczył się wokół tez history-

cznej szkoły krakowskiej. Przyjdzie nam jeszcze wrócić do tego porównania, tu pragnę tylko zaznaczyć, że podobieństwo polega głównie na owym żywym zapale, a nawet namiętności, z którą pisarze obu obozów bronią swych twierdzeń, należących przecie do teoretycznej dziedziny. Była to forma wyżycia się umysłowego, pozwalająca na swododę myśli, krępowanej stosunkami politycznemi. Stąd oba spory literackie noszą cechy walki o zasady polityczno-społeczne.

Nikt kto dzisiaj czyta poematy Wężyka czy Koźmiana, nieco długie i sztywne, nie może żałować, że klasycy walkę ową przegrali. Znajdzie się w ich dziełach niejeden piękny ustęp, lecz całość ich daleka jest od poziomu, na który romantyczna poezja się wzniosła. Jest jasnem, że klasycy mierni artystycznie, musieli wojnę, na którą się porwali przegrać.

Natomiast podkład teoretyczny i zasady, w imię których występowali, niesłusznie zostały zapomniane i zlekceważone. W wywodach krytyków i teoretyków klasycznych, występuje siła, przekonanie, logika, jasność myślenia i uczciwość sprawiająca, że nieuprzedzony czytelnik nabiera dla nich szacunku. Klasycy są wybitnymi stylistami i choćby dlatego warto poznać ich pisma. Po wczytaniu się w nie widać, że broniąc tak zajadle, tak zaciekle, klasycznych reguł i zasad tworzenia, nie czynili tego przez egoizm ani, jak to sugerował im podrażniony Mickiewicz—przez ciasnotę i niewiedzę, a przynajmniej nie może się to stosować do najwybitniejszych z pomiędzy nich. Sąd Mickiewicza " O krytykach i recenzentach warszawskich " wogóle nie był sprawiedliwy, a nawet w stosunku do niektórych krzywdzący (Dmochowski).

Zastanawiającym jest wogóle stosunek Mickiewicza do klasyczności. Z Parnasu naszej literatury on ją strącił i niemal wyłącznie on. Gdy jednak rozpoczął tam swe panowanie—stał się (co to dużo mówić) klasykiem i przeszedł na wiarę, którą kiedyś sam gorąco zwalczał. Dotyczy to formy Mickiewicza, która w " Panu Tadeuszu," jak to zresztą wielokrotnie podnoszono, jest klasyczna, bardziej zbliżona do Dmochowskiego niż do Byrona. Choć to szczegół, lecz może warto go i przypomnieć, że przecie jakby na ironię, czy przez hołd, czy wskutek zapomnienia wtrącił Mickiewicz w " Pana Tadeusza " kilka wierszy z Homera w przekładzie Dmochowskiego. Ważniejszem jednak, że cała budowa poematu, obrazy przyrody, a nawet zasób porównań i przenośni jest silnie klasyczny, bo klasycyzm swą teorją formy, silnie oddziałał na Mickiewicza. Z kolei walka, którą Mickiewicz przeprowadził w życiu ze Słowackim, pomijając już osobistą niechęć do osoby Słowackiego, nosi także cechy swoistego klasycyzmu. Wizjonerstwo i rozegrana wyobraźnia Słowackiego, nie znajdowały u Mickie-

wicza zrozumienia, który nie widział w nich nic, tylko próżnię słów. " Kościół bez Boga "—określenie Mickiewicza w stosunku do twórczości Słowackiego, przypomina w założeniu zarzuty klasyków, które kiedyś sam Mickiewicz odpierał. W okresie swej dojrzałości filozoficznej Mickiewicz do ekspresjonizmu Słowackiego stosował klasyczne wymagania jasności, zrozumiałości, prostoty i celowości.

I współcześni dostrzegli to u Mickiewicza, co potem poszło w zapomnienie. Krasiński opisując w roku 1830 swą wycieczkę po Szwajcarji odbytą razem z Mickiewiczem, ze zdumieniem stwierdził, że ten " wyśmiewał albo gromił to właśnie, o co jego samego klasycy warszawscy posądzali i oskarżali najbardziej."

Takie stanowisko Mickiewicza, budzi poważną wątpliwość czy istotnie celem walki stoczonej przez niego z obozem klasyków, była tylko chęć wprowadzenia nowego kierunku literackiego i zdobycie dla siebie pierwszego miejsca wśród poetów polskich ? Czy istotnie był to tylko spór o modny prąd, wyrażający się w literaturze akcesorjami guseł, duchów, kurhanów, formą ballad i umiłowaniem średniowiecza, zamiast sielanek, arkadji, mitologji, metafor i starożytności—czy raczej nie był to objaw głębszy, sięgający dziedzin zasadniczych ? Jeśli, jak to wspomniałem, Mickiewicz, już po ustaniu walki z klasykami, w zasadzie przechylił się na ich stronę, stał się klasykiem—to walka, jaką rozegrał między rokiem 1823 a 1830, nie mogła toczyć się tylko o prąd literacki, co przyszedł do Wilna razem z poznaniem Goethego i Byrona. Jeśli klasycy tak zajadle tak zaciekle bronili przed romantyzmem literatury polskiej, a byli wśród nich ludzie niewątpliwego charakteru i wielkiego rozumu —to było na tem chyba coś więcej niż tylko niechęć do kierunku, niekiedy istotnie natrętnego w sztuczności, a dla ludzi, którzy nie przeszli przez naturalizm literacki, nawet niesmacznego.

" Gust i smak " klasyczny, jakiemu schlebiali literaci skupieni w Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, nie mógł zadowolnić młodzieży literackiej po roku 1815, t.j. w czasie, gdy nastał w kraju pokój, po tylu klęskach społecznych i wojennych. Coraz szerzej rozchodziły się nowinki o prądach w literaturze niemieckiej, francuskiej i angielskiej i coraz więcej zdobywały sobie zwolenników. Zrazu lekceważone przez klasyków, nagle zaczęły być przez nich zwalczane, zwłaszcza odkąd w ich własnym obozie wytworzyły się wyłomy i odstępstwa. Rozgorzała na dobre walka teoretyków, gdy Brodziński w r. 1818 ogłosił rozprawę " O klasyczności i romantyczności," i kiedy ostro odpowiedział mu Jan Śniadecki protestem " O pismach klasycznych i romantycznych." Za Brodzińskim stanęli Królikowski i Borowski, zaś kilku bezimiennych szermierzy romantyzmu, gwałtownie zaatakowało uznane w zakresie poezji

powagi klasyczne. W salonach warszawskich, przedewszystkiem u jen. Krasińskiego, obóz klasyczny przedrwiwał i wykpiwał młodych poetów, bo tam Osiński i Koźmian byli wyroczniami w zakresie " smakownej i prawdziwej " poezji. Walka zaostrzyła się jeszcze,gdy w r. 1829 namiętnie wystąpił przeciw klasykom warszawskim Mickiewicz.

Do najbardziej interesujących rozpraw, które się w owych latach ukazały nie należą—jak to się zazwyczaj przyjmuje—uwagi Brodzińskiego, ani idących za nim. Brodziński zgodnie ze swym temperamentem uczuciowym lecz zarazem i bojaźliwym, zajmuje stanowisko środkowe i stara się wykazać potrzebę nie tyle klasycznej czy romantycznej poezji, ile narodowej, polskiej. Erudycyjna, naukowa—a przytem objektywna nie mogła rozprawa Brodzińskiego odpowiedzieć pragnieniom żadnej strony. Natomiast zasługą Brodzińskiego pozostanie, że wbrew zresztą woli, rozpoczął spór, który myślał, że uda się stłumić w zarodku.

Podobnie jak Brodziński i Niemcewicz w myśl zasady " medium tenuare beati "—za najbezpieczniejszą drogę uważał nie opowiadać się po żadnej stronie. Ich sądy są do dziś cytowane i nawet szanowane ponieważ poezji romantycznej, poezji Mickiewicza, w niczem nie dotknęli. Natomiast mało kto zna sądy klasyków, ich teorję, choć czas byłoby wprowadzić rewizję tego poglądu.

Jan Śniadecki przeszedł do pamięci pokoleń, jako mąż wielkich zasług na polu nauk matematyczno-przyrodniczych. Zasłużony profesor krakowski i rektor wileński, pozostanie także na zawsze w dziejach naszej kultury krzewicielem nauki i oświaty w okresie upadku Rzeczypospolitej. Jego działalność była olbrzymia i wykazał w niej tyle głębokiej wiedzy, patryotyzmu i poświęcenia, że już choćby to winno zmusić do rewizji sądu, który ustalił o nim Mickiewicz w " Romantyczności." Nie był bowiem Śniadecki ciasnym mędrcem, lecz energicznym i światłym człowiekiem, który dowiódł, że żył w trosce o przyszłe pokolenia polskie. Czyż w tych warunkach jego niechęć do romantyzmu była tylko na fałszywej podstawie estetycznej oparta ?

Działalność Śniadeckiego na polu filozofji jest na ogół znana tylko historykom. Wiąże się ściśle z jego wiedzą przyrodniczą i w znacznej części jest utopiona w jego pracach specjalnych. Kilkakrotnie jednak wystąpił Śniadecki jako samodzielny filozof, przedewszystkiem w " Filozofji umysłu ludzkiego," wydanej w roku 1819.

We wszystkich dziedzinach wiedzy, a ogarnął ich wiele, jest Śniadecki dzieckiem oświecenia. Wychowany w Polsce, lecz wykształcony podróżami zagranicznemi, przejął się Śniadecki jak całe mu współczesne pokolenie racjonalizmem epoki i

pozostał mu wierny i konsekwentny. Śniadecki hołduje filozofji oświecenia z drugiego jej okresu, t.j. z czasu gdy racjonalizm angielski i pozytywizm francuski przyczyniły się tak wybitnie do rozwoju nauki. Poglądy Lock'a i Condillaca tworzą podstawę, na której opierał się rektor wileński. Był przeciwnikiem wszelkiej metafizyki, a zwłaszcza jej wynaturzenia t. j. scholastyki, co więcej, zwalczał nawet krytycyzm Kanta jako niebezpieczną teorję, zbyt daleko prowadzącą w dziedziny, gdzie myśl się gubi. I w tym ostatnim wypadku późniejszy rozwój spekulacyjnej metafizyki niemieckiej (Schellinga i Hegla) okazał, że Śniadecki nie mylił się, dostrzegając w kantowskiej filozofji niebezpieczeństwa. Już to stanowisko, zmusza do wzięcia pod uwagę sądów Śniadeckiego, który pragnął przedewszystkiem, by nauka dawała korzyść społeczeństwu.

Pisma Śniadeckiego odnaczają się jasnością myśli i języka i do dziś nie straciły swej wartości. Jest Śniadecki wybitnym stylistą, który uważa, że pierwszym obowiązkiem pisarza jest pisać zrozumiale. Niestety w Polsce dzieła filozoficzne Śniadeckego zostały rychło zapomniane i zlekceważone—może właśnie dlatego, że odznaczają się przedziwną prostotą, zdrowym rozsądkiem, jasnością. Nic w nich niezrozumiałego, nic dwuznacznego. Autor zwalcza w nich scholastykę, w najszerszym tego słowa znaczeniu, a czyni to w sposób gwałtowny, pełen temperamentu, namiętny nawet. Wskutek tego jego wystąpienia są żywe, interesujące, zabawne.

Jako filozof oświecenia nie jest Śniadecki w Polsce odosobnionym uczonym. Ten sam duch ożywiał i myśl Kołłątaja i Staszica, a był przecie naczelną ideą Komisji Edukacyjnej, jak wogóle ludzi, skupionych wokół Stanisława Augusta, co przeprowadzili odrodzenie narodu za jego czasów. Nie wolno nam zapominać, że racjonalizmowi i pozytywizmowi oświecenia winniśmy przecie majową Konstytucję—obskurantyzmowi zaś i przesądom fakt, że przyszła tak późno.

Śniadecki jak wszyscy mu współczesni wiedział, że racjonalizm oświecenia uratował kulturę polską od zagłady. Rozumiał wielkie dzieło dokonane u nas przez tę filozofję i rozumiał jakie jeszcze zadania czekają naród, by reforma wydała owoce.

W tym stanie rzeczy nic dziwnego, że i poglądy estetyczne Śniadeckiego, tak jak jego wiedza opierały się na racjonaliźmie poznania. Literatura a przedewszystkiem poezja—miała wedle Śniadeckiego za główne zadanie, choć nie jedyne, wyrobienie smaku czyli poczucia piękna. Jak w nauce tak w poezji istnieją pewne niewzruszalne zasady, które raz odkryte przyjęto za wzorowe, i te powinny być stosowane : " Nie jest łatwą rzeczą przedrzeć się przez tę zasłonę, zobaczyć co się podoba i dlaczego się podoba i okazać całą sztukę sprawionego uroku."

Śniadecki był zwolennikiem tradycji literackiej. Pisarze polscy tak świetni jak Krasicki są wzorem, z którego czerpać winni ich następcy. Od znakomitych poetów polskich doby oświecenia " uczymy się czystości, mocy, toku i ozdób narodowego języka, tak istotnie każdemu potrzebnego i do porządnego myślenia i do właściwego wyłożenia swych myśli." Obok literatury polskiej i starożytna klasyczna literatura (lecz rozumem pojęta i zgodna z duchem racjonalnej filozofji) pozostanie zawsze krynicą piękna i korzyści umysłowej. " Historja Greków i Rzymian źle widziana i źle wystawiana, sprowadziła nam wiele omyłek politycznych, a z niemi wiele klęsk i nieszczęść krajowych." Hołdował zatem Śniadecki wzniosłości i patosowi w wydaniu literatury antycznej i tylko te zalety chciałby z niej przejąć. Dlatego raził go Szekspir, a cóż dopiero romantyzm.

W walce z romantyzmem młodzieży literackiej, klasycy popełnili wiele błędów, przedewszyskiem okazali się złemi, małopostępowemi pedagogami. Tak np. Śniadecki swojem zachowaniem się wobec młodzieży zamiast wpływać na nią poprzez właściwe wyrabianie sądów i budowę podstawy myślowej, wskutek braku tolerancji wpędzał tę młodzież w upór i dróg wyjścia jej nie zostawiał. Pamiętniki Felińskiego notują opowiadanie Słowackiego, o złośliwem zachowaniu się Śniadeckiego wobec młodego Mickiewicza, zachowaniu na które dobry pedagog, chcący posiadać wpływ na młodzież, nie powinien był sobie pozwolić.

Lecz z drugiej strony człowieka oświecenia, raziła u romantyków ta cała naiwna scenerja pseudoludowości, w którą się stroił chętnie nowy kierunek. Dlaczego ? Nie trzeba zapominać, że Śniadecki pamiętał, kiedy w Polsce zabobon i ciemnota były powszechne i czyniły straszliwe spustoszenia. Pokolenie Śniadeckiego walczyło z owemi przesądami, z których większość nie była ani tak dawną, jak to się najczęściej przyjmuje, ani tak malowniczą, jak to sobie wyobrażamy. Gusła, upiory, strzygi, czary, zaklęcia, dla ludzi takich jak Śniadecki były zgubnemi społecznie praktykami. Zajmowały one w życiu polskim XVIII wieku wiele miejsca. Wieś wierzyła bezwzględnie w każde wylęgłe w chorej głowie głupstwo, a gorzej bo wierzyło i miasteczko, gdzie ciemny, często niepiśmienny burmistrz sprawował urząd. Pamiętał Śniadecki dobrze czasy, gdy dręczono kobiety, co rzucały uroki i zamawiały choroby, pamiętał, jak wymuszano na nich zeznania torturami. W roku 1773 we wsi Doruchowie na śląskiej granicy spalono czternaście bab podejrzanych o djabelskie praktyki. Dopiero sejm w r. 1776 pod wpływem króla, nakazał zniesienie tortur i kary śmierci za czary, lecz walka z powszechnym przesądem nie była łatwa.

Gdy nagle przyszła teorja romantyzmu, głosząca powrót do owych zabobonów, pochwalająca je i budząca dla nich ciekawość, cóż dziwnego, że Śniadecki bał się jej zgubnego wpływu. Mógł dla ucywilizowanych krajów zachodnich ruch romantyczny nie być niebezpieczny, lecz w Polsce wydawał się reakcją—zwłaszcza, że romantycy nie byli racjonalistami.

Głosili oni, głównie pod wpływem filozofji niemieckiej tezę, że natchnienie i wiara przemawiają silniej niż poznanie rozumowe i zmysłowe. Fichte, Schelling, Hegel weszli na drogę metafizyki, a ta zazwyczaj doprowadza do scholastyki. " Metafizyka—głosił Śniadecki—jest najniebezpieczniejszą dla kraju, zaczynającego się porządnie uczyć." I te słowa tłomaczą dobrze ów bezkompromisowy charakter jego filozofji. Dla nas ludzi dzisiejszego wieku, scholastyka jest tylko widmem dalekiej przeszłości, ale dla Śniadeckiego była groźną rzeczywistością. Poprzez metafizykę mogła znowu odżyć i wpływ wywierać. Śniadecki był człowiekiem praktycznym, widział życiowe skutki filozofji, a nie abstrakcyjne idee. Instyktem racjonalisty czuł niebezpieczeństwo poglądu na świat, opartego o transcedentne poznanie. Bał się go i dlatego je zwalczał. Nie można temu stanowisku odmówić słuszności.

" Witaj wieku szczęśliwy, do pychy powodem " napisał Koźmian, w świetnej satyrze na romantyków, a w tym jego okrzyku mieściło się wszystko to, co pierwszy podniósł Śniadecki. Obóz klasyczny sądził, że jedyną właściwą drogą dla poezji jest przedstawiać wielkie cnoty, a nie wielkie namiętności. Nie miał oczywiście słuszności z estetycznego punktu widzenia.

Prąd romantyczny nie dał się wstrzymać i w Polsce (jak w całej Europie) zapanował długi okres spekulacyjnej metafizyki. Nastąpił odwrót od oświecenia, reakcja przeciw jego wybujałościom.

Polska walka klasyków z romantykami rozgrywa się na tym tle. Tylko nieliczne umysły to spostrzegły, a w rzędzie ich postawić należy na pierwszym miejscu Śniadeckiego. Jego ostrzeżenie przed rozpasaniem imaginacji w poezji, przed fantastycznością bez granic, przed egocentryzmem i indywidualizmem, bez stosowania nożyc zimnego rozsądku, przed poezją puszczoną bez wędzidła " najniebezpieczniejszą i najszkodliwszą władzą duszy ludzkiej," nie straciło jednak nic na swej wartości, jako myśl społeczna. Dlatego uznać należy Śniadeckiego za najgłębszego z pomiędzy przeciwników romantyzmu. Takim zresztą rozumiał go wieszcz, który wstawał w Mickiewiczu.

Walcząc z obozem klasyków, w istocie nie walczył Mickiewicz z ich poezją. Wiedział, że zbyt słaba ona i zbyt niedo-

skonała i że niema jej co pokonywać. Ważniejszem było dla niego zdobycie tej twierdzy filozoficznego racjonalizmu, w jakiej klasycy się bronili, do jakiej należało całe starsze pokolenie. Dlatego rzucił Mickiewicz hasło " czucia i wiary," w istocie będące podstawowym hasłem całej jego filozofji. Poznanie nie dokonuje się rozumem, lecz w drodze uczucia, egzaltacji, natchnienia. Poezja romantyczna jest tego wyrazem najlepszym.

Hasło było popularne, rzec nawet można demagogiczne. Klasycy domyślali się że " ta poezja, ta mowa rozentuzjazmowanej młodzieży, jest jakby umówionym, tajemnym, językiem, nieprzystępne dla nich znaczenie kryjącym." Poezje Mickiewicza i innych romantyków cieszyły się coraz większym powodzeniem, a cały ruch literacki był nurtem, który wzbierał i potężniał z każdą chwilą. Walka z irracjonalnym poglądem jest bardzo trudna, czasem nawet beznadziejna. Tak było z romantyzmem.

" Pierwej rozumiano, że jest w mocy ludzkiej rządzić natchnieniem, empirycznemi prawidłami smaku i dykcji, i jakoby na bacznym przestrzeganiu tych prawideł cała tajemnica poezji zasadzała się."—" Daleko jest wyższym stanowisko prawdziwego wieszcza: jest nim świat idealny, w całej swej nieskończoności i blasku. Geniusz takiego poety nie zna granic dla siebie, twórczy w swoim działaniu samą wielkością oddycha." —Oto dwa charakterystyczne zdania wyjęte z ówczesnych pism teoretycznych.

" Te dwie sekty literackie — opowiada Mochnacki — dość śmieszne bo zapalczywe, miały w Warszawie w swej wojnie papierowej stronę polityczną ukrytą." Tak było istotnie. Cała młodzież gorąco i namiętnie czująca, która wybuch listopada przygotowała w tajnych organizacjach i w spiskach, żyła nowym prądem literackim, w nim znajdując podnietę. Gdy ukazał się Konrad Wallenrod—wzbudził entuzjazm. " Z wielkiej chmury mały deszcz," powiedział wówczas Osiński. " Omylił —donosi pamiętnikarz ówczesnych czasów A. E. Koźmian— wyrzekłszy to, omylił i pod względem literackim i pod innemi względami. Ta chmura nie deszcz, lecz pioruny w łonie swojem niosła, które prędzej czy później zapalić pożar musiały i zniszczenie rozszerzyć miały. Ta chmura sprowadziła nie tylko rewolucję literacką, ale rewolucję w wyobrażeniach, w uczuciach, w charakterze narodowym." Mickiewicz urósł na wieszcza, na Tyrteusza narodu i dlatego w przeddzień upadku Warszawy, kierowano do niego płomienne żądania, by wracał, dalekie Rzymy rzucając i pieśnią wzniecił zapał do boju.

Walki klasyków z romantykami, w żadnym razie nie należy zacieśniać do granic epizodu w dziejach literatury polskiej, do sporu o kierunek estetyczny. To było coś znacznie więcej. Była

to walka o władzę nad myślą narodową polską, nad sposobem myślenia Polaków. Była to walka racjonalizmu z irracjonalizmem, poznania z natchnieniem, rozumu z uczuciem. Mickiewicz i romantycy ufni w swój talent poszli po drodze świetniejszej—klasycy zwracali uwagę jakie niebezpieczeństwo droga ta kryje.

Nie chciałbym, aby czytelnik w tem miejscu sądził, że przyznaję rację klasykom lub co więcej, że potępiam romantyków za zajęcie takiego, jakie zajęli stanowiska filozoficznego. Romantyzm polski wnosił do kultury narodu takie wartości i tak wielkie charaktery, że cieszyć się trzeba iż zwyciężył. Nie, w niczym nie wolno nam romantycznej filozofji umniejszać za jej stanowisko poznawcze, ale także nie możemy potępić klasyków za walkę, którą stoczyli. Ich zasługa jest równa zasłudze romantyków, oni również wyznaczali drogi myślenia polskiego.

Filozofja romantyczna była reakcją po wybujałościach oświecenia. napisałem wyżej. Bo oświecenie ze swym racjonalizmem i materjalizmem nie było złotym okresem moralności. Pod względem etyczno-moralnym naród polski potrzebował podniesienia, a tego, zwłaszcza po rozbiorach filozofja racjonalistyczna nie dawała. Stosunki wiele pozostawiały do życzenia, przedewszystkiem wśród warstw przodujących, zarówno w Koronie jak na Litwie. Upadek ducha patryotycznego, kosmopolityzm, sceptycyzm a nawet cynizm, spotykało się powszechnie. Pamiętniki Morawskiego lub Ochockiego są jedną z najbardziej pouczających lektur w tym względzie. Odrodzenie społeczeństwa nie wyszło z oświeconych i bogatych kół ziemiańskich, lecz dokonała go młodzież z pośród ówczesnej inteligencji i drobnej szlachty, młodzież wśród której np. na Litwie, ruch filarecki przodował. Dla ruchu tego, sam rozum nie wystarczył, potrzeba było idealizmu i namiętnej wiary, której wyrazem stał się romantyzm. Oto druga strona tego samego medalu—nakazująca najwyższy szacunek dla filozofji Mickiewicza.

Jako reakcja, po filozofji oświecenia nie jest oczywiście romantyzm polski odosobniony. W Niemczech i we Francji zaszły analogiczne zjawiska wcześniej nawet jak w Polsce. Wspomniałem o nich mimochodem, bo nie o genezę kierunku mi idzie, ani o porównawcze badanie.

Jednak może warto zaznaczyć, że w dziejach myśli polskiej, pomiędzy romantyzmem z pocz. XIX w. a kontreformacją z pocz. XVII w. zachodzą pewne analogje, które chyba nie są przypadkowe. Polska w okresie kontreformacji przeżyła podobną reakcję, opartą również o zasady poznawcze myślenia.

Po wieku humanizmu i odrodzenia nastąpił u nas powrót do średniowiecza i to we wszystkich niemal dziedzinach

kultury : w religji, w literaturze, w prawie, w sztuce. Po wybujałościach humanizmu, przyszła reakcja, której przewodniczył żarliwy i utalentowany Skarga. Znowu niosła ze sobą złe i dobre strony.

Trzeba także przypomnieć, że romantycy w swych sądach estetycznych niedoceniali Jana Kochanowskiego. Nawet przenikliwy umysł Mickiewicza, w wykładach o literaturze słowiańskiej choć poezję Kochamowskiego ocenił, przecie nie pojął jego geniuszu. Nad renesansowego Jana Kochanowskiego przenosili romantycy barokowego Piotra. Dla Mickiewicza właśnie Skarga był ideałem kaznodziei i wieszcza i nie zdobywa się Mickiewicz na takie uwielbienie dla Jana Kochanowskiego, humanisty i racjonalisty, jakie żywi dla pałającego natchnieniem Skargi. Autor " Ody do młodości," nie mógł zrozumieć autora strof " Obych rozum był przy młodości." Zestawienie tych dwóch arcydzieł naszej poezji jest bardzo pouczające.

Na tle filozoficznym pojęta walka klasyków z romantykami nabiera znaczenia głębszego. Nie tyczy formy literackiej, bo tę jak mówiłem wódz romantyków przyjął. Ale nigdy nie zgodził się na podstawową tezę klasyków, że poznanie dokonuje się zapomocą rozumu i zmysłów.

Walka klasyków z romantykami jest zapowiedzią tego dualizmu, który w myśleniu polskim i w życiu polskim, będzie się odtąd stale przewijać, jakby jakiś zasadniczy motyw naszej myśli porozbiorowej. Pytania i przeciwstawienia będą się zawsze powtarzać i będą w zasadach swych pokrewne. Przez minimalizm czy przez maksymalizm, przez racjonalizm czy przez natchnienie, przez pozytywizm czy przez mistycyzm, przez pracę organiczną czy przez walkę zbrojną do niepodległości ?

Argumenty klasyków, choć zapomniane, będą co drugie pokolenie wracać w innej formie i przez innych ludzi głoszone. Jak argumenty romantyków. Zmienią się ludzie i okoliczności, ale istota rzeczy zostanie ta sama. Bo tło walki się nie zmieni, tło filozoficzne.

A wreszcie uczy nas walka klasyków i romantyków (w uproszczeniu oczywiście wzięta pod uwagę) jednego : nie wolno lekceważyć praktycznego znaczenia myśli filozoficznej dla życia narodu. Często słyszeć się daje zdanie, że owe filozoficzne dysputy, rozprawy i dzieła nie mają żadnego znaczenia praktycznego, że są jałową zabawą dotkrynerów. Tak nie jest.

Posiew myśli Woltera był szeroki i głęboki i poprzez rewolucję francuską poszedł na cały świat. Hegel i Nietsche stoją u kolebki tych wszystkich nieszczęść, którym podlega Europa pod terrorem totalnym. Tołstoj dał natchnienie Gandiemu i przez niego oddziałuje na hinduskie tłumy. Naród polski swoje

postępowanie dostosował wielokrotnie do myśli filozoficznych wyżej omawianych.

Prawda o wpływie filozoficznego myślenia na życie narodów, zawsze lekceważona i zapominana, w dziejach polskich od roku 1795 do naszych czasów, znajduje swe częste potwierdzenie. A walka klasyków z romantykami to tylko epizod długiego procesu, który nie jest jeszcze zakończony, ale który można już dzisiaj rozpoznać i opisać w teoretycznych i praktycznych szczegółach.

MARJA KUNCEWICZOWA.

BLITZ.

A CUP OF TEA.

Pierwsze wielkie pożary oświetliły Londyn od strony doków. Zdarzyło się to przed wieczorem. Wszystkie szyby po jednej stronie ulicy stanęły w czerwieni, gibraltarskie dzieci zamilkły i, zbite w kupki na gankach, wyglądały bardzo blade naprzeciw łuny, która je straszyła w tem mieście, dokąd przyjechały bezpiecznie się bawić.

Straże pożarne zaczęły przelatywać z brzękiem, przechodnie czepiali się stopni ciężarówek, jak ćmy pędzili do ognia.

Tego wieczora przyszli nas odwiedzić Czesi. Utraciwszy Pragę, mieszkali w Warszawie w dniu kiedy wojna wybuchła. Owej pamiętnej nocy wrześniowej, kiedy miłosna pieśń zabrzmiała obco pod polskim księżycem—siedzieli koło nas w Kaźmierzu. Potem odnaleźliśmy się w Quartier Latin. Teraz siedli obok na kanapie w Bloomsbury.

Nie paliliśmy światła, w pokoju było różowo od łuny. Po chwili wszedł ktoś i powiedział, że Tamiza wygląda, jak lawa. Czesi wstali.

—" Dokąd chcecie iść ? "—zapytano. Uśmiechnęli się.—"Ani iść. Ani płynąć."—" A cup of tea ? "—zaproponowała gospodyni.

Zasłoniliśmy okno i przystąpili do obrzędu herbaty.

POD ZIEMIĄ.

W londyńskim wrześniu noc tak głęboko otworzyła swoje czeluście, jak może nigdy od stworzenia świata. Ale jej sens dla ludzi okazał się inny, niż marzył Lucyper.

Piekło—przez tyle wieków więzione pod ziemią—uleciało w obłoki, z nieba ziało ogniem, w którym gwiazdy bladły, a balony—smoki eteryczne—kołysały się w bramach piekielnych. Natomiast pod ziemią, ludzie pogrążeni w noc, uczyli się—jak w katakumbach—tęsknoty do wiecznego światła.

O dnie przestano dbać. Każdy szedł rano do swojego zajęcia, przemierzał ulice, jeździł autobusem czy taksówką, sprzedawał, kupował, jadł, pił, nie zważając na alarm. Nigdy szofer nie odmawiał kursu. Niektóre sklepy zamykano, w wielkich magazynach, czy bankach spocżątku personel zbiegał do piwnic, ale to były raczej harce żądnej rozrywek młodzieży, niż ucieczka przed śmiercią.

Drzwi trzaskały i do domu wpadał ktoś podniecony : miał łydkę draśniętą odłamkiem, policzek skaleczony szkłem, oczy zasypane, twarz skrzywioną od podmuchu. . . . Otrzepywał

się, gadał, albo triumfował milcząc. Osoba, którą zniosło z chodnika wgłąb wystawy sklepowej, gdzie ocknęła się na czworakach, uważała to za świetny kawał.

Trupy nie wracały do domów. Jeśli nie zostały obrócone w proch na miejscu wypadku, kierowano je od razu pod nowe, ostateczne adresy. Ranni znikali sprawnie w karetkach pogotowia. Dzieci, mieszkające na górnych piętrach, schodziły z zabawkami do sąsiadów na parter i bardzo lubiły alarmy.

Po restauracjach orkiestry nie przestawały grać, kelnerzy krążyć z tacami. Kapelmistrz, czasami piccolo, prezentował publiczności tablicę z napisem "Air raid" kłaniając się, jakgdyby te słowa były nazwą popularnego szlagieru—nikt oczywiście nie wychodził—na seansach dziennych w kinie te słowa zjawiały się pośród ekranu, przecinając akcję, jak pomylony komentarz. I uwaga publiczności niecierpliwie wracała do akcji. Goście nie przerywali wizyt, lekarze auskultacji, księża nabożeństw, nauczyciele lekcji, zakochani transu.

Wyglądało na to, że to życie, które się ma do stracenia w dzień, nie jest warte obrony, ani żalu.

Po pewnym czasie początek nocnych nalotów ustalił się na porę kolacji. Ta godzina dopiero rozpoczynała sprawy serjo. Już na długo przed zmierzchem widać było na każdej ulicy ludzi, zmierzających do stacji underground'u. Kobiety w zawojach, w spodniach, mężczyźni w kurtkach piżamowych pod staremi paltami, dzieci z niedźwiedziem pod pachą—wszyscy dźwigający jakieś toboły potrzebne do snu. Ustawiali się w ogony u wylotów kolejki, nieprzerwaną rzeką spływali w dół, płynęli w górę razem z automatycznemi schodami, znowu opadali w windach, klucząc — to wzwyż, to do spodu—przedostawali się w coraz głębsze pokłady swego miasta, nieśli coraz głębiej swoje oczy, swoje serca, swoje myśli.

W przejściach i w hallach rozpościerali gazety i kładli się na nich, ocieniając wzrok tekturowemi daszkami. Kładli się też na peronach wpobliżu szyn, dopiero znacznie później zbudowano dla nich wielopiętrowe prycze drewniane, gdzie leżeli płasko jedni nad drugimi, jak towar w sklepach bławatnych.

Do godziny pół do pierwszej w nocy pociągi co kilka chwil przebiegały—szalejąc—tuż koło ich skroni, pasażerowie przydeptywali im ręce, blask wielkich lamp przeżerał zamknięte powieki. Dopiero po północy zjawiała się ciemność. Pisk szczurów wtedy nie ciszej brzmiał dla sennych, niż gwałty kolei, ich cwał nie mniej bywał ciężki. A wszystko razem bardziej przeszkadzało snowi, niż artylerja i bomby.

To też nie znać było wśród tego tłumu dbałości o wygodę. Nie negliżowali się nawet w tym stopniu, jak to czynią Włosi w każdej normalnej podróży. Mało widywało się łóżek polowych,

materaców, wózków dziecinnych; na powierzchni jednego koca mieściła się cała rodzina, waliza z precjozami służyła za poduszkę trojgu głowom, z betonowej, wilgotnej płyty, z żelaznego stopnia nie przenikało do ciał żadne ciepło.

Zrzadka ktoś jeden popadał w zapomnienie i zaczynał mówić językiem nieludzkim, wydawał ze siebie rzężenia, chrapy, bełkoty—niewiadomo zaświatowe, czy przedhsitoryczne. Wszyscy inni cierpliwie słuchali. Nie sen więc swój chronili, schodząc na noc w podziemia, tylko to samo życie, którem we dnie tak nieostrożnie szafowali.

Dlaczego ono w nocy wydawało się droższe?

Ktoś powiedział: bo śmierć w nocy wydaje się straszniejsza.

Napisałam, że noc londyńska podczas "battle of Britain" otworzyła swoje czeluście do dna. Tak; wygnano z niej sen.

Ci, którzy pozostawali w łóżkach, nie spali spowodu drżenia szyb, łomotu armat i serca, spowodu gwizdu, rozrywania się bomb, spowodu tego, że kieliszki w serwantce dzwoniły, że kołysała się ściana, albo obraz o nią uderzał, płakało dziecko, skomlił pies.

Ale to nie dla nich wrzesień londyński roztworzył kraje nocy. Oni może, bardziej niż życie, cenili wygodę, albo—mając już światło w duszy—nie bali się, że śmierć ich złapie pociemku.

Ci w schronach natomiast czuwali nietylko z przyczyny latarń, chłodu, pociągów i łapek szczurzych. Czuwali dla czuwania. Czuwali sam na sam z życiem, do którego nareszcie nie zgłaszał pretensji szef, podwładny, ani żaden wspólnik; z życiem własnem i gołem, odartem z powszedniości i odartem ze snów.

Z godziny w godzinę, jak po szczeblach, zstępowali w siebie. Wspomnienia, obserwacje, przeczucia, na które dotąd nie miewali czasu, przychodziły chmarą. Wszczynali kłótnie z umarłymi, dziwili się żywym, projektowali zmiany na ziemi, w domach i w uczuciach. Pytali. Nieskończoną ilość razy pytali kogoś o coś, czego po dniu nie potrafiliby nazwać. Czas zapadał się pod ciężarem tych pytań, noc ukazywała bezdźwięczne chłonne dno, które w dzień zasnute jest głosami. Wtedy wszyscy zaczynali modlić się o to, żeby nie umierać w ciemności. Żeby przyszedł świt, albo Bóg i upokorzył Niemca, księcia nocy, niemego Lucypera, obojętnego na ludzkie pytania.

Nadjeżdżał wreszcie pierwszy pociąg. Dzieci, śpiące z otwartemi oczami, zamykały powieki. Dzwonił pierwszy telefon. Kobiety w kitlach częstowały herbatą.

Rankiem wynosili z tunelów na ulice oczy, serca, myśli, codzień godniejsze obrony.

Syrena wyła równo: all clear. Z wdzięcznością przyjmowali wyrok życia, zdążając w stronę szefów, podwładnych i wspól-

ników. Posuwali się ostrożnie. Bez dreszczu, ale już i bez uśmiechu, przyglądali się kraterom, które ziały na miejscu ich wieloletnich przechadzek.

Stawali przed rozłupanemi domami. Zegary czasami jeszcze szły na kominkach pokojów, którym oddarto front, ręcznik powiewał nad nieistniejącą umywalnią, książki—strona za stroną—odlatywaly z wiatrem, portrety zabitych uśmiechały się ze ścian. Na każdem piętrze w tym samym kącie był kominek i w tym samym był klozet. Stali zawstydzeni przed brutalnie odsłoniętą tajemnicą seryjnego bytu.

Gdzieindziej cała kamieniczka leżała zwalona na kupę. . . . Wiązania świeciły golizną, a wszystko co stanowiło bogactwo i tradycję wnętrza, kurzyło się w śmietniku. Stawali więc znów tutaj, zdumieni niepraktycznością bogactwa.

Dzień rósł. Należało powracać do miejsc, opuszczonych wieczorem, które się żegnało, jako miejsca stałego zamieszkania, a które za chwilę może przyjdzie witać, jako pobojowiska przedmiotów i tajemnic.

BUSINESS AS USUAL

Tymczasem ludzie z własnych łóżek spokojnie wstawali. Jedni do pracy, drudzy na Sąd Boży. Niczego nie opuścili, niczego nie żegnali przed nocą, nie potrzebowali więc donikąd wracać.

Business as usual—blitzowy slogan londyński—najakuratniej co rano stosował się do nich, skoro nawet noc wojenna nie przynosiła im już wtajemniczeń.

Ilekroć mowa o wtajemniczonych, wspominam trzy osoby.

I.

Nauczycielka angielskiego, wielka, tęga dama z rudą głową i nizkim głosem, mieszkanka kruchego domku w wielce bombardowanej dzielnicy. W sierpniu gorąco bywało w dwuch, za małych na jej tuszę, pokojach. Siadywała mimo to całymi dniami wyprostowana, ściśnięta gorsetem, na trzcinowem krzesełku za stołem, przedzielającym ją od innej co godzina osoby cudzoziemskiej. Ci, którzy wchodzili, zawsze płoszyli kogoś, co się zrywał, zbierał notatki, wymieniał datę następnej wizyty i odchodził rozjaśniony, jakgdyby unosił ze sobą nadzieję. Wyglądało na to, że raczej wróżka tu urzęduje, odczytująca z kuli, czy z rąk, zawiłe ludzkie losy.

W rzeczywistości z Miss Sundy nie mówiło się o sprawach osobistych. Czytało się łatwą prozę, odpowiadało na pytania o pogodę i o to co było na lunch, a co na dinner, zapisywało się na karteczkach synonimy. Jednak cudzoziemskość topniała.

Tęga ruda kobieta patrzyła zza stołu tak zainteresowana odpowiedziami, jakgdyby czyniono jej najpoufniejsze zwierzenia i tak ubawiona dyktowaniem synonimów, jakgdyby one wykreślały wspólny świat, teraz dopiero odkrywany. W tem także podobna do wróżek, że wiek jej i uroda wymykały się osądowi, Miss Sundy zdawała się triumfować nad płcią. Inaczej uśmiechała się do kobiet, inaczej do mężczyzn, ale powód uśmiechu był ten sam: zrozumienie.. W rezultacie młodzi dyplomaci i starzy oficerowie, młode żony i stare panny, śpieszyli na lekcje z nią, jak na ważne schadzki. Nieraz się zastanawiałam, jakim sposobem Miss Sundy podtrzymuje tę niesamowitą atrakcyjność, skoro tematy prywatne nie bywają poruszane. Jakim sposobem, skoro jej humor polega nie na dowcipach, lecz na takiem wtajemniczeniu w sprawy życia, które czyni słowa obojętnymi, streszczając się w uśmiechu? Miss Sundy nie potrzebowała zwierzeń: sposób w jaki ktoś otwierał drzwi, czy wymawiał samogłoski, informował ją o nim. Miss Sundy wiedziała o bezskuteczności rad: wolała pomagać praktycznem nauczaniem, niż aforyzmami. Ona sama dawno, może jeszcze za czasów swojej ptasiej karjery (Anglicy twierdzą, że ludzie żyją jako ptaki, zanim urodzą się dziećmi), porzuciła bunty, ucieczki i zgorszenia, jakiemi zajęci byli jej uczniowie. Ciekawość jej dotyczyła form, nie t.zw. " treści " życia. Lubiła obserwować w coraz innych giestach i minach sens, który był jej wiadomy. Uśmiechała się do tego ukrytego sensu i jednocześnie bagatelizowała go milczeniem. To właśnie uśmiechnięte milczenie, przerywające lekcję raz po raz, trzymało w napięciu nadzieje pupilów, że wiedza tajemna nauczycielki nabrzmiewa ciągle i kiedyś zostanie im udzielona.

Tymczasem we wrześniu, chodniki po obu stronach ulicy, gdzie mieszkała Miss Sundy, pokryły się szkłem. Później księgarnia narożna zaczęła witać przechodniów zawieruchą kartek, ulatujących przez otwarty dach. Górna linja domów szczerbiła się od lekcji do lekcji, wory po piasku leżały rozprute na asfalcie, spalenizna dusiła. Ale Miss Sundy siedziała ciągle na swojem trzcinowem krzesełku. Wreszcie, pewnego rana, usłyszałam następującą rozmowę:

— Gdzie Pani, Miss Sundy, spędza noce?

— Cóż za niedyskrecja!

— Trzeba koniecznie schodzić do schronu.

— W 1915-ym roku, pamiętam, widziałam jak jeden pan otworzył parasol, kiedy bomby zaczęły padać na Piccadilly Circus. . . .

— Nie, nie, underground teraz, to nie to samo co parasol wtenczas.

— To samo. Trzy dni temu rozwaliło pewną stację i kilkadziesiąt osób zostało zabitych. . . .

— Taka szansa jest jedna na tysiąc.

Głos Miss Sundy z żartobliwego stał sie nagle bardzo surowy.

— Żyć można demokratycznie—rzekła—Ale nie chcę ryzykować żadnej szansy umierania w przygodnem towarzystwie.

Oto jedyna, jaką znam, rozmowa osobista z Miss Sundy. Ale i ta wydała mi się świetną lekcją angielskiego : King's English.

II.

Stary clubman. Dniem siadywał w sittingroom'ie pensjonatowym, zagłębiony w fotel, z nogami wyciągniętemi o milę. Często czytał, jeszcze częściej nie robił nic. Ludzie kręcili się koło niego, głośno mówiąc. I obcych języków, i angielskiego słuchał, jak gadulstwa wróbli, na które nie może być odpowiedzi. Kiedy odzywała się syrena na alarm, zwracał twarz w stronę okna, pełen ciekawości. Jeżeli do pokoju wchodziło dziecko, mrugał i przestawiał wzrok, niczem lornetkę dopasowaną do innego dystansu. Lunch jadał sam przy ustronnym stoliku, zasłonięty gazetą.

W porze kolacji przemykał się przez hall do drzwi wyjściowych. Chodziły słuchy, że biega na noc do underground'u. Kiedy napięcie blitz'u wzrosło już tak, że nie sposób było w pensjonacie zachować żadnej prywatności, bo wszystkie drzwi stały otworem, a wszyscy goście od wieczora do świtu snuli się po wspólnych pokojach, wyszło na jaw, że stary pan koło północy wraca. Wraca nie wygnieciony, nie ziewający, jak bywalcy underground' ów, przeciwnie—ożywiony. Hałas bywał wtedy piekielny zazwyczaj, ludzie spierali się :

— To bomby ? Nigdy w świecie, to jest artylerja.

Robili dowcipy, których nikt nie rozumiał, w przerwach zaś między palbą, mimo że "direct hit" dawno został ustalony, jako bezdźwięczny, niemieli w oczekiwaniu na świst.

Otwarcie cieniutkich drzwi od ulicy, w tych warunkach, miało kolosalny efekt— coś, jak zerwanie tamy, czy pęknięcie skały. Ostatnia zapora zdawała się ustępować, a na tle łuny, albo w pomarańczowem świetle flare'ów, stawał żywioł . . . w postaci starego Mister G.

Przyjmowano go irytacją, której nie zauważał. Zostawiał w hall' u palto i kapelusz i—zamiast zmierzać do swego fotela—przyłączał się do gromady. Robił dużo zamaszystych giestów, uśmiechał się, był wysoki, młody, zaczepny, ubranie na nim wyrażało chęć i moc podobania się. Mówił :

— Hullo, boys ! hullo, girls !

W atmosferze czekania na śmierć pojawiał się zapaszek

alkoholu. Mister G. te wieczory wrześniowe poprostu spędzał w swoim klubie. Tak samo, jak czynił od lat 17-tu, odkąd sprawy rodzinne zmusiły go do wystąpienia ze służy administracyjnej w Południ. Afryce. Przed wojną dni—podobno—przeżywał w tym samym fotelu, obcy otoczeniu, wrażliwy jedynie na bieg czasu, który go niósł ku wieczorowi w klubie. Co tam robił? Czy spotykał jedynych ludzi, z którymi mówić warto? Czy wspominał wraz z nimi jedyne sprawy, które warto przeżyć? Czy może znajdował okazję jeszcze jednego i najważniejszego milczenia?

W każdym razie wracał szczęśliwy. Teraz, skoro zastawał w domu tylu czuwających, mógł to swoje szczęście komuś okazać i tak o parę chwil je przedłużyć.

Którejś nocy wrócił wcześniej, niż zwykle i zaraz—mimo niesamowitego trzasku—poszedł spać na górę.

Następnego wieczoru kolację jadł w pensjonacie. Kiedy po syrenie, partje somnambulików, kontrujących bombom, zasiadły w smokingroom'ie do bridża, a w pasażyku na kanapie stłoczyły się kobiety z gumowemi flaszkami w objęciach, Mister G. wyłonił się z hall'u. Pod pachami trzymał prawdziwe butle, w rękach kieliszki. Bez słowa zesunął fotele, stoliki, pod światło rozlał do kieliszków whisky. Siadł. Zaśmiał się.

— Well. . . —zagaił—Mojego klubu już niema. All gone . . . —zatrzepotał rękami, jakgdyby pokazując odlot tej rzeczy, która była wszystkiem.

Piliśmy. Rozmowa się nie kleiła, bo mało kto umiał po angielsku. W pewnym momencie wstrząs od blizkiej bomby tak targnął domem, że służąca z tacą upadła. Mister G. pośpieszył ją ratować. Siadłszy znowu, odprowadził spojrzeniem wychodzącą dziewczynę.

— Czarne uda mają lepszą formę—powiedział.

Godziny płynęły. . . . Stary Mr. G. wstał od stolika dokładnie w tej porze, kiedy do niedawna zwykł był otwierać drzwi frontowe, wpuszczając do pensjonatu blask piekieł. Spojrzeliśmy wszyscy na niego . . . Był wysoki, młody, zaczepny. Uderzył w łopatkę warszawskiego redaktora, poczem szeroko zatoczył ramieniem.

Once more unto the breach, dear friends, once more!
Or close the wall up with our English dead.

Z temi szekspirowskiemi słowami odszedł.

Nie zobaczyliśmy go więcej. Nie wiem, czy wślad za swoim klubem przeniósł się do innej dzielnicy, czy do innego świata. Wiem, że żył podług prawa mocniejszego, niż wojenne. I że przez jeden wieczór my byliśmy jego " dear friends," mogliśmy być " English dead," miał nas za klub jedynych ludzi i najważniejszego milczenia, klub, który przywraca młodość.

III.

Stara osoba z twarzą wizjonerki. Monografistka polskich romantyków. Tłomaczka polskich książek. Polskich? Dlaczego?

Przez miłość do " a handsome dashing Pole "? Tak. Tylko, że tym świetnym Polakiem był dawno umarły Mickiewicz. Poeta, który nigdy do Anglji nie zbłądził, póki go—ducha nieposkromionego—nie wprowadziła tam, w roku 1911-ym, oschła, wiktorjańska Angielka.

Dano mi jej adres zimą. Mieszkała na Hampstead, w starym domu z ogródkiem. Sama otworzyła drzwi. Weszłyśmy na górę i siadły przy kominku. Te same pewnie, co za jej młodości, palisandrowe meble stały naokoło; wystrzygane, czarne profile wujów i ciotek w owalnych ramkach wisiały na ścianie; między niemi—młodzieniec " wsparty na Judahu skale." On. I inni . . . Słowacki. Krasiński. Kościuszko . . . Monika Gardner podała mi herbatę w filiżance z wypełzłą pozłotą. Spłowiała kotara kryła okno. Na stoliku leżały tomy Homera, Virgilego i Danta. Bez trudu to można było odgadnąć, że pięćdziesiąt lat temu leżały już tutaj, kiedy młoda Monika rozlewała swoim wiktorjańskim wujom herbatę do złoconych czarek.

Gruba kotara, tak jak kryła teraz światło lampy przed bombą niemieckiego lotnika, tak pół wieku temu kryła je przed gniewem sąsiadów. O, bo w tym pokoju zawsze, bez względu na epokę, działy się rzeczy przeciwne porządkowi porządnych!

Wujowie, po herbacie u siostrzenicy, wracali do siebie, zapalali długie cybuchy, wkładali szlafmyce, w zaciszu mieszczańskich wnętrz zapominali o świecie.

W roku 1940-ym lotnik, rzuciwszy bombę, wracał do ojczyzny z fotografją świata, mniejszego o kilka domów i o kilka dusz.

Tymczasem—za swoją kotarą—Monika, zarówno pięćdziesiąt lat temu, jak obecnie, oddawała się pracy odkrywania i powiększania świata.

Pracy tej nie imperjalista Kipling ją uczył, tylko uczyli wielcy podróżnicy po niebie i piekle: Homer, Wirgiljusz, Dante.

Razem z Odyssem odwiedzała słonecznych Feaków, przepływała z Eneaszem czarne wody Tartaru, z Dantem patrzyła w ów krąg piekielny, gdzie wiecznie konają źli władcy.

Którejś wiosennej nocy londyńskiej, w latach pierwszych naszego stulecia, wiatr rozchylił kotarę i bezsenny sąsiad sprzeciwka zobaczył pannę we łzach: Monika płakała nad pożółkłą broszurą.

Sąsiad nie spał spowodu reumatyzmu, widok więc zdrowej istoty, płaczącej nocną porą nad drukiem, napełnił go urazą.

Zbudził małżonkę. W swoich włóczkowych i barchanowych szlafrokach, długo stali w oknie, pasąc oczy karygodnym wybrykiem młodości.

— Noc jest do spania. Noc jest do spania—mruczeli.

— Ciekawam cóż to tak wzruszającego ona tam czyta?—zgadywała stara.

— Francuskie romansidło—warknął stary.

Wrócili do łóżka, wrząc od mściwych uczuć. A Monika czytała dalej historję ostatniego polskiego powstania.

Nikt—sądziła—nie widział jej łez. Nie była do nich skora. Nie zgroza je wywołała i nie litość. Raczej tęsknota. Jednak skoro płynęły, poczuła się związana niemi, jak przysięgą.

Jedyne, dostępne jej, drogi ucieczki z wyspiarskiego letargu, prowadziły ją szlakiem magów. Znużyła się już trochę nieziemskością tego szlaku, napastowanego przez harpje, bronionego przez anioły. Młodość żądała spraw realnych. W takiej to chwili znużenia Monika natrafiła na broszurę o polskiej insurekcji. Stanęła przed nią Polska, równie tragiczna, jak starożytny Ereb, czy chrześcjańskie piekło, a przecież rzeczywista, współczesna, podległa ratunkowi.

Monika Gardner zatęskniła do "mierzenia sił na zamiary." Zaczęła uczyć się Polski, odkryła Mickiewicza i ze szlaku magów śródziemnomorskich skręciła na zarośnięty macierzanką trakt nowogródzkiego maga.

Kiedy do niej przyszłam zimą 1940-ego roku, miała za sobą długie życie i kilka angielskich tomów o niespokojnym kontynentalnym narodzie. Po polsku mówiła źle, Polaków widywała nieczęsto, miast naszych i wsi prawie nie znała. Mimo to, lepiej od niejednego Polaka, znała Polskę i rozumiała polskie słowa. Znała tę Polskę, która nigdy nie znika z mapy, rozumiała polszczyznę bohaterów, uczonych, artystów i ludzi pokornego serca.

Zajęta była tłumaczeniem Historji Polski Haleckiego oraz przeróbką własnej książki o Kościuszce. Nie była ani sentymentalna, ani "pełna zapału." O swoich pracach mówiła tak, jak ktoś strudzony, lecz sumienny, mówi o robocie, za którą mu dobrze płacą.

Wieczór mijał cichy, bez alarmu, bez wiatru. . . . Żaden sąsiad nie mógł obserwować nieporządku za okienną kotarą zprzeciwka. Tego nieporządku, że stara kobieta, objęta kategorją obywatelek uciążliwych w bombardowanem mieście, żyje tam, nieporuszona. Że, należąc do szczęśliwego narodu, służy narodowi nieszczęśliwemu. Że z sumiennością odrabia zadania, których jej nikt nie powierzał. I że sytość duszy uważa za dobrą zapłatę.

Nakręcałam numer telefonu Moniki Gardner, kiedy mi

powiedziano, że niema już tego telefonu, ani tego pokoju, gdzie on stał na biurku, i że niema już Moniki Gardner. Był ranek. . . . Wsiadłam w taksówkę, pojechałam na Hampstead, bo w takie rzeczy trudno jest wierzyć na słowo. Sznur przegradzał ulicę. Przy niektórych domach pracowali jeszcze strażacy, swąd i pył stały w powietrzu. Ściany wiadomego mieszkania także jeszcze stały. W środku tylko podobno było pusto. I podobno Monika leżała w palisandrowem łóżku, cudem jakimś spuszczona na dno swojego domu, nakryta popiołem. Rękopisy nadpalone, pozalewane, ale czytelne miano także odgrzebać.

Ludzie patrzyli zza sznura na ogromną wyrwę w szeregu kamienic. . . . W oknie Moniki, powiększonem o pół frontowego muru, łopotała, jak chorągiew, wielka ciężka kotara.

Przez lat pięćdziesiąt kryła przed obmową serce wrogie małości. Aż wytropił je i poraził lotnik wielkiego Führera.

KONCERT

Koncerty odbywały się normalnie.

Ciemniało, kiedyśmy szli przez Regent Street. . . . Jedni ludzie, z tobołami i z dziećmi zmierzali na głuchą noc do underground'u, inni, odświętnie ubrani, na koncert do Queen's Hall'u.

Wielka rotunda zapełniła się szybko i orkiestra przystąpiła do strojenia instrumentów. Jak bek koźlęcia zabrzmiał arpeż na basie; flety, trombony, odzywaly się swemi nieoficjalnemi niemuzycznemi głosami, chrząkając, kwiląc, mrucząc na podobieństwo stada różnorakich zwierząt. To budziło wspomnienia. . . .

Odżył w pamięci pierwszy koncert w życiu. Byłam wtenczas dzieckiem i nienawidziłam muzyki spowodu gam fortepianowych. Do Filharmonji ledwo dałam się zabrać. Potem oszołomił mnie tłum i zadziwiło jego pogodne, uroczyste, marzące czekanie na jakąś ważną rzecz. Sczasem stwierdziłam, że na żadnych innych salach, niż koncertowe—ani w teatrze, ani w cyrku, ani w parlamencie—oczekiwanie nie jest tak pełne radości.

Przypomniałam sobie, że mnie rozśmieszyło owo—po raz pierwszy słyszane—zwierzęce brzmienie instrumentów. A później pan we fraku jednym ruchem pałeczki przemienił hałaśliwe przedmioty w istoty śpiewne, dziwniejsze od aniołów.

Jakże dawno to było! W jak dalekiem mieście! Za cara Mikołaja II.-ego w Warszawie. Od tamtej pory ileż muzyki przepłynęło przez ile, ile miast. . . . Czajkowskiego grano w Lipsku i Bacha w Moskwie, Schuberta w Kairze, Debussy'ego w Hamburgu, Dworzaka we Florencji, Chopina w Amsterdamie, Wagnera w Paryżu. . . . Melba, Szaliapin, Paderewski, Kubelik, Schnabel nosili się przez morza i lądy, tłumy wszędzie stawały na ich drodze i ci cudzoziemcy mówili do nich mową

bardziej zrozumiałą, niż słowa matek i żon. Znikali. . . . A tłumy stały dalej, wsłuchane w ciszę, która jest nad światem. W tej samej ciszy rozrywały się w roku 1940-ym bomby, miotane przez ich rodaków na wielbicieli Kubelika i Schnabla, Carusa i Paderewskiego.

Dopiero ponad ziemską ciszą i ponad stratosferą dźwięczał w tym roku Bach, Chopin, Puccini, Debussy. Między więc jedną a drugą serją bomb, w tych filharmonjach, które jeszcze nie były zburzone, kapelmistrze łapali na batuty, jak na anteny, muzykę wygnaną, muzykę ledwie żywą, rozdawali ją orkiestrom, wzmacniali, a ci melomani, którzy chwilowo nie musieli zabijać—słuchali.

Na koncercie wagnerowskim w Queen's Hall'u widziałam dużo wojskowych. Niektórzy, spóźnieni, wchodzili na palcach i stawali, wsparłszy głowy o kolumny, pod czarem dziewiczego głosu Elzy. Jej śpiew był księżycowy, hypnotyczny. Jeśli ktoś zamknął oczy mógł przebywać w świętym lesie germańskim, gdzie strumienie mają blask mieczów, a ptaki chytrość wężów, przez który " Liebe " cwałuje na czele walkirji do swego nieba, zbryzganego krwią.

Śpiewaczka śpiewała po niemiecku. Angielscy żołnierze, oficerowie R.A.F.'u, dziewczyny w mundurach—wyciągali szyje ku temu kuszeniu z Walhalli. Widać było, że myśląc o " Hunach," nie myśleli nigdy o Wagnerze. Lubili tę muzykę, ten język, jak lubi się skwir jastrzębi. Ogień, który spadał na Londyn, nie kojarzył się w ich wyobraźni ze złością Wotana, a patos wagnerowski z mowami Hitlera.

Na estradę wniesiono tablicę z napisem: Air-raid. Kapelmistrz nie zwolnił i nie przyśpieszył rytmu. Nikt też na sali nie ruszył się z miejsca. Tenor, który właśnie wtedy zastąpił śpiewaczkę, ciągnął bez tremola swoją wysoką Tristanowską nutę. Zagrzmiały bomby, gmach wstrząsnął się. . . . Publiczność z tem większem upodobaniem słuchała Tristana. Jedna tylko młoda kobieta, siedząca w pobliżu mnie, drgnęła, spojrzała wokół, niczem zbudzona ze snu. . . . Jej wzrok zatrzymał się na Tristanie i pociemniał ze zgrozy. Później pobiegł ku sklepieniu, jakgdyby szukając związku między tą pieśnią a nalotem, jakgdyby tropiąc znaki tajemne, które pogańska " Liebe " dawała pogańskiej " Luftwaffe."

" All clear " nastąpił przed końcem koncertu. Niebo zastaliśmy już znowu zaludnione tylko przez gwiazdy, te same nad Londynem, co nad Bayreuth'em i nad Sprewą. Szczątki szyb w rozbitym niedawno, narożnym hotelu, błyszczały od księżyca.

— I wonder—ktoś powiedział—czy nasz dom jeszcze stoi.

— Never mind—ktoś odpowiedział—spędziliśmy piękny wieczór.

STANISŁAW BALIŃSKI.

EWANGELJA SZCZĘŚLIWYCH.

Głuchą nocą zimową szła wdowa bezdomna,
Którą Niemcy wygnali bezlitośnie w pustkę :
Szła smutna, zabłąkana i napół przytomna,
Chroniąc się od uderzeń chłodu w starą chustkę.

Tak się kończyła wojna . . . Kwartał nie przeminął,
A dom ojczyzny zmieniał się w szlaki tułacze :
Syn z wojny nie powrócił, gdzieś przepadł, zaginął,
Wdowa szepce : " mój synu " i nie wie, że płacze.

A nagle z brzegu drogi, jak z przepaści nocy,
Oświetlonej gwiazdami, jak soplami lodu,
Ktoś woła do niej cicho : " Człowieku, pomocy !
Nie mam sił. Jestem ranny. I umieram z chłodu."

Wdowa nie rzekła słowa, tylko chustkę zdjęła
I okrywa rannego a on w tem dotknięciu
Poznał ją i przycisnął tak czule, że drgnęła,
I poznaje go także, i bierze w objęcia.

I siedzieli tak długo, w milczeniu, w cichości,
Na brzegu drogi, ręką dotkniętej marzenia,
Okryci jedną chustką, jak smugą miłości,
Owiani jednem niebem, niebem pocieszenia.

A nagle ona drgnęła i podniosła głowę
I wyciągnęła rękę, a syn spojrzał za nią :
" Czy widzisz, synu—rzekła—to światło różowe ?
Pan Bóg czuwa nad nami. Czy widzisz ? To anioł ! "

Ale to nie był anioł żaden tylko księżyc,
Zwyczajny księżyc wiejski w różowej poświecie :
Wschodził właśnie z nad lasu i oświetlał chłodno
Dwoje ludzi, w tej chwili najszczęśliwszych w świecie.

OLGIERD GÓRKA.

HISTORYCZNY REWIZJONIZM—PRZEBUDOWĄ POLSKIEGO MYŚLENIA.

Świadomość naszych przyszłych prac i zadań w ponownie odbudowywanym państwie polskiem nakłada już teraz obowiązek stawiania zagadnień w chwili obecnej nie aktualnych, czy pozornie nie na czasie.

Broniąc na Powszechnym Kongresie Polskich Historyków w Wilnie w r. 1935 podstaw ideowych rewizjonizmu historycznego, którego jestem inicjatorem, postawiłem historji polskiej i historykom zarzut karmienia myśli polskiej—morfiną. Stwierdziłem wówczas przed aeropagiem specjalistów historycznych z całej Polski, z uzasadnieniem i z przekonaniem, że cały szereg oczywistych fałszów oraz zniekształceń i wyolbrzymień w polskiej historji było pedagogiczną czy pragmatyczną koniecznością wobec uciemiężonego i przez zaborców gnębionego narodu, tak jak jest koniecznością dla lekarza ratowanie morfiną chorego, wijącego się w bólach. Ta rozumowa jednak koncesja była automatycznie podstawą stwierdzenia, że jest wprost grzechem wobec polskiego narodu żywienie morfiną i podtrzymywanie narkotykami w egzaltacji organizmu, który się już odrodził i ma się normalnie na tle rzeczywistości politycznej rozwijać.

Zestawienie megalomańskiej, a nieprawdziwej w wielu faktach i szczegółach historiografii polskiej z morfiną, nie było i nie jest dla mnie tylko porównaniem, ale wprost argumentem i określeniem, stwierdzającem najważniejszy element polskiej psychiki narodowej. Niewątpliwie bowiem już od zapadłych i początkowych wieków dziejów Polski historiografia polska odgrywała w formowaniu się myślenia narodu polskiego identyczną rolę, jaką spełniają szkodliwe narkotyki wobec organizmu człowieka. Trudno gołosłownie zaprzeczać zbyt licznym obcym i polskim stwierdzeniom, że w charakterze i myśleniu polskim tkwi nieproporcjonalny odsetek irracjonalizmu. Było więc moim bardzo ciężkim, uczuciowo przykrym, a w skutkach osobiście fatalnym obowiązkiem, stwierdzenie, że geneza tego irracjonalizmu wywodzi się z polskiej historiografii i od wielu polskich historyków.

I

Gdy senior nauki a niepospolity historyk prof. Tadeusz Wojciechowski, zresztą wierzący katolik, zerwał się do walki z symbolem św. Stanisława Szczepanowskiego, rzucił w świat polskiego myślenia broszurkę p.t. " Plemię Kadłubka," gromiąc na tle sporów o wiek XI-ty to całe pseudoreligijne zakłamanie i bombastyczne, pseudonaukowe oszustwo, które napotkał już u pierwszego polskiego pisarza, Kadłubka. Wszak wypisywano wówczas całe dziesiątki pseudonaukowych " filologicznych " a tendencyjnych elaboratów, mających wykazać nawet, że " traditor " nie oznacza po łacinie zdrajcy.

Nie chciałbym w mem ustalaniu genezy polskiego historycznego zakłamania sięgać aż tak daleko. Moim zdaniem tym najbardziej wpływowym ojcem i inicjatorem polskiego zakłamania jest nie kto inny tylko Jan Długosz, on to bowiem na szereg wieków narzucił ton polskiej historiografii, a w rzeczywistości był tylko do łaski przywróconym politycznym "banitą," w gruncie rzeczy mało skrupulatnym pomniejszycielem Jagiellonów, a obrońcą nawet najszkodliwszych pociągnięć politycznych Oleśnickiego i kliki nieraz zdradzieckich magnatów.

Trudno omówić w ramach artykułu cały wpływ narzucony historiografii przez Długosza. W każdym razie to zakłamanie, które ciągnie się przez wieki, a przetrwało i przetrwać musiało nawet upadek państwa, sięga bardzo daleko i głęboko, wykazując zawsze tę samą niezmienną pretensję, by tę morfinę systematycznie odurzającą polskie mózgi i myślenie, uważać za " świętość narodową."

Do znudzenia interpelowali mnie w słowie i w piśmie mądrzy i głupi, uczeni i naiwni prostaczkowie, poco, w jakim celu, w czyim interesie wskazanem jest burzenie tej twierdzy zakłamania naszych dziejów. Odpowiadałem na kongresach, odpowiadałem w broszurach i pracach. Niestety w kraju czy państwie, gdzie największy wpływ na opinję miał destrukcyjny przez pogoń za poczytnością, a nie ideą, Ilustrowany Kurjer Codzienny z Krakowa, trudno było się przebić z sądem umotywowanym i tak dalece jasnym, że dzisiaj przyznali mu słuszność nawet moi dawni, najpoważniejsi zresztą przeciwnicy. Mam tu na myśli nie tylko brak kontr-argumentów Kongresu Historycznego w Wilnie, ale zwrot dokonany przez prof. Konopczyńskiego przy redagowaniu drugiego tomu historii polskiej, a zwłaszcza jak zawsze rycerskie i lojalne stwierdzenie prof. Oskara Haleckiego. Prof. Halecki, niestety dopiero w Paryżu po katastrofie r. 1939, przyznał otwarcie w druku, że w swym odwróceniu pojęć optymizmu i pesymizmu w polskiej historiografii, czyli w zasadzie polskiego rewizjonizmu—miałem rację.

Wprost z bólem muszę stwierdzić, że dopiero wstrząsający tragizm naszej klęski w r. 1939 stworzył myślowe warunki dla pełnego zwycięstwa filozoficznej i rzeczowej racji rewizjonizmu, tak jak rok 1863 był ojcem " szkoły krakowskiej."

Gdy bowiem w r. 1933 wystąpiłem z postulatem przebudowy treści i syntezy naszych dziejów " in capite et membris," a to jako podstawy do przebudowy polskiego myślenia w duchu realizmu, było to jeszcze zbyt wczesnem wystąpieniem dla naszej sukcesami oszołomionej opinji. Co prawda nie było ono zbyt wczesnem ze stanowiska pracy, którą dokonać należy, powinniśmy byli bowiem rozpocząć ją zaraz po r. 1921, czyli od momentu ustalania się państwa. Za wczesnym jednak był rewizjonizm dla przeciętnego polskiego myślenia, żyjącego w odurzeniu dymu kadzideł i wszelkiego rodzaju narkotyków, aplikowanych zwłaszcza po r. 1935 już bez żadnych kontrakcji w imię stwierdzenia, że " Polska idzie wzwyż." Nic dziwnego więc, że na tle tego masowego odurzania narodu przez prasę, szkołę, naukę i orkiestrę szwoleżerów, mój rewizjonizm historyczny brzmiał jak jakiś przykry, niepotrzebny dysonans, chociaż upominał się tylko o dwie rzeczy, tj. o geopolityczne prawo państwa polskiego do istnienia, oraz o realną ocenę wojskowych możliwości.

Będąc bowiem nie tylko politykiem, ale i historykiem, rozumiałem z całą jasnością, że w miejsce postępu poczynamy w okresie bytu państwowego odbudowywać w naszem myśleniu narodowem śmiertelne grzechy XVIII-go wieku, a więc megalomanję wojskową, popularne a deskruktywne hasła nienawiści religijnych i rasowych, oraz kult dla ingerencji młodzieży w polityce. Dla wielu naszych naiwnych polityków były to jakieś rzekomo nowe prądy, a dla mnie tylko regeneracją starych grzechów. Wiedziałem bowiem, że ogół szlachecki XVIII-go wieku szczerze wierzył, że gdy ruszy do boju szlacheckie pospolite ruszenie, owo " invicibile scutum " Rzeczypospolitej, to " batorówka " konfederata Barskiego rozniesie w strzępy wojska Katarzyny II. i Fryderyka II., niczem marszałek Śmigły w swem oświadczeniu z sierpnia r. 1939.

Wiedziałem, że gdy zbliżały się rozbiory, to z działań i podszeptów rosyjskiej tajnej ajentury ogół polski sto razy więcej zajmował się sprawą dyssydentów niż wszystkimi innymi problemami politycznymi. Tak samo, gdy Polska szła ku katastroficznej sytuacji od r. 1935, ogół polski z działań i podszeptów nie tylko niemieckiej, ale także włoskiej tajnej ajentury sto razy więcej zajmował się sprawami żydowskiemi czy nagonką antymasońską, niż wszystkimi innymi problemami. Ażeby zaś " trudniej było zgadnąć " prawdę ogłupianemu czytelnikowi,

większość materjału z obcych agencji była upstrzona wypadami publicystycznymi przeciw " obcym ajenturom." Wiedziałem wreszcie, że w najsmutniejszych czasach Augusta III. Sasa obowiązywało hasło o " absolutyżmie studentów " i zasada mieszania się młodych czynem do polityki, czynem, którego urozmaicenie w stosunku do wieku XX-go polegało na tem, że Żydów bito tylko w dnie powszednie, a dyssydentów w niedzielę. Wiedziałem o tem wszystkiem i widziałem całą grę. Dlatego zrozumiałem być musi moje poczucie narodowego obowiązku dyssonansu na tle tej harmonii " narodowego " zakłamania.

II.

Rewizjonizm polskiej przeszłości dziejowej, w duchu realizmu i winy własnej wobec przeszłości i teraźniejszości był, dla mego rozumowania historiozoficznego przedewszystkiem koniecznością uzasadnienia geopolitycznej racji bytu niepodległego państwa polskiego.

Mieliśmy czy mamy dziesiątki koncepcji i rozwiązań historiozoficznych polskich dziejów, większość ich jednak chromała i chroma w swych podstawach, ponieważ koliduje z zasadami logicznego rozumowania. Będzie to wielka gama pomysłów tego rodzaju, jak np. że Polska XVIII-go wieku poniosła " karę Bożą " za swe grzechy, czy osłabienie religijności, bez względu na logiczną sprzeczność z tą nagrodą w życiu i w polityce, jaka spotkała " cnotę " Katarzyny II., czy " uczciwość " Fryderyka II. W rzędzie tych z logiką kolidujących pomysłów znajdzie się również np. jakieś rozwiązanie Antoniego Chołoniewskiego, udawadniającego na podstawie wszelkich możliwych błędów naukowych, że postęp i rozwój prowadzą do zaniku wartości państwowych . Możnaby tak długo wyliczać przykłady ale szkoda czasu i miejsca.

W rzeczywistości bowiem z dziesiątka koncepcyj syntetycznych dziejów Polski istnieją tylko dwie, w których proces rozumowania był zgodny z logiką. Jedną jest to koncepcja " narodu wybranego", wspólna zresztą Polakom z Niemcami i Żydami, narodu, który posiadając cudowną przeszłość i nieprawdopodobne walory, przechodzi w rzeczywistości przez męczeństwo, gdyż jest, " Chrystusem narodów," cierpiącym dla zbawienia innych. Mesjanizm wielkiej emigracji wychodził w swem rozumowaniu z całkiem błędnych założeń, zresztą właściwych ogółowi polskiego myślenia historycznego, ale rozumował zgodnie z zasadami logiki. Jeśli naród o tego rodzaju świetnej przeszłości i wartościach przechodzi przez tak straszliwy upadek, względnie, jak dziś możemy powiedzieć,

upadki polityczne, to jest to możliwym tylko dlatego, że jest on przeznaczony przez Opatrzność do roli " Chrystusa narodów." Rozumowanie błędne, ale logiczne w swem przeprowadzeniu i znane w myśleniu ludzkiem, jako ucieczka do mistyki wobec niemożności wytłumaczenia przejawów rzeczywistości. Jest to tak zwane w filozofji niemieckiej "Flucht in die Mysthik." Pomysły te zostawmy minionemu wiekowi i tym, którzy nie chcąc czy nie umiejąc rozumować, próbują częściowo te rzeczy obecnie odgrzebywać.

III

Drugą a jedynie logiczną koncepcją była synteza " szkoły krakowskiej," szkoły kilku zaledwie mózgów, ale mózgów o niebywałej w Polsce sile rozumowania i odwadze cywilnej. Oparła ona swe rozumowanie o krytyczne i naukowe zbadanie naszej przeszłości i rozwiązała dzieje Polski stwierdzeniem, żeśmy upadli i stracili w wieku XVIII swoje państwo, bośmy zawinili. Niewątpliwie jednak szkoła krakowska z jednej strony rozciągnęła chronologicznie swoje wyszukiwanie śmiercionośnych momentów zbyt daleko, bo na czasy przed końcem rządów Jana Kazimierza, a odwrotnie zacieśniła swój punkt widzenia tylko do spraw wewnętrznych i ustrojowych. Dlatego tezę szkoły krakowskiej rozszerzyłem w swym rewizjoniźmie głównie na podstawie obserwacji rzeczywistych, a nie fikcyjnych dziejów polskiej wojskowości. W konsekwencji stwierdziłem przed polskim kongresem historycznym, że " jeśli szkoła krakowska orzekła o polskiej przeszłości :—" winni " ale tylko na podstawie motywów ustrojowych, to dzisiaj musimy powiedzieć : " Po trzykroć winni." Do grzechów bowiem śmiertelnych byłej Rzeczypospolitej Polskiej zaliczyłem nie tylko wady wewnętrzne, ale rozkład wojskowy państwa wskutek pacyfistycznej demilitaryzacji ogółu szlacheckiego, oraz pełne wyniszczenie gospodarcze Rzplitej przez ciasny i bezwzględny egoizm jednej, zresztą bardzo licznej kasty.

Stanowisko szkoły krakowskiej nie utrzymało się na stałe w polskiem myśleniu, gdyż duch Kadłubków, Długoszów okazał się silniejszy. Zwyciężyło t. zw. optymistyczne pojmowanie dziejów Polski głównie na skutek z gruntu fałszywych inspiracji syntetycznych znakomitych zresztą uczonych Askenazego i Balzera. Fatalnie zaciążyła na nowszem myśleniu polskiem ich teza, żeśmy upadli w wieku XVIII-tym nie z winy własnej, ale wskutek warunków i przewagi przemożnych, bo połączonych sąsiadów. Jest to ta sama teza, która dzisiaj odżywa w rozmaitych wywodach emigranckich, a mianowicie ześmy zostali zgnieceni w r. 1939 przez nieuchronną konieczność, a bez

względu na błędy polityczne wobec Czechosłowacji i Niemiec, lub grzechy wojskowe.

Autorowie tych wszystkich pomysłów o decydowaniu wypadków przez warunki zarówno w odniesieniu do XVIII-go jak i XX-go wieku, nie zdawali i nie zdają sobie sprawy, że to rzekomo " optymistyczne " rozumowanie prowadzi do najczarniejszego i najbardziej pesymistycznego wniosku, wniosku głoszonego stale przez naukę i publicystykę niemiecką, a mianowicie, że naród polski nie ma geopolitycznych warunków do samodzielnego bytu. Logicznie bowiem biorąc wszystkie rozumowania, wybielające polską przeszłość przed końcem XVIII-go wieku, lub próbujące usprawiedliwiać błędy polityczne popełnione przez nas od r. 1935, t. j. od momentu powszechnej służby wojskowej w Niemczech i obsadzenia Nadrenii,—prowadzą z niezłomną konsekwencją do zakwestionowania racji bytu państwa polskiego.

Stanowisko natomiast, przyjmujące winę własną zarówno w wieku XVIII-tym, jak teraz w XX-tym, prowadzi do stwierdzenia, że mamy nie tylko prawo, ale geopolityczne warunki do istnienia jako silne i niepodległe państwo, a to niezależnie od historycznej winy ludzi, którzy poszczególne sytuacje koniunkturalne czasowo przegrywali. Raz bowiem w wieku XVIIIym będzie to klęska z winy ogółu szlacheckiego, skupionego z przekonania i tradycji przy ideologii Targowicy, a przy nieporównanie wartościowszej " górze " skupionej przy królu, a drugi raz w wieku XX-ym z winy tej rządzącej " góry " przy nieporównanie wartościowszej masie narodu.

Te oscylacje jednak między " górą " a " dołem " narodowym nie zmieniają podstaw rozumowania, które streszcza się w dylemacie, że albo możemy istnieć jako państwo, ale przegrywamy je czasowo z własnej winy, albo jesteśmy zasadniczo bez winy, ale upadamy jako państwo, gdyż to państwo nie ma potrzebnych warunków do niepodległej egzystencji i przetrzymywania burz dziejowych. Tertium non datur, czyli trzecia możliwość logicznego rozwiązania załamań się państwowości polskiej nie istnieje, chyba że ktoś wzorem wyznawców Towiańszczyzny ucieknie w sfery mistyki. Osobiście, jako Polak, jeśli stoję przed wyborem między potępieniem winy ludzkiej, a przekreśleniem racji bytu państwa polskiego, mogę tylko potępić poszczególnych ludzi, a nigdy przekreślić Polskę. Jest to zresztą nie tylko logiczne, ale zgodne z wymową cyfr i danych. Mogliśmy zarówno uniknąć upadku państwa polskiego w wieku XVIII-ym, zaczynając ratunek wcześniej, a nie dopiero w 1788 r., taksamo jak mogliśmy uratować Polskę przed załamaniem się w r. 1939, ale tylko w r. 1938 przez wojnę z Niemcami po stronie Czechosłowacji i w przymierzu z Sowietami.

Dzieje swego narodu wygrywają i przegrywają tylko—ludzie.

Ideowa podstawa mego hasła o konieczności rewizji polskich dziejów leżała jednak nie tylko w logice podstaw historiozoficznych. Rzeczowy i bespośredni powód leżał w mem poczuciu obowiązku walki z przerażającą, a rozpowszechnioną u nas naiwnością wojskowej megalomanii. Jako naród w okresie walki rewolucyjnej musieliśmy wierzyć, że z kosami najlepiej uderza się na armaty, oraz być przekonanymi, żeśmy zawsze w swych dziejach pobijali bez trudu dziesięciokrotnie silniejszego nieprzyjaciela. Były to niezbędne zastrzyki morfiny dla podtrzymywania ducha narodowego, chociaż każdy znający historję wojskowości wogóle wie, że zwycięstwa słabszych sił nad liczniejszymi należą do takich wyjątków, jak nasz Kirholm lub Kłuszyn, naogół zaś czy raczej z zasady są niemożliwością. Oczywiście słabszy może się bronić przez pewien czas ale nie zwyciężać. Niestety w takich megalomańskich fikcjach o stałem zwyciężaniu silniejszych wychowaliśmy cały ogół polski, a więc także za Polskę odpowiedzialną " górę," nie przygotowaną duchowo do racjonalnych kalkulacji. Gdy mi swego czasu opowiedziano, że odpowiedzialny za nasze wojsko minister miał stwierdzić przed generałem Gamelin, że entuzjazmem wyrównamy dysproporcję liczbową dywizji i czołgów, musiałem wybuchnąć: " oto skutki Sienkiewiczjady w mózgach ludzi mających być odpowiedzialnymi."

Dlatego z całą świadomością zaatakowałem ze względów narodowo-wychowawczych odcinek najjaskrawszy i najbardziej bajkowy, bo te liczne setki tysięcy Tatarów i Kozaków, które minimalnymi siłami roznosiliśmy na szablach. Cyfrę, obowiązującą przed moimi naukowymi wystąpieniami, 500 tys. Kozaków i Tatarów pod Zbarażem obniżyłem do jednej dziesiątej, oczywiście z niezbitymi dowodami naukowymi w ręku. Tak samo na podstawie nieznanych u nas źródeł wschodnich i statystyk wykazałem, że całe carstwo krymskie XVIII wieku liczyło zaledwie 155 tysięcy ludności, z kobietami i dziećmi, a w tem tylko 120 tysięcy ludności muzułmańskiej. Jasną jest na tem tle dla każdego cała naiwność naszych bajek historycznych o tych najazdach stu czy dwustu tysięcy Tatarów, którzy w rzeczywistości w kilka, a najwyżej w kilkanaście tysięcy konnych przeszło dwieście razy pustoszyli ziemie polskie. Stwierdziłem też wtenczas brutalnie, żeśmy byli przez wieki tylko terenem eksploatacyjnym dla Tatarów, wmawiając natomiast w siebie, pod wpływem historycznej morfiny, żeśmy byli " przedmurzem."

Dzisiaj w czasach naszych smutków nad nurtami Tamizy zaprawdę ciężko mi na duszy, gdy te prawdy przypominam, 1)

1) Dlatego w mym skrócie dla obcych " Outline of Polish history " ani nie mogłem —bez dowodów i uzasadnień—ani też nie chciałem zmieniać dotychczas przyjętego w nauce sposobu przedstawiania dziejów zwłaszcza dawniejszych.

zwłaszcza gdy zważę, że jesteśmy w boju. Podobno zaś praktyka wykazała, że lepszą jest dla lotnika dawka heroiny niż francuski brom. Piszę jednak te słowa dla tych, którzy chcą wpływać i formować przyszłe myślenie polskie, a dla tego myślenia już teraz, a zwłaszcza w przyszłości konieczna jest świadomość, że tylko szaleniec mógłby szkolić początkujących pilotów przy pomocy dawek heroiny czy morfiny.

IV.

Jesteśmy narodem może nawet bardziej od innych kochającym swoje dzieje, ale zarazem narodem najmniej, a w każdym razie nieporównanie mniej od wszystkich innych, zorientowanym w rzeczywistym przebiegu naszej przeszłości. O decyzjach i rozumowaniach każdego człowieka, nawet na najwyższych stanowiskach państwowych, rozstrzygają na ogół te okruchy wiedzy z zakresu dziejów, własnej sytuacji i literatury swego kraju, które nabył w młodości. W 90 wypadkach na 100 nawet czołowi politycy operują w swych rozważaniach tym zasobem wstępnych wiadomości humanistycznych, przyczem własna znajomość dziejów i wiedza o swoim kraju rozstrzyga o podstawach rozumowania, a literatura decyduje o emocjonalnych naszych nastawieniach.

Tymczasem w dawnej Polsce przy rozmaitych, a zbyt częstych próbach reformowania wychowania, mieliśmy tylko jedną próbę reformy wykształcenia, próbę zdrowotną, ale która zaczęła działać zbyt późno, t.j. reformę podręczników, dokonaną w czasach Komisji Edukacyjnej. Nie zdobyliśmy się natomiast na wprost niezbędną reformę całokształtu polskiego wykształcenia z zakresu historii, wiedzy o Polsce i literatury w odrodzonym państwie, zatrzymując nienaruszone wszystkie te narkotyzujące i fałszywe inspiracje, które nawet były wskazane ale w okresie niewoli narodowej. Krytyka powyższa odnosi się zarówno do wiedzy historycznej, jak do inspiracji w zakresie literatury, a może jeszcze bardziej do tych ułamków wiedzy ekonomicznej i statystycznej, które szkoła dawała do chwil ostatnich młodym Polakom.

Ogółowi polskiemu zagadnienie rewizjonizmu historycznego, zainicjowane w r. 1933, znane jest na ogół tylko ze spopularyzowanego odłamka sprawy, t.j. z mych bojów o wartość historyczną "Ogniem i Mieczem," przy czem 999 Polaków na 1000 zna tę sprawę głównie z rozmów i oczywistych kłamstw i fałszerstw źródeł historycznych na łamach "Ilustrowanego Kurjera Codziennego." Polskie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, mimo takich czy innych zmian

ministrów, niedostępna twierdza zakłamania myślowego, broniło się stale przed wszelką próbą wprowadzenia chociażby słówka prawdy dziejowej do naszego nauczania. Niewątpliwie zainteresuje czytelników fakt, że to samo ministerstwo, które nawet polecało jako tematy maturalne historyczność "Ogniem i Mieczem," nie dopuściło jednego egzemplarza mej książki "Ogniem i Mieczem, a rzeczywistość historyczna" do bibliotek szkolnych, by przypadkiem chociażby słówko zwątpień w oficjalne zakłamanie nie dotarło do mózgów nauczycieli i uczniów.

Niedawno temu, a już na terenie londyńskim, p. Z. Nowakowski w formie miłej anegdoty o popularności Sienkiewicza stwierdził, jakto każdy żołnierz polski w Szkocji wie o tem, że kurta Longinusa była ze świebodzińskiego sukna. Niestety tak, to prawda, ale zarazem przerażająco smutna prawda. Wszyscy w Polsce wiedzą, że rzekoma kurta rzekomego Longinusa była z rzekomego świebodzińskiego sukna, poprostu dlatego, że to jest taka sobie literacka nieodpowiedzialna "bujda." Wiedza zaś historyczna przeciętnego Polaka składa się właśnie z całej nieprzebranej wprost kolekcji podobnych, z pietyzmem podtrzymywanych, głupstw i fałszów anegdotycznych, nic wogóle z prawdą historyczną nie mających wspólnego.

Założę się chętnie z p. Nowakowskim, że ani jeden z tych znawców dziejów Longinusa, nawet po doktoryzowaniu się z historii na uniwersytecie polskim, nie tylko nie wie, ale nawet nie słyszał o takich podstawowych faktach dziejów Polski, jak to, że najkrwawszą i najważniejszą bitwą Polski w XVII-ym wieku były Mątwy, że Kostytucja 3-go Maja nie miała za sobą nawet piątej części uprawnionych głosów, a Konfederacja Targowicka dla odmiany miała za sobą poparcie 90% narodu szlacheckiego. Obserwację tą mogłem zrobić na Kongresie Historycznym, chociaż te ostatnie momenty dziejowe znane były już od czasów ks. Kalinki. Powodem tej nieznajomości zasadniczych faktów nawet u historyków jest fałszywa popularyzacja i pragmatyzacja wiedzy, która z dorobku badań polskich doprowadzała do wiadomości ogółu, nawet naukowego, tylko dane tendencyjne i fałszywe, a wprost nie dopuszczała rzeczy niewątpliwych, a najważniejszych.

Niech się więc pocieszą znawcy dziejów Longinusa tem, że nawet uniwersytecka nauka w osobnej monografii o Jaremie Wiśniowieckim nie podała faktu, że specjalnością tego destruktywnego ideału polskiej młodzieży, Jaremy, było obrabowywanie z biżuterii własnej stryjenki i to w dodatku pod pretekstem przybycia na pogrzeb stryja! Mur kłamstwa dla celów politycznych jest tak silny, że o takich szczegółach nikt w Polsce nie

słyszał, chociaż dowody sądowe na to zawarte są w jednej z najbardziej znanych książek, jak " Prawem i lewem " W. Łozińskiego. Nic dziwnego więc, że ogół polski po dziś nie rozumie, że z pomiędzy tych dwóch kamratów i wspólników z pewnością początkowo lepszym Polakiem był Bohdan Chmielnicki, żołnierz z pod Cecory, a syn Michała, dowódzcy polskich wolontarjuszy, który legł bohatersko pod tą Cecorą u boku Zółkiewskiego, niż eksschyzmatyk, marzący o hetmaństwie kozackim, Jarema Wiśniowiecki, nie mający kropli krwi polskiej w sobie.

Przy wszystkich tych bowiem prawdach stajemy wobec, może nie zorganizowanego, ale świadomego okłamywania ogółu dla celów polityczno-wychowawczych, oczywiście w duchu tragicznego deprawowania myślenia polskiej młodzieży wrogością wobec innych współobywateli. Dlatego też by nie osłabiać efektu nie pozwolono powiedzieć, ani w szkole ani w prasie, że oceny, konstrukcja i apoteozowanie Jaremy w Polsce wywodzi się genetycznie niewątpliwie tylko z jednego źródła, a mianowicie z kroniki hebrajskiej "Jewejn Mecula" (Cuchnące Bagno), wydanej w r. 1654, a to z wdzięczności za przeprowadzenie przez Jaremę Żydów z Ukrainy do Polski ! Najważniejszym dla mnie momentem, poza walką z fatalnym wręcz wpływem " Ogniem i mieczem " na duszę polską, była możność jaskrawego sprezentowania tego celowego okłamywania, niedopuszczającego do mózgów polskich zdrowych ocen i zdrowych tendencji politycznych. Walka nie była do wygrania, przynajmniej przed katastrofą 1939 r., ponieważ zorganizowany teror brukowej i najniższym instynktom nacjonalistycznym hołdującej prasy, decydował niemal bezapelacyjnie w Polsce o tem, kogo należy uznawać, a kogo należy potępiać.

Zło jednak tkwiło nie tylko w wiedzy o faktach z polskiej przeszłości. Może jeszcze bardziej odnosiło się to do t. zw. " Polski współczesnej," czyli wiedzy o danych rzeczowych i stosunkach w Polsce odrodzonej. W tym to podstawowym dziale uczeń pod karą złej noty musiał powtarzać za wytłuszczonym specjalnie ustępem najbardziej rozpowszechnionego podręcznika, że tylko " prawica " jest elementem konstrukcyjnym państwa polskiego, a "lewica " jedynie przeszkadza w rządzeniu i rozwoju. Sic ! Naturalnie obkuwano się takimi prawdami w szkołach polskich jeszcze dobrze przed rokiem 1926, kiedy to premierami i ministrami oświaty byli rozmaitego gatunku " lewicowcy." Tego rodzaju bowiem sprawy natury zasadniczej załatwiali jedynie " prawicowi " referenci z tej twierdzy zakłamania zwanej Ministerstwem Oświaty, niezmienni zresztą na swych stanowiskach od 1919 do 1939 r. Ponieważ oni jedynie umieli załatwiać " kawałki," o czem ministrowie naogół nie

mieli pojęcia, byli tem samem czynnikiem nienaruszalnym, a decydującym mimo dziesiątek zmian ministrów, kierunków i pomysłów wychowawczych.

Ten fakt tłumaczy również dlaczego przez lat 20 nie wcisnęły się żadne zdrowe, a porównawcze elementy do tej podstawy myślenia politycznego ogółu w Polsce, t.j. do nauczania " Polski współczesnej." Tak samo bowiem jak ogół, starszy i młodszy, nie znał i nie zna podstawowych faktów historycznych naszych dziejów, tak samo z pewnością mało który z tych znawców garderoby Longinusa byłby w stanie powiedzieć wielu czy też jaki procent Polaków był w danej Polsce, w jakiej mierze spadł procent Żydów w Polsce (porównawczo około 50 %), jaki był stosunek siły podatkowej w Polsce, a w Czechosłowacji lub na Węgrzech, czy też jaki wogóle jest stosunek między potencjałem gospodarczym Polski, a innych krajów znacznie od Polski mniejszych. Nie mówię już o tem, że ogół wogóle nie znał faktu wypompowywania w ostatnich latach przez zagranicę wszystkich pieniędzy z Polski, a to na skutek wytwarzania się w Europie i Ameryce z własnej naszej winy atmosfery nam wrogiej. Nic dziwnego więc, że również dzisiaj, świetny wprost w swym publicystycznym rozmachu, ale fałszywy w swych założeniach, artykuł pióra I. Matuszewskiego " Wola Polski " może znaleść szeroki poklask i uznanie naszej opinji emigracyjnej.

Upominałem się o obowiązek podawania prawdy na kongresach historycznych i w pismach, powtarzam to obecnie. Uprzystępnijmy narodowi, wojsku i młodzieży fakty i cyfry prawdziwe, a wtenczas wszyscy zaczniemy myśleć inaczej. Jestem głęboko przekonany, że gdyby młodzież polska znała chociażby całą prawdę o konfederacji radomskiej, barskiej i targowickiej, o roli obcych ajentów w sprawach dyssydentów i żydowskich, gdyby mogła sama z dokumentów odczytywanych w szkołach stwierdzić, jak to najefektowniejsze hasła prowadziły do katastrofalnych skutków, jak n.p. hasłem mieszania się " młodych " do polityki za czasów Sasów wychowano najgorsze pokolenie polskie itd. itd., to całe myślenie polskiego ogółu wyglądałoby inaczej, kierując się ku światłom postępu, liberalizmu i jagiellońskiej ideologii, a nie ku destrukcyjno-krzykliwym hasłom ciemnoty, nienawiści i reakcji, na której żerują obce ajentury.

Błędnem wreszcie byłoby przypuszczenie, że świetność naszych dziejów, wymowa faktów i przykładów, patriotyczna inspiracja literatury straci na swym blasku wskutek prawdy nakazanej tendencjami rewizjonizmu historycznego.

Broniłem się zawsze przeciw wszelkim zarzutom i tendencjom odbronzawiania, czyli ściągania tradycyjnej patyny z piękności naszej przeszłości. Rewizjonizm historyczny nie był i nie jest

odbronzawianiem a tylko tendencją do przewartościowania szeregu momentów z dziejów Polski. Tak samo bowiem jak zakłamanie stworzyło cały szereg fikcyjnych bohaterów i świętości z ludzi i tendencyj z gruntu ujemnych, to samo zakłamanie pohańbiło albo raczej schowało w cień szereg bardzo dodatnich momentów i postaci naszych dziejów. Dla przykładu tylko przypomnę, że odsłaniając prawdę o tej jednej z najciemniejszych postaci dziejów Polski, o Jaremim Wiśniowieckim, wydobyłem tem samem na czoło jego wroga, a zarazem najszlachetniejszą i najdodatniejszą postać dziejów Polski "klerykała" Jerzego Ossolińskiego. Tak samo przywróciłem już na stałe do głosu wielkość wojskową i szlachetne tendencje polityczne Jana Kazimierza również wroga Jaremy. W miejsce fikcji magnackich niepohamowanego snobizmu Sienkiewicza, wydobyłem na światło dzienne bohaterstwo "chamów" i mieszczuchów XVII wieku, przygotowując tem prawdę, najbardziej twórczą, że dopiero gdy czeladniki w insurekcji warszawskiej, a chłopy w legionach Dąbrowskiego ruszyły do szturmu, sława bohaterstwa polskiego osiągnęła swój szczyt zasłużony i rzeczywisty. Fikcją jest bowiem i tanim frazesem czczej gadaniny, że dopiero Sienkiewicz zrodził w nas ducha bohaterstwa. Najwyższe walory żołnierskie wykazaliśmy w epoce napoleońskiej a oczywiście chyba nie pod wpływem Trembeckich, Brodzińskich czy Karpińskich! Oczywiście morfina gloryfikacji Sienkiewiczowskiej, obok twórczości Matejkowskiej, była—jak się wyrażano—tymi dwoma rezerwuarami tlenu dla płuc ciemiężonego narodu. Sam to dobitnie zawsze podkreślałem. Niestety, wskutek snobizmu, twórczość Sienkiewicza była nierówna i niekonsekwentna. Dlatego też może nikt tak nie potępił "Ogniem i mieczem," jak właśnie sam Sienkiewicz w opowiadaniu ks. Kamińskiego z "Pana Wołodyjowskiego."

Rewizjonizm jest nie tylko hasłem usunięcia destrukcyjnych plew z polskiej wiedzy i myślenia, ale również tendencją wydobycia na wierzch walorów nie tylko prawdziwych, ale naprawdę twórczych i stwierdzających, że przyszła Polska, to szerokie masy ludu polskiego we wszystkich swoich formach, a nie tylko snobistyczna blaga staroszlachetczyzny i napuszone frazesem nacjonalistycznym popisy tego następcy szlachetki, jakim stał się krzykliwy "inteligent" od "mącenia narodowej kadzi."

Rewizjonizm historyczny wreszcie, czy ta moja próba inicjatywy jest tylko szczegółem wielkiej walki duchów, jaka się toczy o duszę polską od zarania XII-go wieku. W tej walce o duszę polską z jednej strony stanęła do boju falanga duchów, wywodząca się od Kadłubka i Długosza, płynąca przez literaturę Maksymilianów Fredrów, Pasków, Rzewuskich i.t.d., by odżyć

w ewangelicznym snobiźmie Krasińskiego i w całem naszem " optymistycznem " historycznem i powieściowem pisarstwie. Falanga ta dominowała i dominuje jeszcze nad myśleniem polskiem, oklaskiwana zewsząd i przez wszystkich, zachłystywująca się sama frazesem i samochwalstwem, a odurzająca ogół lotnymi oparami pięknego słowa.

Walczy jednak z tą falangą duchów druga falanga niepospolitych umysłów, której początek może należy wyznaczyć na Ostroroga, choć głównie przebija się ona w dwóch przeciwnych biegunach: Fryczu Modrzewskim i Piotrze Skardze. Jest w tem pewien konsekwentny paradoks dziejów polskiego myślenia, że zdrowa myśl polityczna i obowiązek gromienia rodaków wywodzi się już od XVI wieku równorzędnie ze skrajnej lewicy i ze skrajnej prawicy, jeślibyśmy się chcieli wypowiedzieć dzisiejszym nowoczesnym językiem. Jest to, jak powiadam, konsekwentny paradoks, bo zdrowie dla duszy polskiej będzie raz się zjawiać na lewo, a raz na prawo, zostawiając gros potocznego a płytkiego myślowego koryta drobnej masie intelektualnej szlachetczyzny, a potem t. zw. inteligencji.

Druga ta twórcza, a w słowach często tak bolesna falanga duchów płynie potem przez literaturę Leszczyńskich, Konarskich, Stasziców i Kołłątajów, by po tragicznych załamaniach się osiągnąć szczyt napięcia w Słowackiego " Pawiu i papudze " i jego krzyku o Polsce, którą " błyskotkami łudzą." Niech się więc też nikt nie dziwi, że potężne gromy tej drugiej konstrukcyjnej falangi duchów znajdowałem równocześnie w słowach Bobrzyńskiego jak w gorzkich prawdach Piłsudskiego, z którego pod koniec nie zostało nic poza workiem uzasadnionej goryczy. W mgłach " Króla Ducha " Słowackiego jest jednak tyle prawdy!

Jesteśmy narodem, który nie ma prawa wyznaczać sobie fikcyjnej roli jakiegoś wybrańca Opatrzności, losu czy zalet, gdyż przeciwnie jesteśmy narodem, któremu na chwilę nie wolno zapomnieć o największej i najbardziej podstawowej prawdzie —rzuconej przeze mnie u podstaw i w początkach rewizjonizmu historycznego,—a mianowicie, że mamy najgorsze geopolityczne położenie na całej kuli ziemskiej! Nie ma bowiem drugiego narodu na świecie, któryby z naszymi tytułami do niepodległości, wielkości i siły, znajdował się tak, jak my, między tarciem dwóch innych, największych bloków narodowościowych świata. Lubimy recytować z wiarą i przekonaniem: " Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie! " nie wiedząc, że o wiele słuszniej śpiewano w Polsce po r. 1848: " Wszystko nam wziąłeś, co wziąść mogłeś, Panie! " Zresztą jeszcze tylko jeden więcej szczegół schowany przez polskich historyków pod korcem, nie do odnalezienia w żadnym podręczniku czy opracowaniu!

Grzechem więc jest to pocieszanie się raz historyczne, a raz polityczne, że inni nie są lepsi od nas, że także popełniają błędy i wykazują wady, moment, który w nauce polskiej najbardziej rozpropagowała broszura Balzera " Z zagadnień ustrojowych." Dla innych wady i grzechy są dzięki sytuacji geopolitycznej tylko przejściowymi chorobami, dla nas stają się śmierciono-śnymi ciosami! Wystarczy z ostatnich przykładów przypomnieć chociażby fakt, że gdybyśmy byli pozwolili sobie na dwuletnie mordowanie się, tak jak niedawno temu Hiszpanie, to zniknęlibyśmy z karty Europy, nawet bez wojny światowej. Grzech więc wobec polskiego narodu popełniają ci wszyscy, którzy uzasadnionem nawet oskarżaniem i krytykowaniem innych, próbują pomniejszać i wybielać nasze własne wady i błędy. W polskiej polityce mylić się nie wolno, ani też w polskiem myśleniu nie wolno uniewinniać winnych. Szczegół, że są winni z dobrej, a nie złej woli, jest tylko okolicznością łagodzącą.

Jeśli więc dalej, a teraz już na tym nowym, naszym emigranckim terenie, toczy się ta nieprzerwana walka tych dwóch falang duchów, to wolę być potępianym krytykiem polskiej przeszłości i teraźniejszości, niż być z wszech stron oklaskiwanym chwalcą.

Od wieków bowiem dla dziejów Polski szkodliwszym, bo głębszym w skutkach wrogiem, niż Zachód i Wschód, był i jest gloryfikujący, płytki frazes, nacjonalistyczna tromtadracja i wojskowa megalomanja.



FELIKS TOPOLSKI

PODRÓŻ DO ROSJI

Poniedziałek 11. VIII. Euston Station. Gęsto od Polaków:—warjat, po co jedziesz . . . zazdroszczę . . . no, co, jednak się pan zdecydował—Pantomina uścisków z byle kim pod ręką, żeby się tradycja wypełniła. Pociąg rusza i rozpędza się rewją twarzy znajomych, a przedziwnie od nowa zobaczonych: twarze litosne, chytre, formalne, Mariony twarz pożegnalna, ostatni profesor Kot kompletuje rytuał ostatecznym gestem kapelusza. Zmierzcha i Anglja miga za oknami też " zobaczona ": zaczernione w dymach pędzące szeregi architektury ubóstwa i industrii—bolą szczerby wywalone bombami.

A w wagonie pantomina przedstawiania się. Stają w drzwiach przedziału coraz to nowi panowie:—Nie mam przyjemności . . . Łopatto jestem . . . Moje uszanowanie . . . Strumph-Wojtkiewicz . . .

Po przez te obrzędy rodzime probuję zamyślać się syntetycznie. A więc Crewe w dramacie przedwieczornej godziny: tuż za oknem ucina się stacja i peron pełen żołnierzy rozchełstanych i dziewcząt białołydych, a dalej w chmurze pary i mgły pejzaż szyn, sygnałów już oświetlonych i dymiących kominów, obwieszony balonami—Anglja w wojnie; obrysowana na wszystkie strony przeze mnie, obgapiona—dosyć czy nie dosyć—wolę przecież te Crewe rysować jeszcze raz i znowóż raz jeszcze, niż nieznane egzotyki sowieckie.

W wagonie po polsku—nigdy nie kończące się zawikłanie w sobie samych: a więc o Kościuszce, o szkockich krzywdach podchorążackich i o Rubensie, o wiceministrze czegoś tam i o Zaleszczykach.

A ja wciąż wywalczam cichcem autentyzm chwili, przedzieram się przez stare sprawy Śmigłego Rydza i kotłowaninę rozmowy

o Wiadomości Polskich postawie, ale coraz trudniej—odjeżdzam z Anglji na dobre—w polską " rzeczywistość."

Liverpool. Czarna stacja. Ludzie w niewoli waliz. Bzdura tłoku. Hierarchja klaruje się z dokumentami i rejestracją—jestem niczem—włazi mi zadzior zazdrości o niebieski, naprawdę dyplomatyczny paszport.

Hotel Adelphi. Tandeta prowincjonalnej pozy. Robert Montgomery błyszczy amerykańskim mundurem marynarskim i operetkuje całe widowisko. Nasi lotnicy na wypoczynku odrabiają swoje erotyczne chody. Idę spać spłaszczony jakoś; winda natłacza się londyńskim baletem na gościnnych występach: Helpmann, Pamela May, Margot Fontain, cieszą się mną. Odbijam się na dyplomatach. Pewnie po raz ostatni.

12. VIII. Ósma rano. Okno w hotelu pokazuje wspaniały czarny Liverpool—kusi. Wychodzę na groźny pobitewny pejzaż każdego miasta tego kraju: czarne klasycyzmy George Hall'u, kolumn, konnych pomników, w wieńcu sklepów, brzęczących otwieraniem żaluzji. Policjant ukrzyżowany (ruchem dyryguje) na tle patetycznej ogromnej ruiny Colosseum handlu—" Marks & Spencer Stores."

Wietrzysko portowo-deszczowe oblepia "nikeńsko" kiecki wokół biegnących ciał dziewcząt sklepowych Liverpoolu (skądże one takie świetne w tem złem mieście?).

W hotelu pośpiech i zaganianie:—Ach, ci artyści, zawsze się muszą zapodziać . . . Zapobiegliwy P.A.T. Wojtkiewicz wyczytał w dzisiejszej gazecie liverpoolskiej, że włoska prasa wzywa niemiecką flotę do zwrócenia uwagi na jedyną drogę morską i jedyny port Archangielsk, przez który brytyjczycy będą próbowali zaopatrywać Rosję w materjały wojenne. W samą porę. Właśnie my wyruszamy z pierwszym takim konwojem a jeszcze jedna depesza powiada, że Tirpitz wypłynął z Bałtyku—rada włoska spodobała się niemiaszkom.

" . . . . . . Castle" malowany sino i ogromny. Stary sierżant w granicznej odprawie rozpoznaje nazwisko i mruga koknejsko:—" News Chronicle" ? eh ?—Czuję się lepiej.

Ale na pokładzie gonitwa za trywialjami. Wysiłki (żeby nie urazić) dobrania się razem z Ksawerym w jednej kabinie. Starania, żeby pani oficerowa za to z mężem się złączyła. Wyścig po lukach, żeby na kufry własne popatrzeć. Nigdym nie znalazł mojego—aż w Moskwie. Kostjumowe melancholijne wysiłki, że niby podróż na okręcie, więc może czapeczka w kratkę. Uroczystość momentu zamordowana.

I kiedy po celebracji manewrów cumami (z całym ładunkiem ludzkim wiszącym na burtach) ruszamy—nic skupienia. Żołnierzyki wywrzaskują smarkaczowskie nieprzyzwoitości do zadzistych WRENEK na molo. Chichocą WRENKI i tak w cham-

skim hałasie i piskach statczysko (11.000 ton powiada steward) hieratycznie obraca się, rozkołysana woda oddziela nas już od brzegu, wiatr ogromny dmie. Już szczegóły giną. Już brzeg jest " panoramą " i znajome krępe figurki w khaki krzątają się już zabawkowo przy działach nadbrzeżnych. Potrącani holownikami nadziewamy się na kierunek i płyniemy już naprawdę.



Jeszcze ciągle probuję szukać sensu, dramatu czy czegoś tam, czego się zawsze szuka w takich razach, ale błahe szwendanie się po statku, rozklejanie w szczegółach, rozmóweczki i rozmówczątka włażą w paradę. Niema epiki za grosz.

W wirującym wentylatorami lounge'u pierwszy alarm próbny : Vernona Bartletta M.P. głowa wypływa niespodziewanie na półmisku pasa ratunkowego. Ceremonjalnie kłaniam się kryzą kryzie Mrs. Haldane—próba zdawkowości pod melodję złowróżbnych instrukcji ratowniczych oficera w kołnierzu pajaca, —" first rehearsal " naszej skromnej tragikomedji.

13. VIII. " Lovely morning "—powiada steward z herbatą. " Fairly rough "—powiada oficer R.A.F. Na " promenade-deck " paddockuje ciurkiem wcale fascynująca kolekcja—osoby dramatu : amerykański lotnik—świeżość i buńczuczność ; United Press amerykański korespondent Carroll—równowaga i język dziecka ; pułkownik sztabu generalnego, jak malowanka—różowo (buziaki)—czarno (nastroszone wąsiska)—khaki ; Charlotte Haldane—zaczepny kostjum emancypancko-lewicowej cyganki ; przeplatanka Pola-

ków każdy inny—od doskonałych po przez prowincjonalnie przerasowanych, aż do przedziwnie surowych. Czesi i czeszki bardzo fasadowi—toczą się w błyskach medali i zamożności futer. Lotnicy — rozdokazywani. Bartlett — Pickwickowaty John Bull galopuje dufnie wte i wewte. Malutki doktorek-major wspina się ku za wysokim sprawom.

A więc sumujmy. Sprawa główna—transport lotnictwa ze wszystkimi bojowymi szykanami plus jedno jedyne małżeństwo mordujące rygor bieganiną i błaganiami o wspólną kabinę (długo jeszcze będą się prosili) plus " Polish Diplomatic Cavalry " (nasi przyszli radcy i attache'owie ambasady wciąż—na długo jeszcze—w wysokich butach, świecący guzikami, proporczykami kryci, bereciki, otoki) plus oddział marynarzy i jeden Royal Marine plus Czesi, politycy, komuniści, militarni, morscy i powietrzni eksperci.

Wieczorem w barze klasyczna bitwa :—lotnictwo contra armia. Pickwickowy M.P. rozjemca. Walczące strony: Hubert Griffith (autor i krytyk—teraz adjutant WING'u) i colonel Lovell od niewybuchłych bomb. Kolejki narastają—zniewagi kończą się pijacką pobłażliwością.

14. VIII. Moje 34 urodziny. Rozmamłane rozsiadywanie się w leżakach, rosyjskie słówka, konwoje suną, fruwające wśród mew Hudsony huczą—wsiąkam w naród—skończone skupienie—Hebrydy pejzażują się nudno.

Кто смело по жизни шагает —
Тот никогда и нигде не пропадет.

wypisuję ślamazarnie po literce. Strumpf-Wojtkiewicz wyucza —przekazuję Bartlettowi—ten fonetycznie w zachwycie (przyda się do speechów w Rosji) spisuje i zmyka imponować sztabowcom.

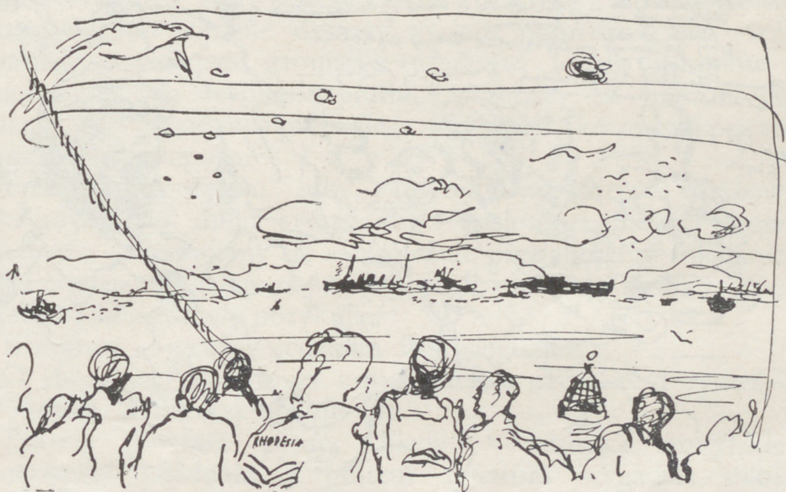
Pod zmierzch na tylnym pokładzie koncert improwizowany. Sentymentalnie rozkładam się kiedy angielski tłum zawodzi tandetnie. Music Hall'e nauczyły mnie prawdziwego stylu Anglji w tradycji Rowlandsona. Z tym ludem chciałbym przeżyć rewolucję.

Negroidalny—pół krwi Kennedy naprzeciwko przy stole jest nadinteligentny—napięty na większe tempo niż inni—znęca się nad rozmówcami, żenuje, zachichotuje—pewny siebie nieznośnie —na pokładzie złości marnując świetną lejkę na regularne grupki i mewy planujące—wyśmiewam go z kolei i z wdziękiem łasi się do mnie.

15. VIII. Czy nastarczymy gadaniem?—Za dwa, trzy tygodnie znienawidzimy się wszyscy.

Czy przyjaciela antywodzostwo jest sensowne ? Obudzony herbatą o 6.45 torturuję go kontr-wywodem. Odpowiada z

legowiska podemną—jakby z mojego brzucha. Jak ulepszona rozmowa ze sobą samym na dwa głosy. Moje rady: zacząć od " wypionowania " społeczeństwa, a potem dopiero niszczyć podpórki przesądu. Mrs. Davies, moja charwoman, przykładem: przytakiwać jej atakowi na " porządki " wielce niebezpieczne. W próżnię wlezie faszystowska propaganda zamiast " dobrej nowiny."



Wysadzam twarz z luku—wyspiasta zatoka nabita kolorową (różową, szarą, zieloną) flotą. Scapa Flow. " Naval display " olśniewający. Czarne skały aircraftcarrierów (lorneta odsłania fantastyczne malarstwo ochronne) suną bezdzwięcznie. Holowniki prychają. Ładujemy coś tam. Statczyska naładowane barkami inwazyjnemi defilują. Balony i mewy na wspaniałem niebie.

Grzejemy się na słońcu. Kennedy goły, rozkłada swoje dłużyzny zarozumialc.

W wielkiej jadalni odczyt autora—adjutanta o Rosji. Pierwszy z serji. Świetny. Bezstronnie a z sympatją przygotowuje Hubert podoficerów Wing'u (oficerów i gości na marginesie) na ocenianie sowieckich osiągnięć nie na miarę brytyjskich, a carskich przedrewolucyjnych standartów. Jedziemy odkrywać świat nieznany. Ważność okazji przepływa fizyczną falą ciepła, ale żołnierzyki zawodzą z początku. Pierwsze pytanie :—could

you tell us something about their currency ? Ale zaraz potem : —dlaczego w jednym roku posyłamy ekspedycję do Finlandji przeciw Rosji, a w następnym do Rosji przeciw Finlandji ?"

16. VIII. Zgrabny, nadziany kawałami odczyt Vernona Bartletta o sytuacji europejskiej. Żołnierze rozhuśtali się i demonstrują (co zawsze wiedziałem) wspaniały poziom zaciekawień społecznych masy brytyjskiej ; no i lewą tendencję.



Pytania :

— Co po wojnie—czy powrót do dawnego porządku ?

— Czy nie dlatego było tylu nędzarzy po zeszłej wojnie, że bogatych było tak mało ? Jak tam z hiszpańskimi kredytami ?

A może ograniczać zyski już podczas wojny ?

Eksport i import, niewpuszczanie bezrobotnych do kolonji, jeszcze o paleniu zboża i topieniu kawy, czemu BBC nie grało międzynarodówki, przyjaciele Hessa, czy się nie skończy atakiem na Rosję, dlaczego Churchill nie ogłasza listy owego Klubu Prawicy (Right Club), Finlandja ?

Dużo się zaczyna gadać o Historycznej Okazji—że niby my. Próbuje się chmurnie pozować kiedy koło 5 pp. kotwica wykręca się z wody skrzypliwie i okręt wypływa z zatoki w ostry, kapuśniakowaty sztorm.

Konwój się klaruje :

różowy krążownik (powiadają marynarze, że "light Fiji type"), konrttorpedowce zaganiają trzodę, trawlery huśtają się na obu

flankach, ploty że " King George V " i " Furious " spotkamy po drodze, transportowce taszczą ogromniaste skrzynie—gest przyjaźni " Hurricany." " Yes Sir—historical occasion all right."

Imponujący ogromny—" . . . . . . Castle "—the troopship, szumi kiepskim akcentem słówek rosyjskich, zasadniczemi sporami, polskimi żalami, chichotem pułkownika i czeskiej podwiki, stukotem gry w " quoits."

Wieczorem znowu koncert żołnierski i, po rozkołysanem czarnem morzu, po oklepanym patosie ogromnych form okrętu nurzanych w " odmęcie ", strome zejście w światło, śpiew i pijaństwo żołnierskich kwater " harmonizuje," kiedy bar dyplomatyczny, z którego właśniem wyszedł, był, otóżto dyplomatyczny. No i jeszcze raz na odwyrtkę : zataczające się okręcisko, lud w dole dyszący życiem poprostu i na górze zwarjowana intryga gromadki władców, lokaji, Blimpów i kandydatów na trybunów ludu, wszystko to niesione w " nieznane," przydławia potężnie a wzruszająco kiczowatą prawie kompletnością eposu.

17. VIII. Otwieram luk. Jutrzenkowo-różowy krążownik mruga do mnie sygnałami z paskudnej mokrej mgły. Niedziela. Buntujemy się i heroicznie przelegujemy śniadanie. Żołnierze na pokładzie za ścianą leniwie odtupują ranną rutynę. Sierżanci niezgrabnie porykują.

Kompasy kłopoczą—jedziemy Bógwiegdzie.

O dwunastej kakofonja armat zaczęła szczekać i ryczeć—powiadają, że przeczyszczanie luf.

Znowu powódź pytań, kiedy " Matuszka Brytyjskiej Rewolucji " Haldenka z gestem agitatora wygadała swoje komunały :

a jak się w Rosji ubierają, a edukacja, a jak robotnicy uszczeblowani, czy pokonali tuberkolozę, a jak z rozwodami ? Kennedy kokietuje, poluje na brawa :—" czy kobiety płacą za siebie w barach ? "—Haldenka sprowokowana stawia kolejkę punktualnie o 5.30.

Wieczorem znowu zgadywanie i analizowanie w grupkach i zosobna KTO, CO I DLACZEGO do Rosji.

18. VIII. " Sea choppy." Paskudne rolowanie—znowu wyścig z koleżką kto później zwlecze się z koi—śniadanie przegapione—wielka niemoralna radość rozprężenia.

Dzień rozespany. " Matuszka rewolucji " ściga gadulstwem i frymuśnością. Ludzie wyrywają sobie i miętoszą szkicownik—okropność—zwyczajny brak dyskrecji (często myślą, że trzeba i gapią się z grzeczności)—a nawet wielka krzywda—rysowanie przestaje być moją prywatną sprawą—zaczynam niechcący rysować " pod oglądanie," a że entuzjaści

interesują się tylko " podobieństwem "—spadam beznadziejnie w tandetę i marnuję wszystko.



Krążownik zapodział się—opuściliśmy " danger area."

Wallace Carroll z United Press gada o Ameryce i wojnie. Rekorduję pytania—i znowu nacieszyć się nie mogę :

—jaka amerykańska reakcja na przystąpienie Rosji do wojny ?

— jak tam z nazistowskiego Bundu propagandą w USA ?

— a jak z Federacją Stanów z Brytanją ?

— czy Lindberg faszysta ?

— jak prace nad planowaniem powojennem ?

— jakby procentowo wypadło głosowanie za wojną, o strajkach, propagandzie i długach—pytania wyczerpują materjał, a kiedy kapral pyta mówcę o porównanie techniki rządów Brytanji i Stanów i Wallace odpowiada—" The English can act more quickly "—sala ryczy dobrym pełnym śmiechem.

Wing Commander Ramsbottom Isherwood, pan życia i śmierci Wing'u nieodpowiedzialny przed nikim na długie miesiące, jest (wbrew wspaniałościom nazwiska) prostackim, rozkosznym nowozelandzkim " crack " test-pilotem i rugbistą pierwszej klasy. Krótki a potężny czaruje nieśmiałymi uśmiechami, wziął z miejsca swoich ludzi—wyniosły go talenta i odwaga. Pięknie pokrzepiająco i znamiennie kontrastują konwencjonalne maniery " korpusu oficerskiego " z prostotą dowódcy.

Bar gada : o Wellsie i Rebece West, o Maughamie i chińskiej konsulowej, o Finnach i Blackpoolu, o dyktaturze jednej partji

w Izbie Gmin, o ranie w siedzenie na Siekierkach, o Księdze Kawalerji Polskiej, o murzynkach i amerykańskich wichajsterach aeroplanowych. Pijemy masy Dry-Martinich. Wyłażę na pokład ale nadmiar patosu nocy zgania mnie do koji.

Śni mi się dobry przyjaciel—który umarł w maju w Londynie —na platformie warszawskiego tramwaju w nocy. Uśmiecha się dziwacznie—jedziemy razem . . .

19. VIII. Zbliżamy się do Islandji. Ploty przez kuchcików powiadają, że Rejkjawik ominiemy.

Ląd. Zaśnieżony Mount Hector—południowy cypel Islandji. Malowankowy kontrtorpedowiec uwija się naokoło. Bałaganimy się albo leżymy okutani po pokładach, wyrywani z letargu regularnymi porami jedzenia, alarmów próbnych, wysiłkami kostjumowemi zmotoryzowanego kawalerzysty-dyplomaty, radiowemi komunikatami, wielorybami pryskającemi wesoło, rosnącem a niepokojącem zapamiętaniem się M.P. w pijaństwie i podskokach (ktoś powiada : " he goes to pieces "), uporem propagandowej " matuszki," niezmiennem i żenującem " ożywieniem " mulata, poprawną " wieżą nudy " pułkownika sztabu generalnego. Wypisuję posłusznie beznadziejne, niepotrzebne deklinacje rosyjskie pod wojtkiewiczowskie dyktanda :

Мы -Вы -Они -Нас -Вас-Их.

i zerkam uczniacko na fantastyczny pejzaż "on starboard bow" :



kostropate górki liljowe pod różowo-popielatem niebem nad sino-zieloną wodą. Jedziemy wzdłuż tego pastelu w trzydziestomilowem odstępie, żeby się na minę nie nadziać.

20. VIII. Islandja. Pejzaż księżycowo-mapowy. Sztuczna zieleń brzegu warstwicuje się przez bronzy w czarność stożków

utkwionych w chmurach. Lornetujemy zakotwiczone okręty (doktorek-major przybiega i wie: brytyjski " Shropshire," amerykański krążownik i pancernik), spekulujemy podróż, palce wodzą się po mapie świata troskliwie, oczekiwanie narasta.

Wspaniale stylowy i kostjumowo morski odjazd marynarzy na łodziach. Kontrtorpedowiec w kolorach ważki tańczy niepokojąco naokoło—powiada głośnikami :—" conference "—Kapitan odjeżdza na naradę dowódców—pewnie bo złe nowiny z frontu sowieckiego, może już północne porty odcięte—zawisa beznadziejność—pijemy. M.P. tańczy fidrygałki—rozlatuje się. Rysuję majtków—wielka zabawa.

Biała noc. Godzina 11-ta. Pejzaż, popielaty teraz, tekturowe kulisy gór—Rejkjavik zakazany—(wydałby nas—przekradamy się przecież)—jest stąd jak szara kreseczka—lorneta podaje szczegóły.

21. VIII. Powiadają że dojedziemy do 75° szerokości—też że słynne okręty amerykańskie wjechały do zatoki.

Mówi się ciągle i o wszystkiem: z Ksawerym o Polsce wczoraj, dziś, jutro (organizuję wywiad Ksawery contra " matuszka rewolucji "—żeby przestała bzdurzyć komunały brytyjskie o faszyźmie polskim i dogadała się ze szlachetnym szlachetką), o wojskowej penetracji, o dwójkarzach i emisarjuszach, o dniach wielkiej przygody—(śliczne słońce aureoluje okręt). Z Kennedym o tragedjach i dumach objektywisty, o "we shall be hanged," o byciu kronikarzem, komentatorem i satyrykiem z temperamentu i powołania, a nie ulepiaczem historji (rybitwy kwiczą nad wodą). Z Charlottą dialektyczne przekomarzania się o Rosji, spory już skończyliśmy, jeszcze o przyjaciołach pogadać można (rozkoszny jest Dry Martini w ciepłym barze po trudach pokładowych). Z Bartlettem o kulisach Izby, o prasie i Pickwicku (ogromnie się napycham żarciem). Z kucharzem o sekretach kapitańskich (Marynarze w malowniczem niechlujstwie kostjumu piratów ciągną jakieś liny). Z konsulem o Turcji, albo beznadziejne assocjacyjne przedzieranie się przez starcze drażliwości i mętne pysznienia się (w lobby śmierdzi kotami). Z PATem o dziwkach (ktoś rekiny wypatrzył).



Tymczasem odpływamy. Przystojna pogoda, okręty—"widokówka" kolorowa albo źle zdjęte news reel.



Ale ważność sprawy jest w aurze. Zaczyna się. Sekrety komandorsko-kapitańskie nie dochodzą nawet do oficerów załogi. Gdzie, którędy, jak daleko od niebezpieczeństwa. Czy gdzieś pod Grendlandję ?

Konwój układa się wachlarzem—kontrtorpedowiec-ważka prowadzi, trawlery dymią, transportowce wloką się w 3-ch szeregach, mija nas brzęczący wielce serjo klucz amerykańskich wodnopłatowców.

A może właśnie jesteśmy ludźmi " pierwsza klasa " i pytlowanie—bezecne lenienie się—jest rezerwowaniem się, zbieraniem sił na przyszłe heroizmy . . .

Doktór okrętowy wbija mi zastrzyk tyfusowy w ramię—przygotowanie do groźnych dni—i gada, jak komik music-hallowy o " two ways " : albo się topisz albo nie, jeżeli nie, to dobrze, ale jeżeli się topisz to albo się utopisz albo nie—jeżeli nie to dobrze . . .

22. VIII. Wizyta u kapitana pod mostkiem—listy " Ministry of Information " mu nie wystarczają—(masy ważnych papierków marnują się pod pieczęcią bagażu dyplomatycznego—że jakoby nie należy mieć przy sobie dokumentów na morzu)—wbrew rozsądkowi dziadyga woli być formalistą; jak zawsze decyduje nie zdrowy sens, a nastrój—(scena zagrana była przezemnie niezgrabnie, źle akcentowana, maquillage i kostjum źle dobrane). " Sailors quarters " są " tabu " dla pasażerów—a dla mnie właśnie "sailors quarters" są rajskim owocem tematów. Nie

potrafię przyjmować takich decyzji chłodno albo pobłażliwie —wtrącają mnie na długo w neurastenię, wytrącają z rozpędu.

Islandja w czapce obłoków urywa się—wpływamy (mapa powiada) w koło podbiegunowe i niskie chmurzyska przesłaniają księżycowy pejzaż—nigdy nie chciałem podróżować do bieguna!



Wygrywam dwie partje " quoits " z nadwiślańsko-cwaniackim telegrafistą w zadługich i zaszerokich pumpach—i we wrzasku radia—probuję ogarnąć sytuację. Nieda rady. Siedzę we wszystkiem za głęboko. Wygrzebuję się więc na górny pokład i widzę: wspaniała scenerja " after well deck'u " obsadzonego mrówczo niebieskimi żołnierzykami. Gramofon i kiczowaty, chwytający za kiszki chór. Melodja rezonansuje w narastającej mgle zadymionej perspektywą zawalistych okrętów i ogarowatych kontrtorpedowców—(majorek wszeptuje cośtam o commodorze powiadającym że the " foggier the better " i że jesteśmy odcięci od portów sowieckich, więc może Władywostok)—ogon srebra toczy się za okrętem dalekim zygzakiem.

Nie ma dwóch zdań—wdepnąłem w Odysseję—i, napewno się nie mylę, cały nasz zespół to " wdeptacze " nie na miarę

olbrzymów. Ale to przecież podstawa epopei :—mali ludzie uwikłani w wielkość i wielkość rodzący. Czy się wywindujemy do wielkości tragedji ? Do polskiego patosu, czy angielskiego " bathosu " ?

— Złowróżbne krzątanie się w łodziach ratunkowych—oklepywanie i liczenie żelaznych porcji.

23. VIII. Wygrzebałem się z kabiny dopiero o 12.15 stłamszony dyskusją : polska armia, polskiej armii, o polskiej armii.

Próbuję mętnie wyperswadować sobie, że pejzaż jest podbiegunowy (400 mil na północ od " koła ") ale jest tylko szaro i zimno.

F/L Hudson z rasy przemysłowych kniaziów na carskich fabrykach wykłada historję Rosji—że Ruryk wszystko zaczął, a Jarosław w 1060-ym pierwszy kodeks prawny wprowadził i że " scrub a Russian and you will always find a Tartar " i o murdered " dopey "—Peter III i o " main nitwit " Paul I.

Fortepian brzęczy w lounge'u " Stambul market " na specjalne żądanie " colonela "—gram na zimnie w " quoits " godzinami. Rozłazi się wszystko. Radio o 3-ej wyskrzecza głosem Attleego jakieś tam nieangażujące ogólniki Roosevelta i Churchilla. Ludzie " czerwienieją " w miarę jak się posuwamy ku wschodowi. Probuję bezwładnie komponować malunki o konwoju, ale wpadam w skrobanie pornografji. Wieczorem zakłady kiedy atak—" heavy betting " na między środą a piątkiem. Narady nad łodziami. Ładuję swetry w torbę i równiutko ustawiam buty.

24. VIII. Hodson bazgrze kredą na tablicy : "bolsheviki" i "mensheviki." Hodson brał udział w interwencyjnej brytyjskiej wyprawie do Archangielska w 1918—płynęli na "City of . . . " Myśmy w 1941 minęli to samo "City of . . . " opuszczając port angielski 2 tygodnie temu.

Mówi się dużo i " selfconsciously " o topieniu. Bismarka zlikwidowano na tych tu wodach. " Tirpitz "—radio powiada —jest na morzu północnem. Zgadujemy gdzie jesteśmy i czy w zasięgu aeroplanów. Próbujemy być pracowicie dowcipni. M.P. za wesoły (" winded up " powiada " matuszka "). Przy herbacie już ponurzej. Kabałę mi stawia pani Żółtowska —nie mówi wszystkiego (oszczędza mnie) ale i tak dosyć :— młodego blondyna zabiją, złe prospekty—było różowo, będzie czarno.

Konsul wycina scyzorykiem swoje podobizny z mojego szkicownika. Zostawia kwadratowe grzeczne dziury—bo ćwierć mahometanin i już dużo odważnych artystów, co próbowali jego rodzinę uwieczniać, skonało tragicznie. Spali te rysunki, czy zje ? Powiada bardzo poważnie, że specjalny

ceremonjał potrzebny, że, jeżeli wyżyję do 10.30 (kiedy zmierzch i białej nitki już nie widać), uratuje mnie biednego. Kłopotliwy facet. Stawiam dziesiątki niewychodzących pasjansów. Nie, nie tracę równowagi, ale ciężko—nie czuję powrotu do Anglji.

Churchill gada przekomarzanki. Tkwię dzień cały w dusznym lounge'u—rozpuszczony w kołującem ględziarstwie. Zaczynają się swary : Kąsająca dyskusja o prawie do noszenia munduru. O północy wypełzam na pokład. Jasno (podobno noc tylko między trzecią a piątą). Płyniemy powoli w kręgu mgły. Okręty stuliły się ciasno . . .

25. VIII. Wymykam się (żeby być sam) na górny pokład —" Matuszka " zatarosuwuje drogę—gada o tem i owem, jakieś ogromne namiętne wierszysko wyciąga. Ołowiana woda klei się—słońce uderza błyskami w ocean—arktyk, psiakrew.

Męczy mnie urwana niezgrabnie sprawa Mariony—wraca ciągle i wstydzi—testamentowe emocje.

Słońce zacieka mokrą siepiącą mgłą—" Babuszka " ucieka—w mgle nagle tuż tuż zawija niepokojąco przeciw kierunkowi zamętniały kontrtorpedowiec—kluczymy dalej i dalej—aż w terkocie kłótliwej dyskusji (czy tęcza, czy zorza polarna) światłość mleczno-kolorowa obejmuje kręgiem konwój, opiera się biało o krawędzie statku . . .

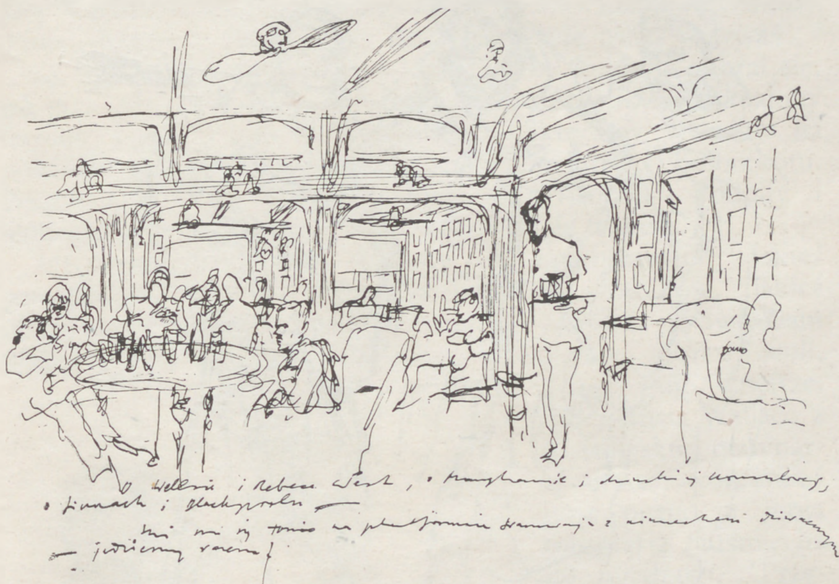
Ale już M.P. piłkowato podbiega, wyszarpuje mnie z leżaka, książki, papiery lecą—rozjuszone P.T. (Physical Training) adepty zdzierają kurtkę, sweter, drugi—wciągają mie w podskoki, gubię rytm—a może jednak tęcza ? A już komunikat się wydziera : Brytanja i Rosja wkroczyły do Iranu. Więc do baru—3 kolejki Dry Martinich. Więc do jadalni nabijamy się żarciem i dyskutujemy plany Rosji, arystokratyzm Churchilla i znowu Comptona Mackenzie z kolei—terkot, terkot, terkot—rozmowa jełczeje wyraźnie bez dopływu wydarzeń—małych, ale własnych.

Ale później z Ksawerym bliżej i bliżej domacujemy się POCZUCIA ODPOWIEDZIALNOŚCI. Długo w noc w szeptach (szepczą też za ścianą, w głowach powolny Freud z ognistym okrągłym Mieszkowskim, w nogach piękny Heizman z tajemniczym Moskalem) naradzamy się o Polsce. I pytamy bez końca jacy będą ci Polacy w Rosji—czy mściwi, czy skomunizowani—czy nas będą brać w ramiona, czy drzeć na sztuki . . .

26. VIII. Majorek pisze obok w swoim dzienniku : first contact with the A/c Carrier and 2-County Class cruisers off Spitzbergen." " Tanker " olejuje wielką kichą kontrtorpedowca. Horyzont tłoczy się różnokształtną flotą. Coś się tam szykuje. Jesteśmy wielką armadą. " Pincer movement "—

powiada " Polityczny Komisarz " Wojtkiewicz — przez Persję na południu i od północy Morzem Białem : to niby my.

Zmykam w cichy kąt i ciężko a zagmatwanie się zamyślam : czy powinienem był kończyć z Anglją, czy oddawanie się w ręce urzędników i na łaskę Rosji usprawiedliwię przed sobą samym jakąś skromną usługą sprawom polskim i ludzkim, " uczciwą postawą " w groźnym labiryncie Sowietów, wreszcie poprostu dobremi malunkami.



27. VIII. Ogromny trud wygrzebania się z koi.

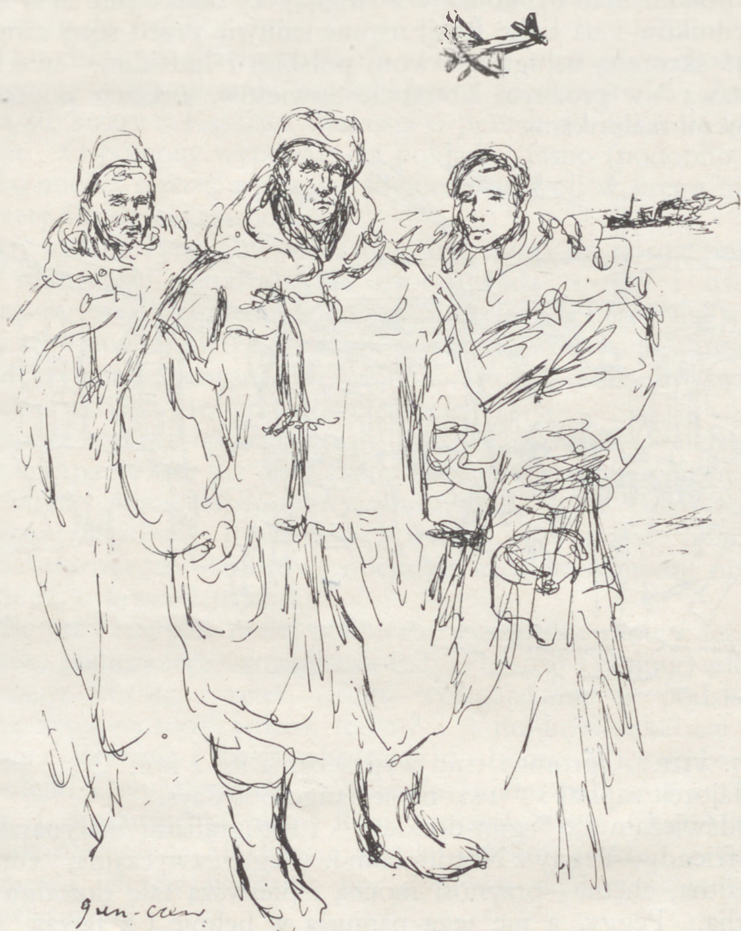
Majorek zapisał : " two most dangerous days."

Odświeżam się " gun-deckiem " i fotografiami marynarskiej girl-friendy—Peggy z Nottinghamu. Peggy, zwyczajna, "cute," kształtna, chętna—przynosi mocną i pierwszą falę nostalgji za Anglją. Peggy, a nie tęga paniusia w hełmie i z tarczą, jest prawdziwą Brytanją.

Ciężko mi i nie potrafię przy śniadaniu powiedzieć słowa, tłomaczę się jak zawsze zagmatwanie i M.P. powiada, że to też " topolskizm."

Djabli wiedzą gdzie jesteśmy—jedziemy na Białe Morze, czy " Cheshkaya Bay " a może wzdłuż " Nowaya Zemlya "—czy z lewa, czy z prawa " Jan Mayen Island," czy od północy powyżej 75° i koło " Bear Island," czy otarliśmy się o Spitzbergen (ruski, szwedzki czy niemiecki?), czy nie—wie się tylko, żeśmy już trzy tysiące mil zgórą zmachali. Jest groźnie i gorzko. "Babuszka" podnieca się plotą, wywodzi teorje kto z kim. Znudzony i w popłochu (że niby ona prowokuje) odmawiam wspólnego patrzenia na zachód słońca.

Ksawcia pogadanka dla rodaków, pouczenie jak należy prowadzić " rapprochement " do Sowietów. Wielka zmiana w reakcji od pierwszodniowych rad konsula, szykowanie się na



nieprzystępność wobec osaczających kobiet-szpiegów. Pada słówko panslawizm. Zmęczenie wielkie.

Rysuję kuchcika—pobiegł do kabiny i przyniósł (b. śmieszne) numer "Picture Post." Ten z "People's Convention," gdzie jako rysownik " Life'u " zalazłem, a "Picture Post" mściwie wsadził moją fotografję w reportaż, sugerując, że jestem delegatem. Cała załoga wydaje się znać nazwisko i rysunki—niepojęte.

28. VIII. Przegrywam w " quoits " raz po razie. Czytam Negley Farsona—ależ on toczył się grandziarsko i płytko po świecie. Idziemy wyraźnie na wschód. Aeroplany ześlizgują się z lotniskowca i odrabiają ichnie ranne galopy—nurkowanie.

" Assocjacyjne " pytlarstwo dochodzi do znojnych szczytów, Morze złe, ale cieplej i po wiecznym dniu wieczór nareszcie przychodzi. Odpłynęliśmy już od podbiegunowych figlów.

" Babuszka " naciera : mam się deklarować czym wróg, czy komunista—niema dla niej półśrodków. Szczęśliwie ambasadorowa czeska przerywa dialektyki wdzięczną manierą i szczebiotem francuskim.

Przenoszę się na paluszkach do Griffitha i wypijamy po sześć Dry Martinich, błogo i ciepło gaworząc o aktorkach londyńskich. Jasna, dostojna, długa Oriel Ross pieczętuje naszą przyjaźń.

29. VIII. Wyciąga mnie z łóżka gruby kucharz—ubrał się, jak powiada, w swoje regalja (tatuowany dekolcik, krochmalony fartuch) i gotów jest do pozowania. Skręcamy wyraźnie na południo-wschód. " Babuszka " w ramach intrygi i półbojkotu. Pouczam ją i jej wrogów. Unikam. Kluczę. Podpity i jednocześnie katzenjamerowaty wdrapuję się na koję.

Ale obowiązki gnają. Wszyscy chcą być rysowani. Jakieś pamiątkowe profiliki szeregów dobrych lotników, jakieś obrażone twarze stewardów, żem ich nie odrobił. Odwiedzam pompatycznie kuchnię I-szej klasy i smętnie, wbrew woli, odnotowuję wnętrze. Telegrafista Wallace z kanadyjskiej marynarki ma znowóż jakieś inne pismo z moją fotografją i uśmiecha się wiedząco. Przyjemności tego gatunku mają w sobie, djabli wiedzą skąd, kroplę goryczy i zażenowania.



I znowu jakiś "crack pilot " albo " crack plumber " podsuwa odwrotną stronę menu i swój profil—Wing jest dobrany wyborowo. Słuchamy radia. Niemcy 30 mil od Leningradu, zamach na Lavala, Dnieprostroj zniszczony. Jesteśmy uwieszeni tymczasem poza tem wszystkiem, ale za parę dni wciągną nas tryby wojny.

Rozmowy o po wojnie: Kennedy " odrobi " służbę i ucieknie w swoją zamożność i Florydy. M.P. zaperza się, jak na mityngu swoich wyborców, na temat OBOWIĄZKÓW. Pułkownik naiwnie gra patrona:—" No, you didn't mean it." A " babuszka " :—" Can I butt in ? . . ."

Zbliża się koniec drogi. Zjawia się " notice " :—

PASSENGERS AND CREWS ARE WARNED THAT THEY MUST NOT DIVULGE THE ROUTE OR DETAILS OF THE ESCORT TO ANYONE. REMEMBER WE HAVE TO GET BACK.



Poruszenie na mostku kapitańskim, długie lunety wykierowane na południe, samoloty (niecierpliwe punkty) startują z lotniskowca, utkwionego w dalekiej mgle, kilka słabych detonacji wykrzesanych błyskami nad krążownikiem na horyzoncie. Wing Commander zagania z zażenowaniem ślamazarne załogi do armatek, galopuje na dół z ważną minką—i wraca na krótkich nóżkach w rozległej zupełnie nowej galonowanej złotem czapie—gotów teraz na wszystko. " Second in Command " powiada :—" Huns are about." Zmierzcha. Pijemy w barze pod kolację—znacząco mało rozmów o tem że jesteśmy " spotted." Radio (plotka powiada) mówiło, że 15 samolotów niemieckich wyleciało—kierunek północ—z Petsamo.

Punktualnie o 9-ej zaczyna się pożegnalna " party."

Czary chórów żołnierskich (" swing it ! "). Rozciągła piosenka, ułożona przez lance-corporala na starą szkocką melodję roztkliwia :—

It is of the Air Force I'm going to sing
Not of their exploits but a different thing
Of 81 Squadron and 151 Wing
And 134 squadron to finish the string

They're bound for a place the name I don't know
From what I have heard it is covered with snow
They'll keep the flag flying I bet you'll agree
Where the Northlands of Russia jut out to the sea.



Ostatni wiersz zalatuje nawet prawdziwą poezją.

" Cockney " sierżant tańczy drewnianym pajacem, gra na łyżkach—szczyty wdzięku, cuda gestu komedjanckiego, nóżki, nóżki pokrętne i rytmiczne, plecyki dowcipne, usteczka frymuśne—cud ludowego stylu. A potem burłaki z brodami z waty.—Hodson wodzi z petersburskim dla odmiany gestem, rączka na biodrze, druga w esachfloresach, podskok—wciągają utrudzeni na długim sznurze (uchniem)—nocnik cynowy. Brawo. Pijemy masami. A teraz Rosja nowa—od początku podróży jakieś próby muzyczne i wokalne zabrz-

miewały rosyjską nutą—no i jest: Hodson dyryguje zprodukowanym "mruczando" marszem kawalerji sowieckiej ze wszystkiemi szykanami (tempo kłusa wybijane i efekty oddalania się i przybliżania pracowicie oddane).

Teraz znowu polskie występy—więc Powierza na organkach sprawnie kujawiaki wygrywa, a Moskal naiwnie a z wdziękiem "Halkę" stentoruje, no i chóry i "Lambeth Walk" i "Boomps a Daisy" i podrzucanie rozwiewnych błękitów komandora i nakrapianych złotem i czerwienią khaki pułkownika i ryk i łańcuchy galopujące—i wreszcie God save the King, Jeszcze Polska, Kde domow moj (Polacy pomagają Czechom).

Z pijacką starannością układamy rękawice, torby, swetry, pasy ratunkowe przed wdrapaniem się na koję—nikt nie zapomniał, że przepływamy właśnie przez ciasną szyję Białego Morza, że nas wytropiono, że o świcie będą nas atakowali . . .

30. VIII. Sobota. Robimy 4 węzły. Mgła biała i siepiąca. Przyszła z pomocą. Czeka się na atak, ale pewnie nas nie znajdą. Trzy minesweepery wloką się przodem zagarniając wodę i ewentualne miny chlapiącemi "paravanes" poznaczonemi czemś czerwonem i zielonem. Ależ operacja . . .

"Babuszka" stawia mi z ceremonjami groźną i prawie uśmiercającą kabałę. Jest w niej potężny i prześladujący brunet (Stalin ?), jest wielkie niebezpieczeństwo—niech ją cholera.

Walę się na drzemkę i z Ksawerym senne narady jak będziemy szczerze i ofiarnie Polskę z Rosją godzić, szukać złotego środka, z obu stron przesądy plenić.

Gdzieś koło 6—ej wpada ktoś tam i oznajmia sowiecką ziemię "in sight." Mgły szarpią się po wodzie—odsłaniają niespodziewanie bliski ląd.

Sygnały i światła zamrugały po wszystkich okrętach—"black-out off"—jesteśmy na bezpiecznych wodach. "Babuszka" wielce podniecona. Tymczasem konwój idzie w Rosję. Zgubiliśmy się z umówioną sowiecką honorową eskortą—będziemy się więc do jutra rana telepali powoli.

Latarnia morska mruga w ciemności. "Babuszka angielskiej rewolucji" cytuje, dewotka jedna, Stalina, że Rosja to latarnia świata.

31. VIII. Niedziela w świątecznem morzu, w roju sygnałowych flag, z jaskrawym kontrtorpedowcem zamiatającym falą, z załogą wtaczającą już zbędne łodzie na pokład—po 3-ch tygodniach znaczącego zwisania. Kawalkada posuwa się wciąż naprzód powolutku w oczekiwaniu jakiejś tam pompy. Godziny mijają. Brzegi wloką się daleką smugą. Sztab, M.P., Marynarka, Dyplomacja, Lotnictwo dekoruje monumentalnym (patrząc zdołu) bukietem nierówności górnego pokładu—lornety, brzuchy.

Zajeżdża prychając skromny stateczek. Baryłowata łódź pchana sześcioma wiosłami odczepia się. Pilot.



Ciężki blondas obstrzyżony na kant na karku wstępuje na pokład—złocone guziki, czarny szynel. Kennedy małpuje, przykuca, celuje lejką. Nie trafia. Tłum pasażerów galopuje zagapionem stadem śladami pilota.

Rosja.

Wybuch dyskusji protokularnych : Anglicy, że nie przywitano należycie. Polacy, że czy w mundurach lądować, czy w cywilu ; czy w rogatywkach, czy w furażerkach ; czy był rozkaz, że

członkowie ambasady, czy że tylko Misja Wojskowa. Lounge huczy podczas herbaty.

Pilot kołuje okrętem. Zarzucamy kotwicę pod rozlewnem niebem. Wysłuchujemy Londynu staranniej niż zawsze. Z



kapitanem w barze odrabiamy post—scriptum podróży: ciągle jeszcze masa sekrecji ale jedno pewne—"it was hazardous," drugie—kompas robił figle pod biegunem, trzecie—"yesterday's fog did its bit."

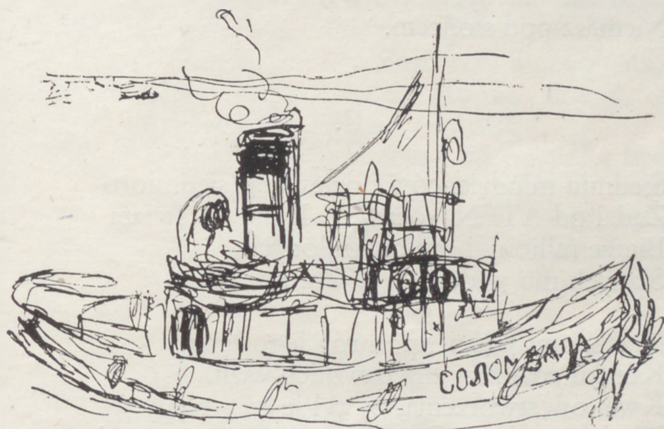
Przy kolacji znowu protokół: faux-pas czy nie faux-pas; pilotowi zastawiono przy oddzielnym stoliku w kącie—trochę jak szoferowi. " Babuszki " nerwy puszczają—jest straszliwa i dysząca zemstą (już się probowała bratać na migi z nieśmiałym gościem). Terkot powszechny.

O zmierzchu z przypływem przekraczamy wolniutko " bar " —i kotwica. Pompa wjazdu zacznie się jutro, bo spodziewamy się pompy: pierwszy przecież konwój i pierwsza " pomoc " prawdziwa.

Gapię się w czarność przedemną. Emocje przygody, nieznanego, skulminowane do maksimum. Rosja. Komunizm. Miłość czy nienawiść. Polacy w Rosji wrodzy, czy drodzy. Wojna bliska i ta najstraszniejsza. Groźby i pokusy i olbrzymiość sprawy. Sezam czy nie sezam.

Melodramat gigantycznej zagadki. Czy nie za dużo naraz i czy odpowiedź (już jutro ?) nie będzie ponad siły.

Tak oto biedzę się zagapiony w czarność.



MARJA PAWLIKOWSKA.

DLA MINOTAURA.

I.

Morze, wśród łuków barwy hyacyntu
Niosło dziś barki pod czarną flagą.
W nich co najmłodsi, co najpiękniejsi
Bogowie jedni wiedzą dlaczego—
Dla Minotaura, do Labiryntu
Płynęli, milcząc—
z gorzką odwagą . . .

Było tak—kiedyś. Gdyż nic nowego
Niemasz pod słońcem.

II.

Siedmiu młodzieńców i dziewcząt siedmioro
Żądał od ATEN, rocznie. Dziś, od świata
Bierze miljony i miljony młodych,
Słanych mu w darze z bólem i pokorą.

Trzeba mu piękna, pod róg jego tępy.
Krzyku rozpaczy dla bawolich uszu,
Kwiatów stworzenia, by rył je na strzępy
W płonących nozdrzy śmiercionośnym dymie !

O, zabić Wojnę ! Zabić ją, Narody !
Ją co ma wspólne z Minotaurem imię !
Śpiesz, zbaw niewinnych, nowy Tezeuszu !

TYMON TERLECKI.

Z LISTÓW NIEWYSŁANYCH.

Nie dostaję od was listów i dawno przestałem je wysyłać. Po waszej stronie jest ciemność i milczenie—noc polarna. Bóg utaił, kiedy ją zdejmie z nieboskłonu, sam jeden zna chwilę, w której podniesie wasze oczy z mroku i odda wam głos, abyście mówili. Tylko on jeden wie, czy będę tej godziny żywy pod słońcem. Po mojej stronie każda noc pali się pożarem i krzyczy głosem zgrozy, w której nie słychać głosu człowieka.

Milcząca ciemność nad wami i ognista muzyczność nade mną, to są dwa przybrania tej samej śmierci. Każdy patrzy w jej twarz samotnie i każdy widzi w niej prawdę—najdalszą, najbardziej zuchwałą, do jakiej dorósć może człowiek. Tylko ta prawda jest ważna. Dla tej prawdy piszę do was—z kraju śmierci do kraju śmierci.

Jeśli kiedy dojdą do was te słowa nie dziwcie się, że nie czynię przedziału między żywymi i umarłymi. Podtrzymuję w sobie złudzenie, że jesteście ciągle razem: Fryderyk, Roman, Jan w Oleju, Stefan, Anna, Marja—i Józef i Rafał i Piotr i Kazimierz. Coś innego jest wiedzieć, coś innego—uwierzyć, przyświadczyć całym sobą, zgodzić się na śmierć, przyjąć niejako odpowiedzialność za fakt jej istnienia.

Wiem, ale nie wierzę, że Józef zginął od odłamka bomby w Lublinie, choć niekiedy słuchem pochwytuję z ciemności melodię na wiersz, polną i rzewną, którą może dziecinnie nucił u kresu tej ostatniej przygody, choć po dalekich okręgach widzenia błyskają mi przerażająco kolorowe halucynacje, które wypłynęły z jego głowy razem z mózgiem.

Z bezrozumną niekonsekwencją wiem osobno, ża Rafał bez lęku nastawiał astmatyczną pierś na lufy karabinów—jasno, ostro widzę, że na tę okrutną godzinę dobrze przydała mu się łaska wiary i łaska modlitwy, wiem to, widzę to niewątpliwie, a nie mogę, nie umiem przyjąć, że wierząc, modląc się, chwytając oporny, szorstki dech poraz ostatni—poraz ostatni padł na ziemię.

Tak samo jest z Piotrem. Jakże mogę uwierzyć, że go niema, jeśli już tyle lat żył wśród nas, właściwie pół-życiem, ćwierć-tchem, tylko całą dwakroć, czterykroć wzmożoną wolą, miłością, namiętnością życia. Czy mogę uwierzyć, że z odmą na obu płucach wyszedł na piechotę z Warszawy i wrócił na piechotę do Warszawy, jakby nigdzie indziej nie można było umrzeć pod uciskiem tysiąca atmosfer, których już nie wytrzymała nawet jego wola, nawet taka, jak jego miłość, namiętność życia.

I to także nie daje się pojąć w żaden sposób, pogodzić z niczem, że Kazimierz mógł wyjść ze swego domu i z rojeń o

nowym świecie, które go obrastały ściślej niż dom, niż cokolwiek ludzkiego, że mógł tak z siebie samego wydarty przebyć drogę na Pawiak, w samą najciemniejszą głąb historji ucisku i tam skrwawić się od kul, tylko dlatego, że lecąc na oślep, trafiła go wcześniej jedna liczba ludzkiego rachunku, dziesiątka, ani trochę kabalistyczna, ani trochę fatalna. Tylko dlatego, że w więziennym szeregu nie był ani dziewiąty, ani pierwszy, ale—dziesiąty. Zehn—nazywała się po imieniu jego śmierć.

I tego nie mogę przyjąć, że Fryderyk zwarjował w niemieckiej katowni. Pisał przecież wiersze tak czyste, tak wyzywająco przeciwne życiu, że mogły się wydawać obłędem, zamachem grożącym samej zasadzie, samemu porządkowi istnienia.

Jest mi łatwiej, prościej, lżej myśleć, że jesteście razem, choć ja nie jestem z wami. Ale zaraz napada mnie dotkliwy wyrzut, iż ulegam pokusie myślenia, że coś jest jak było, że coś może być jak było.

Już tamtego nie cofnę, jeszcze ten wieczór zostanę z wami wszystkimi. Ale będę nałamywał pamięć, że nic nie jest, że nic nie będzie tak samo. Chwilami myślę, że nasza pierwsza sprawa w tych czarnych, przeraźliwych godzinach jest rozpętać siłę marzenia, widzenia jutrzejszego świata, który wynurzy się z najgłębszego dna nocy. Nawet umarli, przede wszystkiem umarli muszą marzyć. Inaczej śmierć była by im samym nieznośna.

I właśnie to—marzyć, widzieć, myśleć poza obrębem, poza kształtem wczorajszego dnia—właśnie to jest najtrudniejsze. Dla żywych, nie dla umarłych. Oni widzą jasno, jak przez wodę—przez darń grobu, przez płytę kamienną, przez ludzkie zapomnienie. Teraz zdaje mi się słuszne, że nie dzielę was w sobie. Tak są między nami tacy, którzy posiedli bez wątpliwości zdolność i siłę, którzy mają wolę, znają przymus marzenia.

Jest tak, że wy nam tutaj i pewnie my wam po tamtej stronie losu, wydajemy się już lepsi, odmienieni, odnowieni do ostatniego włókna duszy. Przez ciemną i głuchą przestrzeń wydaje się, że między wami podłość utraciła prawo istnienia, że zgubiła glejt do serca człowieka. Widzimy was stąd, jak pomniki bielejące w mroku. A przecież między wami musi być zdrajca Anzelm, sprzymierzony z nocą i rozpłynięty w niej jak cień. I między nami tacza się pijany czerep rubaszny.

Z wielu brzemion to jest najcięższe. Były chwile, w których nie mogłem udźwignąć ciężaru tej bezlitosnej prawdy, że cierpienie i ofiara i trud śmiertelny i ostatni pot, nic z tego nie jest wolne od podłości. Bo nim to przyszło, podlegałem niedorzecznemu złudzeniu, że z wojną ustaje, że zawiesza się sprawa człowieka. Wydawało się, że wojna jest jakąś rzeczą pozaludzką, może ponadludzką, poruszaną przez inny mechanizm, nie przez duszę człowieka, tę samą, która zrodziła ideę

zbawienia i wysłowiła piękność świata słowami, dorównywującymi jego piękności.

Nagle zrozumiałem, że wojna jest sprawą człowieka, i niczem innem. Jest sprawą człowieka w stopniu wyższym, niż niewojna. Dopiero przez wojnę pojąłem, że niema nic poza człowiekiem. To jest rozpaczliwe pomyśleć, że niema nic poza nim—nie tylko dzieł, które wznosi z natężeniem wszystkich mocy, które niweczy w niepojętej ślepocie zapamiętania, ale niema ani słońca, ani drzew, ani głosów ptasich, ani nieba, ani na niebie obłoków. Ale na to trzeba się zgodzić. Trzeba się zgodzić na człowieka.

Wstrząsam się od myśli, że zgodzić się na człowieka znaczy: zgodzić się na podłość człowieka. To ty, Rafale, i ty, Kazimierzu pomogliście mi wyjść z tej zasadzki.

Może to było w samej godzinie śmierci Rafała, blisko ostatniego chrapliwego tchu, gdy w bretońskich jałowcach, w ościstych trawach cudzych usłyszałem słowa powiedziane tym samym chrapliwym tchem: cudza podłość nie zwalnia od własnej prawości, może jest, napewno jest takie miejsce, w którym cudza prawość odkupuje twoją nikczemność.

Gdy nie dawno przyszła wiadomość o rozstrzelaniu Kazimierza wspomniałem, że nim zaczął roić nowy świat i wierzyć weń jak w rzeczywistość, bardziej niż w rzeczywistość—przebrodził mozolnie i dokładnie wszystkie ścieżki, tajne chody, przesmyki zatarte gąszczem, drogi, drożyny i bezdroża, przetrząsnął wszystkie zakamarki polskiej duszy, znał całą niepisaną historję spisków, zmów, sprzysiężeń, podkopów pod światło, historję, która przetaczała się nie w walce z wrogiem, ale w walce z sobą. Pamiętam, jak zdzierał całą skłamaną wzniosłość i wielkość, znajdował—wzniosłość i wielkość. Bo trzeba zwątpić w człowieka, aby znowu i naprawdę i ostatecznie uwierzyć w człowieka.

Dziś historja Kazimierza pisze się znowu pod ziemią i na ziemi i na wodzie i na powietrzu, które jest jeszcze mniej pamiętne, niż woda i słowa tej historji wsiąkają w noc, dźwięki jej tracą się w muzyce grozy.

Dziś wiem i wy wiecie, że byli i są między nami podlejsi od podłych w każdym innym miejscu ziemi. Bo takie jest prawo życia, że są tam, zwłaszcza i przede wszystkiem tam, gdzie człowiek mocuje się z losem i z sobą, gdzie boleśnie i klęskowo zwycięża los i siebie.

Dziś żywy, wiem z łaski umarłych: zgodzić się na człowieka znaczy zaprzeczyć własną małość. I jeszcze wiem: niema innego sposobu na nowy świat, na nowy porządek w ojczyźnie, na to, aby nie padali od kul i mieli grób swój tacy, jak Rafał i jak Kazimierz, aby nie zrywało się z łańcucha ślepe zapamiętanie człowieka przeciw najbardziej własnym, najczystszym, najwznio-

ślejszym dokonaniom woli stwarzającej na podobieństwo Boga.

Niema nic poza człowiekiem. Nic nie jest od niego ważniejsze i od tego, aby zaprzeczył własną małość. Ale coś jest pod nim i coś jest ponad nim. Inaczej wy nie świecilibyście tam, jak kamienie na grobach, białością, która ściga wrogów w najciemniejszym dnie i poraża strachem. Inaczej my tu nie dzielilibyśmy się między opilcze zapomnienie i między straszliwą, łupiącą łeb na dwoje trzeźwość tęsknoty, między zapobiegliwość o miałkie, przyziemne sprawy i to poczucie, okrutne i pustoszące, znikomości wszystkiego co jest tutaj.

Chciałbym to dojrzeć, chciałbym to nazwać, co jest między mną i wami, między nami na tym brzegu i wami, na tamtym brzegu wody niedoli. I nagle widzę, że jesteśmy okradzeni ze słów, że zostały tylko takie, które, gdy je wziąć w usta świszczą, jak puste orzechy, nie znaczą nic i nic nie przenoszą od człowieka do człowieka. Zdejmuje mnie lęk przed tą groźną chwilą, kiedy wyjdziemy na spotkanie, wy ze swojej ciemności i my ze swojej ciemności. Wtedy ci, coby chcieli gwizdać w puste orzechy, mogliby zranić wasze milczenie.

Wszystko jest do nazwania raz jeszcze i na nowo. Poeci, to jest wasz czas. Myślę o was z tkliwością Stefanie, Janie w Oleju, Anno, że w obozie niemieckim, w więzieniu, w splątanych kursach między stołami kawiarni—ty, Stefanie, który jesteś jeńcem, ty, Janie, który jesteś więźniem, ty, Anno, która jesteś kelnerką nosicie w sobie tajne, dumne, niedostępne prześladowcy prawo nadawania imion wszystkim rzeczom swojego, naszego wspólnego świata.

Bo to się słyszy w waszej głuchej ciemności, bo to się słyszy poprzez jasny krzyk nad nami. Wołają nas z ziemi umarli. Wołają nas z nieba nienarodzeni. Mową, która jest jedna umarłym, nienarodzonym i żywym. I ziemia umarłych, jak niebo nienarodzonych, jest tylko jedna dla każdego człowieka. Schwyceni w dwa nawoływania, jak w dwa wiatry, zamknięci nieodwołalnie tą ziemią i tem niebem, stoicie tam niby drogowskazy z ramieniem wstecz, z ramieniem wprzód. I jesteście, w tem podobni do krzyży. Tylko nasze ramiona oba są wyciągnięte na północ. Nie są podobne do krzyży. Kiedy na chwilę opadną w dół z niemocy i znużenia, wyglądają jak podcięte skrzydła.

Trzeba dopiero wojny, aby to wiedzieć, aby słowo—nie wypowiem go—zszargane przez kalkulantów i obłudników było aż tak oczywiste, tak ciężkie od miąższu, od soku pełnego goryczy i wzniosłości. Trzeba dopiero wojny, aby zrozumieć to i wiele innych rzeczy. Bo wojna jest stanem lirycznym, stanem wzmożonej wiedzy serca. Wojna jest straszliwą nauką pokoju.

To jest drugie z najcięższych brzemion: pomyśleć, że co się

stało, co się staje, co się jeszcze stanie—przepada w mroku, przelatuje jak głos w pustce, ginie, jak kamień w przepaści. Może wy także znacie ten strach. Może i was spotyka w zimnych, nieczułych oczach nieznajomego człowieka. Mnie ten najgorszy z lęków napada każdego dnia i stawia przed oczy szatańskie urągowisko : oto wychodzimy z nocy na dzień, jak z rzeki zapomnienia, bez wiedzy serca, bez pamięci i bez nadziei, objuczeni wszystkiemi dawnemi grzechami i ani jedną nową cnotą.

Wtedy wszystko byłoby daremne. Daremna byłaby śmierć Rafała, Kazimierza, Piotra i Józefa, wasza kaźń Stefanie i Anno, twoje szaleństwo Fryderyku, w którem chwiejąc głową zawodzisz śpiewnie i jednostajnie, jak drzewo, jak morze, jak wszystkie rzeczy, które są znakami nieuciszonej tęsknoty. I twoje dziecko, Marjo, nie miałoby poco zstępować na ziemię nieruszoną z posad.

Znowu nadchodzi ciemność i ognipiór zwiastuje się krzykiem zdaleka na najciemniejszym skłonie nocy. Znowu nic nie widzę z jutra, jakby przyjść nie miało nigdy, jakby noc wpłynęła w wieczność.

Mam na oczach mrok nieprzebity, nie mogę nic rozeznać na sięgnięcie ramienia. Nie widzę nic poza tą białą kartą papieru, która jest czarną pustką. I słyszę tylko wasz głos Kazimierzu, Rafale, Józefie, Piotrze : My widzimy, my widzimy. Widzicie przez to wszystko, przez co ja nie widzę, przez ziemię na oczach i przez śmierć.

Pytam czy w jutrzejszym świecie nie będzie wojny, nie będzie krzywdy, nie będzie podłości.

— Może będzie wojna, ale pamiętaj, jaka była i chciej i walcz, aby jej nie było na twojej ziemi i nigdzie indziej. Może będzie jeszcze krzywda : trzebi się ją trudniej jeszcze, niż się sieje dobro. Napewno będzie podłość. Stawaj nieugięcie przeciw krzywdzie i podłości, jak myśmy stawali przeciw lufom, które są źrenicami śmierci. Nazywaj, nazywaj świat, jeszcze nim będzie. Świat jest na podobieństwo człowieka i na miarę istnienia. Śpiesz się. My marzymy na jawie śmierci, a ty nie możesz się wyrwać z życia w śnie. Stefan zaprząta się nazywaniem, zaklinaniem jutra w Stalagu, który jest obrazem piekła na ziemi i Anna biegając pośpiesznie wokół cudzych stołów i Marja nosząc syna pod piersią. Wolno ci wątpić, masz prawo wątpić, ale musisz wierzyć. Masz prawo, masz obowiązek wątpić, abyś się nie dał oszukać, musisz wierzyć, abyś chciał czegoś innego na miejsce tego co jest, takie jakie jest. Musisz wierzyć dla syna Marji.

Podnoszę oba ramiona. Patrzę w ciemność, jak chcecie, umarli. Wierzę w ciemność, jak chcecie, nienarodzeni. Ciemność dla żywych nazywam :—dzień nowy.

STEFANJA ZAHORSKA.

POLSKA JESIEŃ.

(fragment powieści)

Lato było gorące. Niekiedy przeciągały burze dalekie i suche, niebo chmurzyło się nagle, lecz nie spadała ani jedna kropla deszczu. Z za zachodniej granicy przylatywały wieści coraz burzliwsze i coraz gwałtowniejsze. Zdawało się, że na niemieckiem niebie niema słońca, niema lata. W Gdańsku na ulicach bito Polaków. Wyrzucano ich z mieszkań. Nocami po gładkiej powierzchni morza sunęły barki, ciężkie żelazne cielska tanków wyładowywano w porcie i przetaczano dudniące po kamiennym bruku do gdańskich fabryk. Przez graniczny drewniany mostek przechodziły gromady niemieckich turystów, ponurych, zawziętych, stawali przed małą budką granicznej straży, pokazywali swe przepustki i szli twardym krokiem do Polski. Tej samej nocy zdemolowano polski urząd celny.

W Warszawie słońce świeciło dzień po dniu gorącym blaskiem. Powietrze stało rozgorzałym słupem na barkach przechodniów. Miejskie mury wyrzucały z siebie ciężki, nagrzany oddech i ludzie idąc ulicami ocierali zmęczone twarze. Wojna zdawała się niemożliwa i ponad ludzkie siły. Lato domagało się spoczynku, trzeba było położyć się na trawie, w cieniu, utkwić wzrok w zielonej masie liści nad głową i szukać oczyma otworów, przez które przeświecało niebo. Kiedy szły oddziały żołnierzy opiętych w sukienne mundury, w stalowych hełmach na głowie, rzucano ku nim pełne współczucia spojrzenia.

—Poco ta wojna ?—pytali ludzie stojący na chodnikach.

Wizja samolotów, bomb, armatnich strzałów była jeszcze daleka, niekonkretna, ale bliskie i konkretne było lato, gorąco i prawo człowieka do spokojnego życia na ziemi.

—Komu to potrzebne ?—pytała jakaś kobieta w czarnym kapelusiku na głowie, stawiając na ziemi koszyk, z którego wyzierały liście pietruszki i szczypiorku. Nie mogliby to ludzie spokojnie się ze sobą umówić i tego Hitlera zamknąć, żeby nie mącił ? Sprawiedliwych to aresztują, a takiemu nic nie zrobią.

Nie było właściwie żadnego ludzkiego wyjaśnienia, dlaczego wojna ma spaść na ziemię. Nikt jej nie potrzebował, nikt jej nie chciał, wszędzie w całym kraju pełno było do zrobienia rzeczy ważniejszych i potrzebniejszych. W gromadce, która przystawała na ulicy ktoś ze złośliwą satysfakcją zaczął malować

okropności wojenne, tak jak je sobie wyobrażali ci, którzy pamiętali jeszcze ostatnią wielką wojnę. Snuli obrazy o rowach strzeleckich o zasiekach, o ranach i śmierci—jeszcze w oczach mieli ludzie twarze żołnierzy, co przechodzili przed chwilą zdrowi, młodzi, uśmiechnięci—i, patrząc na ten obraz wojny, zrzucony na zalany słońcem bruk miejski, przymykali oczy, by ujrzeć dobrze zwisające na kolczastym drucie zwłoki i spojrzeć w oczy konającego żołnierza. Obraz był nie do zniesienia przeczył prawdzie, którą każdy nosił w sobie, przeczył najgłębszemu poczuciu sprawiedliwości niebieskiej i ziemskiej.

—Jak to tak może być ? I poco ? Poco ?—szepnęła kobieta w czarnym kapelusiku i rozejrzała się wokoło po twarzach sąsiadów, po domach, które wyciągały błyszczące ramiona okien, po otwartych bramach, po kościele nad którego szczytem usadowił się obłok puszysty i lekki, jakby zrzucony na iglicę wieży z głębin nieba.

—Jak to tak może być ?—powtórzyła z przerażeniem i aż załamała dłonie nad swoim koszykiem.

—Alboż to nie mordują zawsze jedni drugich—uśmiechnął się ironicznie jakiś młody człowiek w przepoconej koszuli—alboż to jest sprawiedliwość na świecie?

—Niema—przyznała—ale—kręciła kapelusikiem, szukając odpowiedzi. Młody człowiek podrzucił głowę, strząsnął włosy z nad czoła i powiedział, że przez dwa lata był bezrobotny i zdychał z głodu, to już wie co ma sądzić o świecie i sprawiedliwości.

—Niech się wszystko wywali burknął—co mi do tego ? Niech se będzie wojna, to przynajmniej kapitaliści zginą.

—Kto ?—przekrzywiła się—patrzcie jaki mądry. Prosty naród zginie, nie bogaci. Nagle machnęła ręką i rzekła zdecydowanie :

—Dużo jest zła na świecie. Wszystko trzeba inaczej urządzić. Sprawiedliwie. Ale wojny nie powinno być. Nie trzeba wojny.

Ludzie potakiwali głowami. Przyjęli rozwiązanie sprawy dobrotliwie. Wojna odsuwała się jako niepotrzebna.

Kawiarnie wysunęły swe tarasy na chodniki ulic, opuściły powieki markiz, przy stolikach siedzieli ludzie, popijając zabarwioną sokami zimną wodę i czytając gazety.

Podnosząc oczy z nad szpalt gazetowych, ludzie widzieli przed sobą szeroką aleję, środkiem płynęły dwie rzeki samochodów, przedzielonych neutralnym pasem, opodal na skrzyżowaniu budka policjanta wyniesiona w górę regulowała ruch czerwonymi i zielonym światłami, w odmierzonych pauzach fala pieszych przechodziła z jednej strony ulicy na drugą. Życie zdawało się ujęte w normy stałe, mądre, racjonalne—jakiś

chłopak chciał przebiec, kiedy już zgasła zielona tarcza świetlna i cofnął się pośpiesznie.

Starszy pan o siwiejącym wąsie odłożył gazetę, spojrzał przez szkła na towarzysza popijającego czarną kawę i rozłożył szeroko grube dłonie :

—Nic z tego nie może wyjść.

— Z czego redaktorze ?

— Z całego hitleryzmu. To się poprostu nie trzyma kupy. — Oparł łokcie na blacie stolika, wysunął palce :

— Żelaza nie mają, miedzi nie mają, niklu nie mają. I tłuszczów nie mają. — Wyjął z zanadrza ołówek i na marginesie gazety pisał duże Ż, M, N, T i stawiał obok wielkie zera. — To, widzi pan, mecenasie, jest podstawa wojny, a nie mowy Hitlera.

Mecenas przygarbił się nieco, spojrzał dobrotliwie i melancholijnie i powiedział cicho :

— Nadrenję zajęli, Austrję zajęli, Czechosłowację zajęli, Kłajpedę zajęli. . .

Redaktor uśmiechał się i przez błyszczące szkła okularów patrzał w jakiś daleki punkt. — Marks przewidział doskonale —mówił jakby do siebie—ostatnia absurdalna faza imperjalizmu kapitalistycznego, potem, antyteza, i synteza. . . — Nagle nachylił się do ucha mecenasa i szepnął : — muszę panu powiedzieć, że ja w wojnę, w długotrwałą, wojnę nie wierzę. . .

Mecenas przełknął szybko łyk kawy i potakiwał skwapliwie : — ja też nie wierzę. To jest przeciwne ludzkości, dwudziestemu wiekowi, to jest tylko moment zamroczenia i musi przyjść otrzeźwienie.

— Oczywiście, że przyjdzie otrzeźwienie. Niemcy poprostu wrócą do rozsądku. Zrozumieją cały nonsens. I wie pan co zrobią ? Przewrót zrobią. Ja wierzę w rewolucję w Niemczech. . .

— Rewolucję ? Znowu gwałt ?—mecenas odchylił się nieco.

— Przecież to jasne :—gruba twarz redaktora ułożyła się w fałdy uśmiechu—robotnik niemiecki jest w tej chwili otumaniony, ale przecież to jest element zorganizowany, wysoko stojący. Więc musi dojść do rozsądku. Przecież człowiek dzisiejszy, cywilizowany musi mieć jakąś rozsądną podstawę, żeby się bić. A Niemcy mają co ?—gruby głos skandował słowa :—w hitleryźmie niema nic, żadnego sensu. Teorja o rasach niema żadnej naukowej podstawy, jest naukowym nonsensem. Ta cała brechta z Walhallą, germańskiemi bogami i trzema tysiącami lat Trzeciej Rzeszy to jest teatr, kicz, fantazja. W całym programie Hitlera niema ani jednej myśli oryginalnej, głębszej, ja to przestudiowałem od a do z, wszystko jest zlepione, pokradzione, trochę od bolszewików, trochę od

Żydów, trochę od Mussoliniego, a trochę wie pan skąd ?—z legendy okrągłego stołu. Od króla Artusa !—Wybuchnął głośnym śmiechem.

Mecenas przesunął swe krzesło i nachylił się nad stolikiem :

— I jeszcze proszę wziąść pod uwagę ten zupełny brak wszelkiego humanitaryzmu, — wyjął z kieszeni plikę papierów i położył je na stoliku. Stary rozłożył ręce :

— I pan chce, żeby za takim programem szły miljonowe masy ludzi. Za takim nonsensem ? To jak pan sobie właściwie wyobraża cywilizację, ludzkość ? Poprostu człowieka ?—zdjął okulary i patrzył przed siebie zmrużonymi, niewidzącemi oczyma.

— Przecież człowiek koniec końcem jest stworzeniem rozumnem, przecież wojny nie można robić na nielogicznych podstawach !

— Ja zawsze byłem pacyfistą—mówił mecenas układając rachunki i notując srebrnym ołówkiem drobne cyfry. Podsumował je, podkreślił i schował papiery do kieszeni. — Wojna jest zbrodnią.

— Przecież trzeba liczyć się z ludzkim rozumem a hitleryzm to jest głupstwo ! Nonsens !—wołał redaktor—człowiek jest stworzeniem racjonalnem powtarzam !

— Ja, widzi pan—szepnął mecenas—uważam, że ludzkością należy kierować w duchu humanitarnym. Należy unikać wszelkich starć. Ludzie powinni żyć w przyrodzie. Pan nie ma pojęcia ile szlachetności i dobroci budzi się w człowieku ze współżycia z ziemią. Wystarczy proszę pana nawet niewielki ogródek za miastem. Gdyby ludzkość wróciła do ziemi i do . . . poezji, wojna stałaby się automatycznie niemożliwa.

— Oczywiście ! To samo przecie twierdzę ! Automatycznie niemożliwa ! Wojna jest dla Niemców automatycznie niemożliwa, ponieważ Hitler nie dał im ani jednego rozumnego hasła. To wszystko jest bluff ! bluff !

Mecenas potakiwał.—Ja proszę pana kazałem teraz zrobić druciane ogrodzenie koło mojego ogródka i płacę rachunki uczciwie, jakgdyby wojna nigdy nie miała wybuchnąć. . .

Wielki wojenny znak zapytania wisiał nad miastem w to kończące się lato, ale plaże obsiane były nagiemi ciałami, na wodach Wisły bujały głowy pływaków i żaglowe łodzie. W niedziele statki wiozły tłumy na Bielany i do Młocin, muzyka grała na pokładzie mazurki i tanga, przesuwały się wiślane brzegi piaszczyste i zielone, od przystani wiodła nierówna dróżka w górę po urwistym brzegu, pod sosnami usadawiały się rodziny z dziećmi, koszykami i kocami. Wracały do miasta późnym wieczorem, dźwigając naręcza kwiatów, sosnowych gałęzi i wiklin. Tramwaje niedzielne były przepełnione, zaspane, dzieci tonęły w czeluściach między nogami pasażerów, ale

oficerom ustępowano miejsca. Był to jakby znak wojny, zaczajonej wśród nadwiślanych zapachów, przywiezionych z wycieczki.

Czyniono miejsca dla tych, którzy będą walczyli, patrzano z nowym podziwem na ich piersi wypukłe, obciśnięte mundurem, lśniące guzikami, umajone kolorowemi wstążeczkami odznaczeń. Oficerowie przetaczali się przez ściśnięty tłum, pełni tajemnej i najpotrzebniejszej wiedzy, kiedy tramwaj ruszał z przystanku ciała pochylały się miarowym, biernym ruchem, tylko oficerowie stali mocno, z nogami szeroko rozstawionymi i podniesionymi ramionami, jakby szli do ataku.

W te dnie przedostatnie ciągłość życia zdawała się jeszcze nienaruszona. Z wakacyjnych kolonij, z gór, z nad morza zjeżdżały już dzieci, które czekały września, by pójść do szkół, kto mógł kupował już szkolne książki, jakby przez to kupno zapewnić chciał ten wrzesień spokojny, taki, jak każdego roku. Jak dawniej, tak i teraz sprzątano rankami mieszkania, trzepano dywany, które latem leżały w naftalinie i wracały teraz do jesiennego i zimowego życia. Gdzieniegdzie w nadmiernej skwapliwości wyjmowano już z szaf zimowe rzeczy. Zima była jeszcze daleko, ale w niepewności wszystkich spraw była punktem stałym, więc wykładano futra i płaszcze na ganki i balkony i wietrzono je jakby ostentacyjnie, urzekając los prastarym jesiennym obrządkiem. Zdawało się, że liturgja codziennego życia nabrała teraz jakby uroczystego akcentu. Gotowano obiady staranniej, niż zwykle, podawano posiłki punktualnie, rodziny gromadziły się koło stołu, w tych chwilach gasł nerwowy niepokój, mówiono o wojnie, lecz spożywano dania, jakby to było ciało i krew pokoju.

Pozatem ludzie chodzili ulicami, zajęci swemi sprawami. Co rana na podwórzach domów rozlegały się te same melodje ulicznych sprzedawców, szczotkarzy, obwieszonych swym towarem, handlarzy starzyzny, którzy zbierali do worków stare buty, spodnie i kapelusze przychodził blacharz i wyśpiewywał cynowym głosem swe godło : bblacharz llutuje, rreperuje . . , przybiegał po nim zdyszany sprzedawca raków i szczękał w czeluściach podwórz swe twarde wyzwanie : rrraki, rrraki, rrrakki : stali przez chwilę z głowami wzniesionemi ku górze, śledząc napiętym wzrokiem sprawę jedynie ważną, jedynie istotną—znak z okna jakiegoś, zapowiedź tranzakcji. Niekiedy, jak zwykle pod koniec lata, zjawiała się na podwórzu cyganka, piskliwym głosem wzywała wszystkie służące niepewne jutra, by zaczerpnęły pewność z jej kabały i wróżyła w tym roku, jak w każdym innym, że blondyn, że brunet, że dla serca, że w drodze jest list i wielkie szczęście.

W taki dzień kończącego się sierpnia, kiedy zachód słońca

zaczyna się wcześnie i przeciąga długo, kiedy dymy nad miastem opadają nisko, i w żywą czerwień zachodu sączą ciemne tony, w taki wieczór już trochę jesienny po dniu zupełnie letnim, Piotr Kary wysiadł z wagonu na dworcu głównym i stwierdził, że oto znowu jest w Warszawie. Warszawa objęła go uściskiem dusznego powietrza, hałasem tłumów przeciskających się przez korytarze tymczasowego dworca (—wszystko w Polsce jest tymczasowe—pomyślał) ciężkiemi wyziewami całodziennego upału. Miał zamiar pojechać odrazu do swego domu, by jaknajprędziej znaleść się w wygodnej chłodnej ciszy mieszkania, ale nagle postanowił inaczej. Wrócił do dworcowej restauracji, miejsca wyjątkowo przykrego i dusznego i siadł przy stoliku nakrytym wyjątkowo brudnym obrusem. Zmęczony, człapiący kelner śpiąco i niechętnie zapytał go o życzenia. Czego sobie życzę ?—pomyślał Piotr. Życzę sobie znaleść się znowu w górach u siebie, życzę sobie przestrzeni i górskiego powietrza—zażądał herbaty i szynki. Każdorazowy powrót do Warszawy choć dokonywał się od kilkunastu lat i kilka razy w roku połączony był z jakąś wewnętrzną opresją i żalem. Po paru dniach to mijało. Ale reakcja bezpośrednia była zawsze ta sama i zawsze wiązała się z jakiemś uczuciem bezdomności, wyrzucenia z właściwego swojego miejsca. Sam zresztą na temat tych swoich odczuć ironizował, do swojego chłopskiego pochodzenia nie przywiązywał wagi—jakiż on chłop ? Był poprostu inżynier, całe życie żył w mieście, do szkół, do miasta wysłali go kiedy miał 12 lat i na wieś przyjeżdżał na wakacje, przyjeżdżał radosny i spragniony gór, wsi—i wtedy zaczynały się kłótnie w domu. Bracia patrzyli nań z podełba, bo się kształcił, bo miał być z niego " pan," a dla nich na ich kształcenie nie starczyło, a kiedy ojciec się starzał rozpoczęli skomplikowaną akcję, podjazdową wojnę, by go wyłączyć z działów rodzinnych, by mu ziemi nie dawać. Wyliczyli dokładnie koszty jego nauki, choć pozatem nie bardzo byli mocni w rachowaniu. Stwierdzili że odpowiada to wartości tych czterech morgów z inwentarzem i czwartą częścią chałupy, którąby mu po ojcu przypaść miała w udziale. Jeszcze teraz, choć to były dawne sprawy, choć ziemi nie wziął, choć im pożyczał pieniądze na podatki, na krowę, czy na konia, patrzali na niego nieufnie a nuż w pewnej chwili zażąda swojej części ? To że się bali o swoją ziemię, to było proste, tak bardzo chłopskie, że byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Ale zadzierka tkwiła w czem innem. W tem, że im nigdy nie powiedział, jak to naprawdę było z tą nauką, z jakim głodowaniem i z jakimi upokorzeniami była połączona, jak te ojcowskie pieniądze nie wystarczały na portki, jak chodził w podartych, wśród kolegów najedzonych, dostatnio ubranych

. . . stare dzieje. Coś z tego zostało na dnie do dzisiejszego dnia. Coś z tego odzywało się przy każdej napotkanej trudności, przy każdej przeciwności losu, jakiś skurcz serca, potem zaciskające się konwulsyjnie szczęki, palce. Nieraz patrząc na Joannę myślał z żalem : w najtajniejszym zakamarku jesteśmy inni, niepodobni, ona ma uśmiech beztroski i pamięć szczęścia tam, gdzie u mnie jest pamięć krzywdy, bunt i opór. Kiedy opowiadał Joannie o kłótniach z matką śmiała się, nie przeczuwając wcale czem to dla niego było w te dnie wakacyjne —Joanna czuła tylko zapach świerkowych lasów, słyszała tylko szum górskiego potoku. Rozumiała tylko tę matczyną dumę, kiedy w niedzielę na pięknie wymoszczonej słomą furmance, z siedzeniami nakrytemi samodziałem wiozła swego " syna ze szkół " do kościoła, by pochwalić się przed ludźmi. Ale Joanna nie rozumiała tego, co się stało potem, kiedy matka dowiedziała się, że on wcale niema zamiaru zostać księdzem. Kiedy młodzieńczo nierozważnie i brutalnie podeptał jej marzenie : mieć syna księdzem. Żeby mieszkał na plebanji, żeby go ludzie z jej wsi całowali po rękach. Żeby do niego przychodzili wtedy kiedy się człowiek rodzi i kiedy umiera, kiedy chce rozmawiać z Bogiem i kiedy wyznaje swe grzechy. Pieściła to swoje marzenie i posyłała mu przez Żydów i kumów do miasta suszony ser, jajka, jabłka jeszcze zielone. Jednego roku, podczas wakacyj roześmiał jej się w twarz : tak ja się na księdza nadaję, jak mama na hrabiankę, takiby tam zemnie ksiądz był, jak z mamy dama. Patrzała na niego nie rozumiejąc. Bracia śmieli się złośliwie. Tylko ojciec rozumiał . . . Ale za swoje stargane marzenia matka potem mściła się okrutnie. Wypominała ojcu każdą złotówkę którą posyłał " swojemu chłopakowi," dopiero wtedy się spostrzegła, że innym dzieciom dzieje się krzywda i mówiła o tej krzywdzie, kiedy stawiała kluski z mlekiem na stole nie pośrodku, ale tak żeby od niego dalej, mówiła o niej całymi wieczorami aż jej sen nie zmożył i z tą krzywdą na ustach wyganiała go rano z łóżka. Tak wyglądały wakacje. Tego zresztą Joannie nie opowiadał—poco ma wiedzieć. O ojcu jej tylko opowiadał, o tej jakiejś dziwnej dobrotliwej przyjaźni, która snuła się zawsze tylko poza domem, zawsze tylko rano i wieczór. Kiedy o wschodzie słońca jechali na pole drabiniastym wozem, i z pługiem, broną, albo nawozem i wieczór, kiedy wracali z roboty, albo z sianem, albo tylko trochę świeżo nakoszonej trawy przywożąc, by ją koniom do obroku przyrzucić. W dzień przy robocie ojciec milczał, nawet w południe kiedy siadali pod drzewem, żeby obiad zjeść, to ojciec tylko tak sobie zerkał wokoło, nieraz się o konia pomartwił, że chudy, nieraz coś o krowach, nieraz o siewnem ziarnie, że trzebaby zmienić, albo o nawozie, że go mało.

Ale tak to nie gadał. Dopiero jak wracali. Lejcami sobie machał od niechcenia, nieraz batem muchy z końskiego zadu opędzał i dogadywał im: tak byś bąku jeden ssał, jak jaki pan . . . potem się po niebie rezejrzał, pogodę na jutro przepowiedział i spojrzał na niego z boku jednem okiem przymrużonem, a drugiem śmiejącem: a ty się nie martw, synku—powiedział—ino sobie zawsze pomyśl, skąd ten chłop, albo ta baba mają rozum mieć? Z tej roboty od rana do nocy? Albo z tych ojców, co sami ciemni byli? Uczył go rozumieć ludzi, wyrozumiałości. Raz jeden tylko była taka chwila, że ją uznał za dość ważną, by z nim w domu rozmawiać. Kiedy umierał. Powiedział, żeby wyszli z izby i żeby tylko Piotruś został.

Będzie już 15 lat temu, jak ojciec umarł. Wielkanoc już była blisko, ale śnieg pruszył. Jednego tylko ojcu nie powiedział, zataił przed nim, że się z Ireną ożenił. Właściwie niewiadomo czemu. Nigdy z Ireną na wieś do swoich nie jeździł. Nieraz rzadko, bracia przyjeżdżali do Warszawy. Trochę się czuli nieswojo w tej jego willi bardzo modernistycznie urządzonej, wielorakie krany w łazience ich onieśmielały. Irena była nawet bardzo dla nich miła. Mówili do niej: proszę bratowej, niech bratowa . . . ale byli małomówni.

Trzebaby iść do domu—pomyślał pod wpływem wspomnienia braci, siedzących na krawędzi krzesła i patrzących trochę drwiąco na " bohomazy " wiszące na ścianie. Dziwne, że mu się wcale nie chce. Rozejrzał się po sali, nowi ludzie przybyli, widocznie czekali na jakiś pociąg, walizki, podróżne torby stały koło nich. Jeszcze tu są, a właściwie już gdzieindziej—myślał, patrząc na spoconą twarz jakiejś kobiety, widocznie bardzo zdenerwowanej, bo co chwila nachylała się nad torbą, grzebała w niej nic nie wyjmując i patrzała potem przed siebie poruszając ustami, jakby do kogoś mówiła. Była już widocznie daleko, w jakiemś nowem miejscu pobytu, rozmawiała z jakimiś ludźmi, których już widziała przed sobą—wszystko polega na tem, że wierzymy niezłomnie, że stanie się to co zamierzamy—pomyślał i uśmiechnął się. Ostatecznie rachunek prawdopodobieństwa przemawia za tą kobietą, przypuszczalnie dziś lub jutro istotnie znajdzie się tam gdzie chce . . . Ale myśmy nie zajechali, tam gdzieśmy chcieli—powiedział niemal głośno. I teraz dopiero zrozumiał dlaczego tu siedzi na dworcu i nie ma ochoty wyjść na ulicę Warszawy. Rzuci się na niego zaraz cała aktualna rzeczywistość i będzie szarpać nerwami. Jutro o 9-tej rano ma konferencję w ministerstwie w sprawie fabryki. Jutro będzie wysiadywał godzinami w jakichś przedpokojach, pokojach, będzie wyjaśniał, tłumaczył przed jakimiś biurkami, będzie wykazywał czarno na białem, że tak a nie inaczej trzeba

zrobić, zarządzić, pokierować, będzie przedkładał cyfry, plany, wszystko będzie się trzymało kupy, wszystko będzie jasne jak słońce. Może nawet przekona jakiegoś naczelnika wydziału, czy referenta, czy choćby ministra. Zgodzą się, omówią, ułożą szczegóły. A za dwa dni—cholera weźmie wszystko. Za dwa dni przyjdzie do tego samego pana, do tego samego biurka i wszystko będzie na odwyrtkę. Niewiadomo dlaczego. Dla jakichś względów " wyższych." Czuł jak mu się znowu zaciskają szczęki i palce, jak porywa pasja chłopska, dzika. Miał ochotę uderzyć pięścią w stół i ryknąć na całe gardło : dość, dość już tego. Rzucić tym obcym głupim ludziom, którzy tu siedzą na tym dworcu nieprzytomni, zajęci nie tem co jest, ale wyimaginowaną przyszłością, sprawami których jeszcze niema, których może nigdy nie będzie—rzucić im w głupie twarze pytanie : dlaczego pozwalacie sobą rządzić ? tak rządzić ? Nie uderzył w stół, szczęki rozluźniły się, palce rozprostowały się same, zawołał kelnera i zapłacił. Kiedy wkładał resztę do kieszeni pomyślał, że w Polsce wszyscy żyją tak jak na dworcu. Na gruncie jakiejś fikcji. A on i jemu podobni byli bezsilni. I to było najgorsze.

Niekiedy zdawał w myśli sprawę ojcu z tego co się dzieje i z tego co robił. Opowiadał mu o tem, że tak jak ojciec przykazali tak on dla swoich pracuje, i rozumem swoim nimi kieruje. Potem mówił mu o tem, że już niepotrzebne jego kierowanie, bo chłopi bardzo zmądrzeli, jak to zresztą ojciec przewidział. Liczył na to, że ojciec po śmierci będzie jeszcze bardziej wyrozumiały aniżeli za życia, więc mu opowiadał nietylko o partji Witosa, do której ojciec należał, ale także i o innych partjach chłopskich. —Koty drą ze sobą—uśmiechał się do swojego rozmówcy—ale ty wiesz, że to nic nie znaczy. A nawet lepiej, że się kłócą. Bo jeden drugiemu na palce patrzy i wzajem się kontrolują. A jak się kłócą, to się przytem także wyrabiają. Ojciec był tego samego zdania i odpowiadał mu słowami, które mu wtedy przed śmiercią wyszeptał : najważniejsze, żeby temu chłopu pojmowanie rozszerzyć . . . A tobyś ty się ucieszył stary, jakbyś widział jak mu się przez te piętnaście lat pojmowanie rozszerzyło, jak jemu już teraz nie jego zagroda najważniejsza rzecz, jak go teraz nie przekupisz . . . wiesz ty stary, że jak chłopom zaległe podatki skreślili, bo myśleli, że im przez to gęby zatkają to chłopy powiedziały : że skreślili, to dobrze, ale to mało, bo nam nie o podatki chodzi ale o to żeby my rządzili. A żebyś ty widział, jak oni te strajki zorganizowali, ani byś ty tego biedaku nie zrozumiał, boś za swojego życia strajku chłopskiego nie widział. Ale powiadam ci, dobrze było zrobione, nie na gminę, nie na powiat, ino na cały kraj, od żniw poszli, rozumiesz ty to ? Na drogach swoje

patrole ustawili, żeby żadna furmanka, żadne jajko, żadne mleko do miasta się nie dostało, a łamistrajków i policję co ich broniła, oporządzili jak się patrzy, gruntownie, po gospodarsku, aż się ten nasz totalistyczny rząd zatrząsł od tego. Starostwo oblegali, rozumiesz ty to? Krew się lała, ale i śmiechu i zabawy było przytem co niemiara i byłoby się wojną domową skończyło, gdyby . . . I to ci jeszcze powiem, że na żydowską awanturę też nie poszli, co rząd chciał rozpętać, uradzili że jak Żyd porządny, to takie prawa ma jak porządny Polak, a jak nieporządny, to razem z polskim drańśtwem będzie ginął i wiesz kto żydowskich straganów przed rządowemi nasłanemi bandami broni? Robotnicy i chłopi. Takie widzisz rozeznanie mają, choć przecie rząd za żydowskie bicie płaci, po 5 złotych dziennie płaci, albo i podatki zmniejsza, albo i kredyty daje, albo i wójtem jednego drugiego zrobi. Tak to widzisz chłopy teraz zmądrzeli, tak im złe rządy na dobre wychodzą . . . A żebyś ty stare ojczysko widział—a przecie mógłbyś widzieć, bo gdybyś żył to byś dopiero 72 lata miał— żebyś ty tych chłopaków widział, co to za twojego życia w odpiętych portkach po trawie się przewalały, jakie to się teraz z nich ludzie porobili, do szkół chodzili i nikt ich na księży nie chciał uczyć, tylko tak. Swoją organizację mają, swoje związki, książki czytają, na rząd wymyślają, a jak którego do kozy zamkną, to wraca jeszcze bardziej czerwony jak był. Ale ich kolor to zielony, chłopski. Z robotnikami—mówią—musimy razem iść, to wtedy cała Polska jest nasza. Bo my razem 80% ludności stanowimy mówią. Wyczytali, wiedzą. Znowu tak jednym śmiejącym okiem na mnie patrzysz, a drugie mrużysz? Nie wierzysz? No to ci powiem prawdę: pewno, że i drańśtwa dużo jest między chłopami. Pewno, że i tchórzów niemało, co się boją starosty, policjanta. Pewno, że i ciemnoty jeszcze wiele. A już nawet ci, co to niby mądrzy, to pacierz za panią matką powtarzają, to tylko mielą, co w nich wsypano. Ale to ci mówię i na to ci przysięgam, że gdyby chłopi teraz władzę wzięli, gdyby chłopski rząd był, toby między chłopami tacy się znaleźli jak Witos, nie gorsi od niego. I rządziliby mądrze i uczciwie. I zrobiliby Polskę robotniczo-chłopską, taką jaką jest naprawdę.

Ojciec i tym razem wysłuchał cierpliwie wszystkiego, co mu naopowiadał. Głową kiwał i uśmiechał się przyzwalająco. Tylko tym razem zadał mu pytanie podstępne i złośliwe: 80% powiadasz? Organizacje powiadasz? I rozum do rządzenia, powiadasz? No to i czemu tych swoich rządów nie zrobicie? Na co czekacie?

Na co czekamy . . . na co czekamy? Spojrzał na zegarek i sam się zdumiał. Godzinę już tak siedzi przy tym stole w

tej brudnej dworcowej restauracji. Wieczór już się zrobił, dziewiąta godzina jest. Ludzi, których przed chwilą oglądał już niema, już pojechali, inni zapełnili salę, inni znowu patrzą wokoło niewidzącymi oczyma, śpieszący, łykający gorącą herbatę, byle prędzej, byle zdążyć. Przejezdni. Ale pod ścianą siedzi dwuch, którym się nie śpieszy. Pijani. Zwykle dopiero nad ranem ściągają na dworzec pijacy, których wyrzucono z zamykających się lokali, ale tym się widocznie rachuba czasu popsuła, już teraz są tu. Mają gesty szerokie, zmierzające gdzieś znacznie dalej aniżeli zasięg ramienia, siedzą wygodnie rozkraczeni, patrzą wokoło dobrotliwie, zapraszająco, radośnie, jedyni, którzy są naprawdę tu, dla których to miejsce jest miejscem. Jeden położył drugiemu rękę na ramieniu, przysunął chybotliwą głowę do jego ucha i " szeptał," że rozlegało się skrzeczącym echem po sali :

— Pij bracie. Przyjaciel ci to mówi. Bo i co cię czeka ? Wojna cię czeka. Taka widzisz wojna, że jej nie przeżyjesz. Nie przeżyjesz, bo nie umiesz pić. Taka widzisz wojna, że się płakać chce . . . — nagle rozejrzał się wokoło—na dworcu jesteśmy, prawda ? No to widzisz, ostatni raz na dworcu pijesz i już tu więcej pić nie będziesz. Nie będziesz—powtórzył grobowo i podkreślił wyrok rozmachem ramienia—bo tu będą gruzy, pustynia tu będzie—krzyknął głośno i rozejrzał się wyzywająco po sali. Ludzie oglądali się z oburzeniem. Piotr wstał, zabrał walizkę i wyszedł.

Na ulicy było przewiewniej, chłodniej i jakoś mu się lżej zrobiło przez chwilę. Ucieszył się, że tyle ludzi chodzi ulicami, że tyle świateł rozsianych świeci na miejskim, warszawskim niebie. Marszałkowska ulica wyglądała jak wesoły jarmark, upstrzony kolorowemi światłami, czerwonymi wozami tramwajów, ludzie szli beztrosko, gdzieniegdzie widać było roześmiane grupy dziewcząt i młodych mężczyzn. Szedł za jakimś mężczyzną i obserwował jego ruchy : jakie pewne siebie, jakie władcze, jakby cały świat do niego należał, taki sobie warszawski bubek, " warsiawski blagier," jak mówiono na wsi, a ile to w takim fantazji, przemyślności. Jak się to taki przez życie przekombinować potrafi . . . Poczuł nagle to wielkie miasto, jako olbrzymi zbiornik energji, radosnej siły życia, nawet ta warszawska blaga, z której kpiono w całej Polsce, nawet niepojęta lekkomyślność tego miasta wydała mu się teraz potwierdzeniem jego młodości, wyrazem przelewających się w niem sił. Nastawił słuch ku górze i słyszał szum daleki, niemilknący, radosny, jakby życie kipiało w tem mieście, młode i nieokiełznane. Tak nieraz, chodząc po podwórzu fabryki cieszył się szumem maszyn, który dochodził z wielkich hal, zapominał o wszystkich brakach, troskach, które mu rozsadzały

głowę i oddawał się cały radości : jest, idzie, rośnie. Tak nieraz, kiedy zajęty, zafrasowany, cały pochłonięty jakimś jednem zagadnieniem szedł na konferencję i przekraczał bramę jakiegoś zakładu, fabryki, warsztatu, przystawał na obcem podwórzu, obejmował wzrokiem obce budynki, obcych ludzi i czuł się w tem obcem miejscu jak godpodarz, który z dumą stwierdza : jest, idzie, rośnie. Tak stał parę dni temu przed zaporą wodną w Rożnowie. Licho wie poco tam pojechał, właściwie nic tam nie miał do załatwiemia. Ale chciał się przyjrzeć, po raz dziesiąty, jak się urzeczywistnia jego sen, jego marzenie—robione nie jego rękami. Do roboty go tam nie dopuścili, bo był politycznie zaangażowany, bo nie był " swój," ale pal ich djabli. Grunt, że rosła, że nabierała betonowych kształtów praca olbrzymia, zbiornik siły dla przemysłu całej południowej i środkowej Polski. Kiedy tak stał na krawędzi betonowego stoku zdawało mu się, że mu ten wymarzony od lat wodospad przez piersi się przelewa potężną, zwycięską radością. Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie jak to nieraz kombinował jakieś interesy, konferencje nikomu niepotrzebne poto tylko, by pojechać gdzieś, gdzie się budowały nowe fabryki, gdzie się rozszerzyły dawne, gdzie wprowadzono jakieś ulepszenie, gdzie zastosowaną jakąś nową metodę, by się tylko przyjrzeć, i stwierdzić z gospodarską dumą : jest, idzie, rośnie. Wrzała praca i rosło życie w tej Polsce na każdym kroku, wbrew wszystkiemu, wbrew rządom, wbrew polityce. Naród był młody, zdrowy, zdolny.

Szedł teraz Jerozolimską Aleją, jak chłopek ze wsi, który pierwszy raz jest w mieście. Przystawał przed ciemnemi wystawami sklepowemi i podziwiał wszystko co wzrok napotkał, najprostsze, najcodzienniejsze rzeczy—kawałki tapet, rozklejone na kręcących się parawanach, jakieś świdry, pilniki, koła transmisyjne, ułożone w geometryczny wzór, jakieś materjały piękne, samodziałowe, jakieś wzorzyste kilimy, jakieś sztuki płótna ułożone w stosy, a obok znowu delikatne rękawiczki damskie, zwieszające puste palce jakby w strachu przed ręką, która je obejmie w posiadanie. Szedł tak od okna do okna i nagle przed oknem księgarni, gdzie wystawione były arcywspaniałe plany architektoniczne osiedli, westchnął głęboko i dziecinnie : żeby to takie osiedle u nas w Malejowej zbudować, żeby to moi tak mogli mieszkać . . . I nagle poniosła go znowu chłopska dzika pasja. Odwrócił się plecami do okna, stał niepotrzebnie na rogu ulicy i klął : wszystko psiakrew na odwyrtkę, nie tak jak trzeba i nie dla tych, co trzeba. Patrzał jak zły pies na przechodzących ludzi i warczał ku nim : dlaczego pozwalacie sobą rządzić, tak rządzić ? Jakby to ta Polska mogła wyglądać, żeby nie tamci u góry ?

Wtedy ojciec przymrużył znowu jedno oko i zapytał ze złośliwym uśmiechem: dlaczego swoich rządów nie zrobicie? Na co czekacie? O mało nie wpadł pod taksówkę, przechodząc na drugą stronę ulicy, kiedy mu odpowiadał w uniesieniu i ze złością: ty nie wiesz co to znaczy biurokracja partyjna, ty nie wiesz co to są małe partyjne tarcia, co to jest organizacyjna rutyna, ty nie wiesz ile w tej opozycji jest konserwatyzmu, ile braku odwagi . . . czemu się mnie czepiasz, czemu mnie czynisz odpowiedzialnym? Ja ich wszystkich na swoich barkach nie uniosę, ja ich wszystkich nie ruszę. To musi dojrzeć samo—nie rozumiesz tego? Ale twarz ojca pozostała uśmiechnięta i w uśmiechu była niewiara.

Szedł teraz szybko przed siebie, przeszedł szumiącą, pełną i jasną arterją Nowego Świata, znalazł się w cichszej, ciemniejszej Aleji Trzeciego Maja. Rzeki jeszcze nie było widać, most biegł górą nad niską dzielnicą nadbrzeżną, suchy most przerzucony nad dachami domów, jeszcze pełen zapachów ziemi i miasta, ale w pewnej chwili, niewidzialna granica znaczyła panowanie rzeki, powietrze zrobiło się pełne wilgotnych zapachów. Pośpieszył, odetchnął głęboko: woda. Lecz były to tylko jej lotne forpoczty. Jeszcze nad mostem górowały ostatnie piętra wysokich domów, stojących w dole. Jeszcze szumiały czubki drzew. Przestrzeń nad wodą wyłoniła się cicho. Otworzyła się na prawo i lewo, obramiona szeregami świateł, czarna wstęga, przeszyta zygzakami odblasków.

Poczuł się z tą rzeką związany głęboko, mocno, tak jak z górami, dolinami, lasami.

— Stamtąd bierze wody i tu je szelma przynosi—pomyślał i nachylił się nad nią przez barjerę mostu, jakby ją chciał pogłaskać wzrokiem. — I ciebie trzebaby okiełznać, wychować, rozpętana rzeko—mówił do niej,—żebyś się udobruchała zalewająca wodo, żebyś się swoich brzegów trzymała. — Odpowiedziała mu chłodnym niechętnym powiewem. Od tego powiewu ścięło go nagłym mrozem.

— Przecież to wojna nad nami wisi.

Postawił walizkę na ziemi, oparł obydwie dłonie na barjerze i nachylony nad wodą, tak jak przed piętnastu laty stał nachylony nad grobem ojca, tak mu teraz opowiadał:

— Teraz ci dopiero powiem, stary, jak jest naprawdę. Kiedy się chłopi rozhulali w strejku, tośmy się spotkali z przedstawicielami robotników i powiedzieliśmy, że teraz jest czas. Teraz przewrót zrobimy i rządy weźmiemy w swoje ręce. Robotnicy się zgadzali. A wtedy wstał jeden z naszych, mądry i sprawiedliwy i powiedział: dobrze rozważcie, bo jeśli teraz przewrót zrobicie, to będzie wojna domowa. Będzie się krew lała. Tamci mają siłę, a chłopi się nie dadzą. Natośmy mu

odpowiedzieli : niech się krew leje i niech będzie wojna domowa, a jak się wojna skończy, to będzie lepiej niż jest. A na to on nam powiedział : dobrze się zastanówcie. Bo wojna domowa może trwać parę miesięcy, ale może trwać i rok i dwa. A wy wiecie co Niemcy przygotowują ? Wiecie, że jak u nas w kraju rozpęta się zamęt, to Niemcy z tego odrazu skorzystają ? Wejdą, zajmą, zrabują ? Ci co teraz są u władzy łudzą się, nie wiedzą, ale my wiemy jak jest. Oni rządzą, ale my wiemy lepiej od nich. A teraz powiedźcie, czy możecie to wziąć na waszą odpowiedzialność ?

— A teraz ty powiedz, stary, wziąłbyś to na swoją odpowiedzialność ?

Twarz ojca głęboko na tle ciemnej rzeki rysowała się zafrasowana i poważna. Wąsy nakrywały usta, powieki oczy. Tak jak leżał na swojem śmiertelnem łóżku. I jak wtedy, nie dał i teraz odpowiedzi.

Piotr zdjął kapelusz, jak przed katafalkiem. Wtedy też coś szeptał ojcu, jakieś ostatnie przyrzeczenia, ostatnią skargę, że go opuszcza. Teraz poskarżył mu się cicho :—tak, widzisz, wisi nad nami ta wojna, tak nas trzyma od lat . . .—i nagle przestraszony zadał mu pytanie :—a może myślisz, żeśmy źle zrobili ? Ojciec milczał jak wtedy.

Nałożył kapelusz na głowę i rozejrzał się. Nad Wisłą jest. Oczywiście. Nie poszedł do domu, tylko tu stoi na moście, na drodze do Joanny. Szedł do Joanny z jakimś niejasnym wstydem, że ucieka przed najważniejszemi sprawami w tę miłość do niej.

— Trudno, trzeba przecież żyć . . .

W miarę uciekających dni tego sierpnia rozrastał się pas niepokoju. W jasne dnie zdawał się niewidoczny, zasypany codziennemi sprawami, troskami. Wieczorami z otwartych okien płynęły dźwięki radja, tony muzyki snuły się po cichych ulicach, rozwiewane lekkim powiewem ciepłego wiatru, ktoś nucił w takt. Lecz nagle z jakiegoś okna, z jakiegoś radjowego głośnika padało słowo wojna. Roztrącało ciszę i przejmowało nagłem drżeniem młode dziewczyny, uwieszone u ramion mężczyzn. Słowo było bez twarzy, bez treści. Lecz gwiaździsta noc czerniała nagle, kobiety przywierały do mężczyzn namiętniej, goręcej, wpijały się ustami w usta, przymykając oczy i wchłaniając pocałunki, jakby były ostatnie.

Nocami, w ciemnych szeregach okien zapalały się nagle przyćmione światła nocnych lampek, snuły się cienie ludzi—wiadomo było, że tam w pokoju, u sufitu, rozpięte na pajęczynie cieni wiszą mary wojny i wodzą wokoło krwawemi ślepiami. Matki szły ku dziecięcym łóżkom, patrzały z przerażeniem na małe śpiące głowy, wykonywały nad niemi bezradne gesty

zaklęć i szeptały jakieś błagalne modlitwy. Żony słuchały oddechu mężów, drżąc że urwie się nagle i w ciszę która powstanie spadnie jakiś odgłos nieznany, straszny. Sen przychodził nad ranem, krótki, męczący, dzień wstawał blady o sinych cieniach, stawiano na stole czajniki z herbatą lub kawą i był to jakgdyby martwy już obrządek powitania dnia, w którym nie było wiary. Wojenna zmora osuwała się coraz wyraźniej i dławiła coraz mocniej.

Pancernik niemiecki przybył do Gdańska.

Wiadomość buchnęła wczesnym rankiem przez radjo, przez gazety i miasto zadrżało nagle, jakby oczy ludzi dojrzały wyloty armat skierowane na polskie wybrzeże. Komentarze w gazetach były uspakajające. Pisano, że to tylko wizyta, bo tak głosili Niemcy, i tajono prawdę skrytą za pancernemi płytami. Lecz w ten dzień kiedy wojenny okręt niemiecki stanął na odległość strzału od Westerplatte coś się w ludziach przewaliło. Coś zrodziło się nowego.

Zamiatacze ulic, którzy przystawali w robocie by przeczytać gazetę, konduktorzy tramwajowi, przeciskający się przez zbity w wozie tłum, robotnicy jadący rano do pracy, urzędnicy i kupcy, ludzie którzy nigdy nie opuszczali Warszawy, którzy nigdy nie widzieli morskiego brzegu teraz zdawali się mieć oczy pełne morskiego w uszach pamięć szumu morskich fal. Wysoko nad domami Warszawy wiał wiatr od morza. Na wszystkich ulicach, we wszystkich domach przelewało się z hukiem i szumem morze, które nigdy nie było tak polskie, jak tego dnia. Przerwało wszytkie tamy, zalało mózgi i serca słonym zalewem.

— Nie damy :

Gdzieś skryły się nagle drobne codzienne sprawy, gdzieś zapadł się strach przed nieznanem, przed wojną. Ludzie którzy wczoraj jeszcze chodzili przygarbieni wyprostowali się nagle. Ludzie którzy wczoraj jeszcze snuli przemyślne plany i mówili : zapakuję kufry, zamknę mieszkanie na klucz—teraz nagle—może wyczuli słabość kluczy i kufrów ?—teraz nagle nie mówili o żonie, o dziecku, o pewnej kryjówce którą wynaleźli dla rodziny. Teraz nagle nie mówili " ja," mówili " my."

" My " wybuchło nagle, nie dyktowane żadnym rozumem, żadną świadomością. Obejmowało ludzi, ziemię pod nimi, niebo nad nimi, obejmowało domy i wyszczerbione uliczne bruki, szyldy nad sklepami i drzewa na skwerach, dnie przeszłe i te które nadejdą, przeżyte krzywdy i bóle, radości duże i radości małe, wyniesione z wielkich uniesień i z małych narożnych szynków, z walk i kłótni, z tego że ktoś komuś pomógł i z tego że ktoś kogoś zgnębił. " My " nikomu nic nie wybaczało, " my " nie było niepamięcią i przyrzeczeniem zgody, " my " nie było pogodzeniem się z tem co było i co jest—

" my " było tylko prawdą prostą, taką jak dzień, noc, rzeka, ziemia, miasto, kraj.

My będziemy się bronić!

Nagle odżyła pamięć czeskiego upadku. Ludzie, którzy niedawno czytali obojętnie wiadomość o tem, że Hitler zajmuje Czechy, że łamie jedno przyrzeczenie po drugiem, teraz skupieni w niespokojne gromady, gestykulując żywo, zdawali się wskazywać na jakieś miejsce w sobie, dotknięte do żywego, obrażone, zranione do krwi.

— Kłamie—wołano—oszukuje!

Zdawało się, że tamta hańba jest czemś żywem, co obraża każdą godność, co ciąży na każdem sumieniu. Ponad poczucie niebezpieczeństwa, które zawisło nad całym krajem nad całym jego istnieniem, wybiło się teraz poczucie moralnego zranienia, krzywdy zadanej wszystkim ludziom. Nikt nie obliczał strat i zysków, które mogłoby przynieść oddanie morskiego brzegu, nikt nie obliczał ryzyka wojny. Wszyscy czuli śmiertelny grzech bezprawia, gwałtu, kłamstwa. Wszyscy wzdrygali się przed hańbą poddania.

Tak zapadła w ludziach decyzja obrony istnienia na swojej ziemi i obrony istnienia moralnego. Tak ludzie powiedzieli słowo " wojna " bez strachu.

Na parkanach, na murach domów wisiały od dawna afisze, na których czerniały słowa: silni, zwarci, gotowi. Było to hasło rządowe, rzucone od dawna, nikt nigdy nie czytał tych afiszów. Tego dnia litery ożyły. Wiatr zmiótł nagle pył, który na nich osiadł. Stały czarne, błyszczące i wielkie, prawdziwe, mówiły o czemś, co każdy czuł w sobie. Nikt nie chcial wojny. Nikt nie znał wroga. Nikt nie znał własnych sił. Wszyscy wierzyli.

Czy można było nie wierzyć?

Wiadomo było, że w całym kraju, na piaszczystych wybojach i na rodnej roli, w zapadłych miasteczkach i w dużych miastach, w fabrykach i warsztatach chodzą dziś ludzie, z podniesionemi głowami, z zaciśniętemi pięściami, ludzie zranieni i ludzie stwardniali w decyzji obrony.

Od tej decyzji dnie zrobiły się chłodniejsze. Niebo, choć błękitne jak przedtem zdało się leżeć ciężko nad miastem. Obłoki, choć lotne i lekkie zdawały się rzucać cień na każdą godzinę, która przetaczała się powolnie i ciężko jak godzina pożegnania. Wieczorami ludzie mówili sobie jak zawsze " dobranoc," lecz wiedzieli, że noc nie będzie dobra, będzie jak czarny lej wiodący w przepaść dnia. Rankami mgły słały się nad Wisłą, oliwkowa szeroka pierś rzeki zdawała się leżeć nieruchomo i czekać. Na szarych słupach mostu przewijały się czerwone linje tramwajów i autobusów, przystawały nagle,

jakby przed niewidzialnym aparatem fotograficznym chciały utrwalić obraz tych dni ostatnich. Na warszawkim brzegu rudziały szybko liście drzew. Na skrzyżowaniu Aleji Jerozolimskiej i Nowego Świata przygasało nagle zielone światło tarcz, regulujących ruch, rozpalała się tarcza czerwona i trwała długo, jak oko szeroko otwarte i nabiegłe krwią. Na Krakowskiem Przedmieściu domy małe i trochę już słabowite ze starości przywierały trwożliwie do domów młodych i zdrowych. Przed wystawami sklepów wystawali ludzie i patrzyli milcząco na zastygłe w kanciastym ruchu drewiane lalki ubrane w kwieciste suknie. O zmroku na Wielkim Teatrze jaśniały szeregi kolumn, bielsze niż zwykle, rozrastały się ku górze pod samo niebo i szły uwielokrotnionym szeregiem przez mroczne ulice, aż na Zamkowym Placu spotkały kolumnę Zygmunta, unoszącego miecz nad Warszawą. Na zamku bił zegar powolne, ochrypłe godziny. U spodu pod zjazdem zamkowym wyboista dzielnica Powiśla otulała mrokiem drewniane domy, w świetle latarń wybłyskiwały niepewne postacie i jakiś stłumiony głos pytał trwożnie :—Co będzie ?

EUGENIUSZ CĘKALSKI.

OSTATNIA JESIEŃ

1. HORODENKA—WARSZAWA.

25 sierpnia 1939 wyjeżdżaliśmy z nad rumuńskiej granicy—z Horodnicy koło Zaleszczyk—z powrotem do Warszawy. Zdjęcia były ukończone, w moim aparacie pękła sprężyna, nie było już co robić, choć właśnie zaczynała się cudna pogoda, błękit z kumulusami. Przyjechał po nas mały czarny Ukrainiec ze starostwa w Horodence, dużo narzekał, że Sowiety i Niemcy razem, że w Moskwie ku czci Ribentroppa wiszą swastyki. Nie wierzyliśmy, co nam to wreszcie.

Mieliśmy przed sobą czerwone skały z nad Dniestru, śmiechy dziewczyn, smak niedojrzałych polskich winogron i zapach nocy letnich pełnych erotyzmu, nocy które kończyły się świtem, zastającym nas na przyzbach ukraińskich chat z dziewczynami z obozu.

Janka z Łodzi kokietowała bardzo długo i dąsała się, że mama na różne rzeczy wieczorem nie pozwala, bo ona ma dopiero 18 lat, ale naprawdę to w jej wieku dziewczyny już mają dzieci. Już kiedy powracała z nami w nocy z wycieczki do Czerwonogrodu dawała się otulać aż nazbyt dokładnie (noc była zimna), a kiedy towarzyszyła w samochodzie objazdom filmowym powiatu, trzeba było ją wciąż otaczać ramieniem, niby żeby ją uchronić przed natarczywością Mietka. Potem trzeba było prosić mamusię, żeby pozwoliła jej wziąć udział w pożegnalnej uczcie, a po tej uczcie odprowadzić ją do domu, ale dom był naprawo, a Dniestr na lewo, więc się skończyło nad Dniestrem. Siedzieliśmy długo i tam na kamieniach opowiadała płacząc, że ma tajemnicę, że okłamała matkę, że zdała maturę, a naprawdę—to się oblała i że 1 września odbierze sobie życie, jak trzeba będzie iść do szkół i wszystko się wyda. Do szkół nie poszła, nie wydało się, była wojna. Może to uratowało dziewczynę.

Potem przyleciała "Malarka" z krzykiem i płaczem, że ją Mietek prześladuje, że jest straszny, że ją chce gwałcić i chodzi za nią po ulicach wioski. Trzeba było obie prowadzić do domów, a Mietek wyskakiwał z ciemności, jak pies, warczał i śmiał się głupio, był pijany.

Janka poszła zaraz do domu, następnego dnia pojechała do Okopów św. Trójcy, stamtąd przysłała pocztówkę do Warszawy, już w przeddzień wojny—potem przepadła. Gdzie jest teraz, czy zdążyła wrócić do Łodzi, nie wiadomo.

Hanka z Pruszkowa miała najpiękniejsze nogi w całym obozie. Rano o pół do siódmej myła się w Dniestrze nago. Mietek na różne sposoby usiłował ją w tej czynności sfotografować, ale

zwykle uciekał w końcu, bo przychodziłem ja i brałem Hankę na spacer w stronę wierzb, gdzie koczowali cyganie. Hanka mówiła o narzeczonym i pytała ciągle: "lubisz Hanię"? Była potem w Warszawie—już tkniętej gorączką wojny—mieszczańska w swojej pruszkowskiej toalecie—przejęta tem, że mobilizują, że z urlopu wezwali i kiedy po paru godzinach odjeżdżała—(zgrzana i pachnąca po przeżytym uniesieniu)—mówiła: —no przecież jakaś komunikacja z Pruszkowem będzie, przyjadę napewno, będą listy, telefony. Pierwszego dnia wojny czekałem na połączenie z Pruszkowem 3 godziny, drugiego dnia bomby zniszczyły Pruszków. Gdzie jest Hanka? Czy leży nieżywa lub ranna, czy głodna i wyniszczona otacza opieką starych rodziców, braci, siostry i narzeczonego—pijaka?

I co stało się z Dziunią? Dziunia była żydówką i miała na na obozie najpiękniejsze oczy—oczy migdały. Patrzyła długo i zuchwale, kiedy odpędzałem od niej natrętnego Mietka. Odprowadzona w nocy, bladła i drżała, kiedy mówiliśmy o groźbie wojny. Przypomnieli mi się jej bracia-żydzi tułacze, żydzi mądrzy i smutni, przyjaciele i obcy, ci co wszystko rozumieją i wiedzą i mówią lepszą polszczyzną od Polaków i ci szwargocący, brudni i wystraszeni, żydzi ciemni, miljony—zgubionych w w otchłani dwudziestego wieku ofiar.

Te trzy dziewczyny jasne i proste w swej radosnej lekkiej rozpuście—w pogańskiej beztrosce—stanęły jak symbol czegoś, co odchodzi na zawsze.

Gdy do pośpiesznego pociągu Bukareszt-Warszawa tłoczyć się zaczęli nocą ludzie z walizeczkami, w drugiej klasie usiadł z tobołkiem wynędzniały robociarz i zapytany przez konduktora jaką ma klasę—powiedział—żadną. Do wojska. Z żoną nie zdążył się pożegnać. Ma być już, zaraz, w pułku. Jechać, byle prędzej.

Wtedy wszystko stało się jasne. Lwowiacy śpiewali piosenkę z refrenem " tylko we Lwowi "—okazało się, że wszyscy trzej mają na imię Zygmunt, więc dowcipkowali—co to za wojna, trzech Zygmuntów na jednego Adolfa. I była wojna.

Warszawa szykowała się nagwałt. OPL szalało. A to schrony, groby gotowe, a to okopy na skwerach, maski, apteczki, zapory, pobijemy Hitlera jak nic. Biega to wszystko nieprzytomne, mobilizacja, afisz zredagowany niewiadomo jak, telefony i pytania—biorą nas czy nic właściwie, dziesięć razy się czyta, idzie się do RKU czy PKU—tam tysiące mężczyzn, każdy chce do wojska, tłok i bałagan, aż dopiero sierżant wychodzi groźny i wrzeszczy—kategerje C, D, E—do domu—odmaszerować.

Więc do domu, tam czarny papier na okna, świece, cukier, apteczki. Dzieją się zresztą rzeczy ważniejsze. Już jest OPL

prawdziwe, ciemno się robi, po nocy trzeba sterczeć przed domem z zielono-żółtą opaską, słuchać radia, tłumaczyć sobie i innym, że się Hitler nie odważy, a jakby co—to mamy najlepszą armię na świecie. W dzień kopać rowy lotnicze. Idą szeregami przez ulice stare reżysery i aktory. Łopaty w ręku, gdzie kopiemy ? Szpital świętego Łazarza. Weneryczni. Ktoś krzyczy, dobre miejsce—filmowcy i kurwy. Nie pij wody z tego kranu, nie siadaj na tej ławce, dostaniesz syfa. Wytworny Brodniewicz i gruby Waszyński głównie kopią—na siedzący na ławkach. Na dłoniach niezwyczajnych wysiłku robią się najpierw pęcherze, potem krwawe dziury, przychodzą kopacze prawdziwi, śmigają łopaty, ziemia leci—kopiemy grób dla Hitlera. Potem śliczne panienki roznoszą wodę z miętą i lód do chłodzenia pokrwawionych rąk. Rów gotów. Czy był ochroną dla obrońców Warszawy, czy stał się ich cmentarzem ? Przy kopaniu było bardzo gorąco.

Aż przyszedł ten wieczór ostatni, nocą bardzo długo przed domem, tłumaczy pan z Ubezpieczalni, że wojny nie będzie, jakie to 16 punktów Hitler ogłasza i że się nas boi Lutek jeszcze wczoraj spotkał swego amerykańskiego dziennikarza, który powiada—o-key, rozmawiałem z Londynem, nastrój świetny, będzie Monachium ale dla Hitlera. Więc poco te nocne ciemności ? Dyżur się kończy o 2-ej, trzeba spać, śpi się tak mocno, że o pół do szóstej kołatania do drzwi nie słychać. Wreszcie Zosia się budzi, trzeba wstawać—jest alarm. Jak OPL to i alarm, widocznie chcą nastraszyć. Zbiegam na dół, cisza, posterunki, warczą samoloty, pewnie nasze. Nagle Zosia otwiera okno—dzwoniła Polewska, że Katowice zbombardowane. Bujda, defetyzm. Zwymyślaliliśmy Polewską w telefon, że sieje panikę. Alarm się kończy. Ale coś w powietrzu wisi, ludzie szepczą, nie wiedzą co jest. O pół do siódmej drugi alarm, nie dobrze. Przybiega zdyszany rudzielec z Komendy OPL —panowie, alarm prawdziwy, niemieckie samoloty. Detonacje, pociski. Nerwy bierze się na sznurek, jest wojna. Nareszcie powiada pan Raabe z pod 6go. Nareszcie, powinszujmy sobie. To śmierć Hitlera. Francja i Anglja ruszyły już napewno. My jesteśmy w Gdańsku, niech żyje Polska ! !

Teraz trzeba siedzieć w domu, jest alarm po alarmie, radio gada idiotyczne rzeczy—Hallo, Hallo, uwaga, uwaga, przeszedł, LO-KU-36. W samym środku audycji. I coraz częściej.

Przeszedł, nadchodzi, wypatrywać, swobodnie. Jakieś szyfry denerwujące.

Pcha się ludzi do schronów, bogatsi, samochodowi, kamienicznicy dawno już załadowali walizy i pod Otwock. Wreszcie pokazują się już nad nami warczące owady, trzy, pięć, dzięsięć. Brzęczy to i gada rytmicznie, płyta radiowa—" alarm dla miasta

Warszawy" aż zachrypła. Leci trójka nad nami, niesposób—gapiów do bram zagnać, pokazują palcami, krzyczą, biją brawa, nasza artyleria wali, obłoczki pękają koło owadów, wszystkie cholera nie trafiają. A raz po raz świszcze bomba, ziemia drży. Bombardują lotnisko, Mokotów, Wolę. A jeszcze ludzie nie wierzą, że wojna. Węglarze węgiel przywieźli, sypią do piwnic, nie chcą przerwać ani iść do schronów, jaka tam wojna, wojnę i Hitlera mamy w d . . . . powiadają.

Potem alarm po alarmie, wiadomości walą wspaniałe, podobno jesteśmy w Gdańsku, podobno Anglja zbombardowała Hamburg podobno, w Niemczech rozruchy. Tylko tyle, że wiadomości te przypisuje się naogół agencji I.P.P. Jedna Pani Powiedziała. Jak jest naprawdę—niewiadomo.

Dwie rzeczy niepokojące—słońce i brak konkretnych wieści z Zachodu. Niech deszcz spadnie, tanki utkną, samolot nie poleci. Ale dlaczego Anglia nie ruszyła oficjalnie ? Co robią Francuzi ? Zapał ponosi nas wszystkich, bez Francuzów damy sobie radę. Jesteśmy nareszcie obrońcami honoru Europy. Oparliśmy się. Za Czechów, za Austriaków, za Słowaków i Litwinów. Na nas potknie się skurwysyn Hitler. Tymczasem pokazuje co umie. Na Bema, na Kole w piwnicach zginęły setki ludzi. Otwock zbombardowany. Małe pokrwawione nóżki żydowskich dzieci znajdowano w parku, pod drzewami. Natłukł bombami dzieciaków aż się zatwardziałe oenerowskie serca wzruszyły. Trafił w willę ambasadora. A czemu go nie zabił—ryczy Franek—nie utłukł, żeby Zachód zrozumiał.

Korecki jest sceptyczny. Wojna może potrwać 10 lat. My mamy armię jak mur, Hitler ma siłę. Front nie jest dobry, trzeba będzie może Warszawę oddać. Zniszczymy dla pewności nasze antyhitlerowskie scenariusze a jakby co, to on już zabierze i filmy z Falangi. Gdzieby tu żonę wysłać ? Francja z Anglją nie ruszają, boją się komunizmu. Wreszcie Czechów zdradziły, może i nas zdradzą. Trzeba czekać. Gdzie dwu się bije tam trzeci zwycięża. Uważajmy na Stalina. Dlaczego rządu nie zmieniają ? Witosa powołać. Wszyscy są dziś za Bekiem i za Rydzem ale naprawdę kto rządzi Polską ? Kamarylla idiotów, pieczeniarzy, oficerków. Nie dobrze. Całe szczęście, że armię mamy. Wszystko dla armii.

A tu nagle Anglia wypowiada wojnę, Francja wypowiada wojnę, grają God save the King, stare znajome tony, szlachetne i bliskie (ale starsi powiadają że to przecież poprostu Boże caria chrani)—potem Marsylianka, najczystsza pieśń świata, łzy w oczach, radość ! Wojna światowa o wolność, równość i braterstwo. Wiosna ludów. Jest okazja do picia wódki. Teraz już wiadomo, że wygramy.

Niemcy są podobno w Częstochowie, ale to szczeniak, mówią

że Królewiec zajęty, front się szykuje nad Wartą i Wisłą—bomby niech sobie lecą, najlepiej na ziemi się pod drzewami położyć i czekać, gazów niema, nasi też Berlin kropią. Wojna na całego.

Właściwie wszystko było w porządku, sklepy otwarte, niczego nie brak, tylko ten alarm po alarmie. Idziesz przez miasto—syreny, dzwonki, samoloty ,loppiarz ciągnie za rękaw do bramy—tłoczno tam i gwarno, kumoszki plotkują o cenach na rynku, dzieci wrzeszczą z uciechy, że nasz samolot goni Niemca. Stoi się godzinę, nogi mdleją, uszy puchną bo i bomby lecą i zebrani w bramie rajcują głośniej od bomb. Nagle bomba upada gdzieś blisko, posypały sie szyby, dom się zakołysał, gromada rzuca się na ulicę, lecą oglądać, bezskutecznie ciska się pan od OPL, ciekawych nikt nie zatrzyma—ktoś zobaczył dym i ogień, ktoś twierdzi że widział jak samolot spada, biegną wszyscy ulicami a gdzieś niedaleko trajkocze, szczeka karabin maszynowy.

Potem odwołanie alarmu, idą tłumy, jadą tramwaje, tłok, dookoła w wylotach ulic widać dymy, pędzą strażacy, czerwony krzyż, ulicą idą w zielonych kombinezonach sanitariusze—chwila ciszy—nosze—co na noszach—jakaś krwawa miazga—podobno dziecko.

Potem w Alejach Ujazdowskich widać od Wilczej jakieś dymy, trzy panie biegną z chustkami przy nosie, wołają gaz, gaz, wszyscy lecą w różne strony, ten i ów nakłada maskę, jaki gaz, powiada pan w meloniku, wiatr i tak jest w przeciwną stronę. Więc nic nie wiadomo, znowu ciągną do schronu ale na chwilę tylko, bo alarm fałszywy.

Potem wieczorem jedziemy za miasto samochodem do rodziców. Warszawa pełna ludzi, trochę podniecona, brudna, Praga bardziej niż zawsze pachnie Rosją, tyle furmanek, policji. Krzyk na Radzymińskiej że drogi niema—ale że samochód wojskowy, Franek się wykłóca, puszczają. Droga rozbita. W jezdni dziura pełna wody, leżą brukowce dookoła, trzeba jechać pomału. Sterczy 5-6 domów jakby wypaproszonych. Bez dachu, bez szyb, mury zarysowane, w środku plątanina belek i gratów, aż do dna wszystko spieprzone—były bomby.

2. POCZĄTEK WĘDRÓWKI.

Na wsi u rodziców błoga cisza, jesień piękna, alarmów niema, tyle, że ciemno i psy wyją. Słychać zdala bomby (a może to artyleria)—samolot warczy, Rex zaraz wyć zaczyna. Odpowiadają mu psy z całej Sosnówki. Ptaki też jak głupie latają gromadami, trzymają się ziemi choć pogoda i ciepło, pióra nastroszone.

Śpi się smacznie, wiadomo tylko że o 6-ej rano obudzą samoloty. Radio zagada z dziesięciu głośników naraz—Hallo, hallo, uwaga, uwaga. Dzieciaki liczą głośno samoloty—to

niemieckie tu trzy, tam trzy, tu jeszcze, a tam dzięsiąty. Ale zagrały nagle karabiny maszynowe gdzieś blisko, nasz leci, myśliwiec. Przed nim bombowiec. Myśliwiec rozpędza się kołuje, trzyma Niemca w szachu. Niemiec zatacza koła i łuki, trzeszczą maszynowe kule na peronie stacyjnym, wylegli z wagonów wszyscy podróżni, głowy zadzierają, krzyczą i wiwatują. Ale oto wrzask wielki—myśliwiec zbliżył się do Niemca, jak piesek goniący wielką sukę, już jest tuż pod ogonem bombowca—buchnął ogień—chwila ciszy i nadludzkiego niepokoju, z ognia wyłania się myśliwiec cały i przy radosnym wrzasku leci dalej a Niemiec wielkim korkociągiem w pióropuszu dymu wali na ziemię. Rzucają się dzieciaki i chłopcy na rowerach w stronę gdzie Niemiec spadł, skąd dym i ogień bucha. Wieczorem łobuzy z Wołomina sprzedawały po 50 groszy kawałki blachy z niemieckiego samolotu—na szczęście.

Działo się to tego samego dnia, kiedy Franek zrobił taki niepotrzebny alarm. Zosia miała być w biurze, ja chciałem w mieście informować się co z moją pracą i przydziałem wojskowym. Więc rano na pociąg (zatłoczone podmiejskie chodziły od czasu do czasu, choć bez rozkładu). Idziemy na stację. Matka wybiega za nami, poprzez glinianki słychać, że krzyczy żebyśmy wrócili. Wracamy. Stoi koło niej Franek, oczy mętne, w najwyższym stopniu wzburzony. " Dokąd idziecie " ?—woła zdławionym głosem. " Na stację, do Warszawy" " Nie wolno jechać do Warszawy. Mosty wysadzone, Warszawa będzie oddana lada godzina." Zupełnieśmy zdębieli. Ależ Niemcy byli wczoraj koło Piotrkowa. Piąty dzień wojny. " Chodźcie ze mną, są dwa samochody, jedziemy wszyscy do Hajnówki, na Białowieżę. Matka żegna się aż z przerażenia, nie, ona nigdzie nie pojedzie, jak umierać, to tu, na swojem, jest w piwnicy dosyć węgla i kartoli, jest mąka i cukier. Biegniemy do willi Szelągów, tam jak się okazuje cała famuła Franka jest na miejscu. Grzybowski, Franka szwagier, przywiózł rozhisteryzowaną żonę i płaczące dziecko, pieska, kota, stos tobołów. Stary Teodor chodzi po willi z walizeczką pełną forsy, brzęczą zaszyte w marynarce złote dolary. Dziunia która z Jędrkiem już od paru dni jest tutaj, w pośpiechu, ale zimna i opanowana z dzięsięciu waliz szykuje jedną. Grzybowski stary żołnierz i oficer, płacze że jest dezerterem, że się zastrzeli, że musi wracać, tysiąc razy całuje płaczącą żonę i dziecko. Ktoś szepcze na boku—załamał się Grzybowski, wczoraj był w PZL podczas bombardowania, nosił trupy przyjaciół. Pytam się Grzybowskiego—a co z PZL ? Niema PZL—powiada, bomby wszystko zburzyły—ludzie zabici, był szpieg, dawał Niemcom radiowe wskazówki. Kiedy bomba zwaliła dom, wybiegł na podwórze ze słuchawkami. Odkryto

goniometryczną stację. Wisi skurczybyk ale warsztatów lotniczych niema.

Zosia patrzy na to wszystko wzrokiem dziwnym, spokojna, szuka jakiejś racji—czuje, że nie chce jechać, zostawiać starych rodziców. Zgadały się po chwili z panią Szelągową i wytoczyły ostre argumenty przeciw defetyzmowi. Że wstyd, że mężczyźni zlękli się bomb, że był telefon z Warszawy i wszystko tam w porządku, nawet nalotów niema, że trzeba trwać na posterunku, może się dowództwo ewakuuje ale my nie powinniśmy. Wstydliwie trochę krąży w tem wszystkiem dostojny i niby najważniejszy generał w stanie spoczynku K. On właściwie tu rządzi, jest zwierzchnikiem Franka, spokojnie powiada, spokojnie. Zabrał ze sobą walizy pełne mundurów, orderów, cywilnych ubrań, kufry z wieszakami.

Franek się tłomaczy, że spotkał w nocy oficera znajomego, dał mu benzyny i za tę przysługę dostał od niego pod słowem honoru wiadomość, że rząd wyjeżdża, że o 5-ej rano mosty będą wysadzone, dlatego tak się śpieszyli.

Trochę się uspakajamy, trzeba wyjazd odłożyć, pojedziemy do Warszawy powiada Zosia, trzeba choć parę cennych przedmiotów z mieszkania zabrać.

Franek postanawia jechać do miasta, zabiera nas i majora Szeląga, który właśnie po grypie wstał, czegoś się dowiemy. Grzybowski też zabiera spowrotem służącą i kota, żonę z dzieckiem zostawia, pod Warszawą bezpieczniej. Jedziemy. W miasteczkach żydki stoją grupkami, szepczą. Sklepy zamknięte. Tu i ówdzie tabory wojskowe. Pusto. Pierwszy raz rozróżniamy teraz, że z wojną nie całkiem dobrze.

Przyjeżdzamy do Warszawy, spokój, mosty całe, ruch na szosach nieznaczny. Są gazety i wszystko, nie widać żadnej ewakuacji. Aż do obiadu spokój bo tylko jeden nalot i to nieudany. Tylko, że Zosia telefonuje z biura—wypłacają 3 miesięczną pensję, nikt nie pracuje, rozpuszczają do domu. Dyrekcja wyjeżdza robić nową stację radiową na Kresach. Co robimy? Coż mamy robić, pojedziemy wieczorem z Frankiem do rodziców, będziemy czekać. Zabierzemy trochę cenniejszych rzeczy. Więc dzieli się wszystko, trochę żywności tu, trochę ze sobą. Że niby ja będę raz poraz wracać do miasta i mogę być odcięty. Klucz zostawimy Władkowi.

Mnie w mojej wytwórni obiecują robotę frontową lada dzień, senator biega zaaferowany, będzie nominacja jego na szefa filmu w ministertwie propagandy. Siedzimy w pustym biurze, rozmowy o tem, że ta kamienica dobra, bo 6 pięter, do parteru bomba nie dojdzie. Starszy buchalter ma długą przemowę jak to wojsko ślicznie jest zorganizowane, że jeden sklepikarz poszedł, to już benzynę na lotnisku wydają, że oficerowie rezerwy siedzą w Łazienkach i mają takie żarcie, aż

żonom chcieli zanosić na wzór, że wódkę piją, śpiewają, że nastrój cudny. Niemcy głodni, tanki niemieckie szmelc, tryumf będzie bardzo prędko.

Wrócił zmrok, ciemno w mieście, jedziemy z Frankiem spowrotem na wieś wioząc futro Zosi i dwie walizki najkonieczniejszych gratów. W pośpiechu łapię ze sobą do portfela jakieś fotografje. Jeszcze mi majaczy na wierzchu papierów antyhitlerowski scenarjusz Światpolu ale zapominam go zniszczyć. Będę zresztą w Warszawie jutro, pojutrze.

Teraz siedzimy 24 godziny w domu, matka smaży befsztyki, daje wódkę-krupnik, słuchamy radia. Płk. Umiastowski wzywa—żołnierze strzelajcie powoli. Daje dyspozycje, żeby przy cofaniu się odchodzili z policją mężczyźni w wieku 17-50 lat. Więc cofamy się. Komunikaty sztabu generalnego nic nie mówią. " Ustępujemy w zażartym boju "—To wszystko. Gdzie są Francuzi, gdzie są Anglicy ? Podobno samoloty angielskie w drodze. Kiedy spadnie deszcz ?

Z dala słychać wciąż detonacje. Wyszków podobno spalony. Włóczą się bezdomni z wozami.

Szeląg został komendantem Straży Obywatelskiej. Werbuje. Kazał mi być łącznikiem z Warszawą. Mam jechać jutro. Dobrze, żeśmy nie pojechali do Hajnówki, powiada Zosia. Szeląg rysuje na mapach linie frontu i opór na Wiśle, Pilicy, Narwi. Wiadomo było, że się cofniemy. To manewr.

Potem znów Warszawa, nic nowego, dużo załadowanych ciężarówek się wlecze, bomby spadły przy moście Kierbedzia. Żydzi złapali na Nalewkach niemieckiego lotnika, nie chcą go wydać, mało w kawałki nie rozszarpią. Dużo osób wyjeżdza. Ale pan Raabe z pod 6-go powiada—zostaję, niech Niemcy przychodzą, damy sobie z nimi radę.

Tam samo mówi ojciec. Jak w piętnastym roku przyszedł giermaniec to go w osiemnastym chłopaki gołemi rękami rozbrajali. Nam nie nowina.

Ale w sercu—czy jak się to mówi—robi się coraz ciężej. Siła uderzenia Hitlera większa niż spodziewano się. Gdzie nasze " Zosie niebrzydkie " z Grudziądza—wzdycha Jaszcz, który w czasie niedawnego objazdu Pomorza takie spustoszenie szerzył na tamtejszych dancingach.

Pamiętam dobrze jasne wody Kaszubskich jezior, purpurę słońca zachodzącego na morzu w Jastrzębiej Górze, zielone pagórki czystego Zaolzia. Dym, krew, pożoga, zniszczenie idą tamtędy. Dojdą tu lada chwila. Nikną własne sprawy przeżyte w ciągu ostatnich paru miesięcy w tragicznym rozdźwięku i w ciężkiej atmosferze niepewności. Cała Polska—piękna, tragiczna, bijąca stare żydówki cegłami po głowie a jednocześnie budująca najwznioślejsze pomniki piękna i bohaterstwa, stoi

teraz we krwi i w trudzie—zdecydowana na wszystko, zbratana i jednolita. Żyd, endek, socjalista, hallerczyk—wszyscy czekamy na wodza—bo:

nikt nam nie zrobi nic
nikt nam nie weźmie nic
bo nas prowadzi Śmigły
—Śmigły, Śmigły Rydz.

Śpiewają maszerując żołnierze. Wtedy my starzy pacyfiści-wrogowie wojny—rzucamy kwiaty, serce w nas skacze, chcemy maszerować, wstyd nam, że nie mamy munduru.

Mija dzień czy dwa w oczekiwaniu na zdarzenia i oto w piątek rano 9-go znowu przyjeżdza Franek tym razem z alarmem nie tak już histerycznym ale bardziej konkretnym. Tanki niemieckie docierają do przedmieść Warszawy. Zarządzono ewakuację mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Szeląg potwierdza to, burmistrz dał mu takie dyspozycje. Znowu jest nasz generał i bardzo autoratywnie oświadcza, że kobiety winny zostać, a mężczyźni jechać. Pytanie czy się pomieścimy. Przypomina mi się jak w 1915 i w 1920 ganiano mnie po świecie jako dzieciaka.

Auto upchane już dobrze, Zosia oświadcza że zostaje z rodzicami, mnie na siłę pchają do pełnego już wozu. Jak przez mgłę rozumiem, że nadeszło to, co może być najgroźniejsze; rozstanie spowodowane wojną. Zosia nie chce jechać—zostaje z rodzicami. Przeczuwałem to zawsze, za to Zosia miała zawsze nieomylne przeczucia—dotąd jej nie zawiodły. Wojny nie będzie—mówiła—teraz jest wojna i teraz już wiemy, to przed czem tyle razy usiłowaliśmy uciekać, że ta wojna to kataklizm, koniec, obłąd, śmierć.

W obliczu takiej chwili rozstanie przeżyte staje się czemś operetkowem, ojciec i matka płaczą, Zosi łzy kręcą się w oczach, całuję ją i mówię jakoś niezręcznie "Niech żyje Polska." Ścieka coś w gardle ale łez niema, ileż razy było ciężej z błahszych powodów. Samochód wypchany po brzegi, 6 osób, bańki z benzyną, kosze i kufry, Jędrka pchają mi na kolana. Nie mogę się nawet obejrzeć, gdy odjeżdzamy, wiem że jakaś karta zamyka się w mem życiu, czuję pewność, że coś się kończy ostatecznie, raczej ulga niż rozpacz pojawia się w sercu, jak po wyrwaniu chorego zęba.

Jadę kierunek—Lublin. Tam jest siostra, tam matka. Matka nie przeżyje wojny. Wiem to napewno. Chcę ją jeszcze zobaczyć.

Tłumaczą mi w samochodzie, że tak musi być, Szeląg też zostawił żonę, generał również, Zosi będzie lepiej bo z rodzicami i żywność mają a ja cobym robił? Do niemieckiego obozu? Zresztą został Beniek, zaopiekuje się wszystkimi.

Franek tylko zabrał Dziunię i Jędrka, niby że właściciel auta. Rozumiem to wszystko ale nie jest nic lżej—wiem że dotąd przeżywałem wszystko razem z Zosią, dziś nie będzie już bliskiego człowieka. Ileż razy mówiłem jej już w czasie wojny—patrz jaki teatr i cieszyliśmy się widowiskowymi walorami wielkiego dramatu—teraz już sam idę przed siebie.

Nie czas o tem myśleć bo oto za miastem już widać sznur pieszych mężczyzn z tobołeczkami, policja na rowerach, wozy pełne gratów, wszystko to idzie gdzieś przed siebie, a tymczasem raz poraz trajkoczą kule, trzeba kłaść się w lesie pod drzewami, Jędrek bardzo przejęty ale odważny, leży w rowie pętak poczciwy, byłem w jego wieku kiedy w 15 roku szedłem gnany przez kozaków pod kulami trzymając się spódnicy matczynej. Historja się powtarza.

LUBLIN I BOMBY

Ale dopiero wyjazd na główną szosę Warszawa-Lublin wprowadza nas w sam środek jakiegoś makabrycznego exodusu mężczyzn. Dziesiątki tysięcy maszerujących ludzi, harcerzy, tramwajarzy, kolejarzy ale nadewszystko policja i straż ogniowa dziwnie pośpiesznie się ewakuujące. Wreszcie jakieś niekończące sie kolumny samochodów, taksówek, prywatnych wozów, ciężarówek wiozących tłumy urzędników gazowni, elektrowni, policjantów, woźnych—dziesiątki miejskich autobusów zachlapanych zieloną farbą, samochodów ubezpieczalni, firm prywatnych, wozów strażackich. Mężczyźni oblepili to wszystko. Tysiące mężczyzn w wieku poborowym—teraz widzimy ile w Polsce jeszcze cywilów. Kobiet prawie nie widać—jeśli nie liczyć prywatnych limuzyn—każdy cofa się z walizeczką lub plecakiem tylko, idzie ta kolumna—bez końca raz po poraz słychać samolot, wszyscy do lasu, do rowów, w krzaki, samochody stają, gra karabin maszynowy, po paru minutach wędrówka narodów trwa dalej. Patrzą na to wszystko zatrwożeni tubylcy, żydki z małych miasteczek, naogół nie ruszający się z miejsc—przed gminami i komendami policji stoją chłopskie furmanki, na które ludzie ładują zawzięcie stosy waliz, akty, maszyny do pisania, toboły.

Skręcamy w drogę boczną, aby trochę odsunąć się od tej pielgrzymki i oto w małym żydowskim miasteczku zmieniając oponę—natykamy się na wystraszonego pana w cywilu, w towarzystwie oficerów policji. Zwraca się do nas—bo widzi mundury—z zapytaniem czy ma wracać czy uciekać—jest starostą z pobliskiego miasta. Pytał sie wojewody o radę—wojewoda powiedział mu—panie, pan będzie lepiej ode mnie wiedział kiedy wyjeżdzać. Wszyscy wieją, więc on też. Stoi teraz wystraszony na rynku, ponieważ raz poraz lecą samoloty, więc się kryje

na poczcie. On i policja i wszyscy. Bo gdzie są właściwie Niemcy ? Nikt nie wie, telefonów niema, radio nic nie podaje, niewiadomo. Zostawiamy strwożonego starostę i jazda dalej. Żeby zdążyć na wieczór do Lublina. Czy nam starczy benzyny ? Bańka w samochodzie już pusta, bak prawie się kończy. Nasz generał kombinuje. Stoją lotnicy z benzyną, więc do nich z papierosikiem, z rozmową—mundur robi swoje—dostajemy 20 litrów.

Pędzimy dalej aby tylko wyprzedzić falangę ponurego tłumu śpieszącego na południe. Obserwujemy sceny przedziwne ; oto samochody porzucone w rowie, potrzaskane, postrzelane kulami. Oto nowiuśkie " niedotarte " maszyny, które właściciel porzucił w pół drogi—zostawiając nawer parę walizek—byle iść dalej—bo benzyny zbrakło i dostać się nie udało. Gdzieś raz poraz słychać detonacje, lecą samoloty. W lasach stoją całe sznury samochodów i ciężarówek zamaskowane gałęźmi. Tłumy mężczyzn biwakują, jedzą kanapki i piją piwo, moczą nogi w rzece. Często inteligent wali w marynarce z tobołkiem na plecach, buty w ręku, boso, tak lżej. Trwa to 6 czy 8 godzin, nogi drętwieją w ciasnym samochodzie, opary benzyny z baniek duszą, Franek wciąż musi uważać, bohatersko brawurowo wymija sznury samochodów aż wreszcie zajeżdżamy w noc—Lublin blisko—ale wlec się trzeba krok za krokiem. Świateł palić nie wolno—makabrycznie burczą motory, głosy ludzkie, wymyślania, czasem światło błyśnie, jakieś piekielne sylwety odsłania. Pochód trwa. Noga za nogą. Nagle jakiś dyszel wali nam wprost w auto—niemal szyby nie wybił, Franek hamuje w porę, chłop rozpuszcza język żeśmy mu konia zabili, wrzask i ryk, oglądanie auta i konia przy latarce, nic się nie stało, koń trochę potłuczony, auto poobijane—wyskakuje nasz generał maluśki ale ważny, złotówkami chłopka uspakaja.

Docieramy wreszcie do Lublina, tam piekło prawdziwe ryczących tysięcy maszyn, policji wrzeszczącej żeby świateł nie palić, zatorów fantastycznych tłumów jakich to miasto nigdy nie widziało. Krok za krokiem wśród przekleństw i ciemności brnie się przez miasto, wreszcie dom, którego szukamy, siostra, jej dzieci, jacyś uciekinierzy już u niej są—robimy dobre miny, radość, że rodzina razem, okazuje się jednak, że matka daleko—60 km.stąd. Następuje jakieś spanie pokotem po 6 osób w pokoju, na ziemi, jak się da. Następnego ranka o godzinie 6-ej Niemcy budzą nas swoim zwyczajem—nalotem, nie wstajemy jednak, zbyt dobrze to znamy, wiemy jaki jest rozkład zajęć niemieckich lotników. Rano nalot o 6-ej—wywiadowczy, drugi nalot będzie koło 10-ej wywiadowczy ale i bomby mogą być, trzeci najgroźniejszy o 5-ej popołudniu. Dotąd zawsze się to sprawdzało, więc i w nocy strachu niema i rano nalot—głupstwo.

Ale wystarczy wyjść zrana na Lublin żeby zobaczyć co się właściwie z tym miastem stało; spuchło, spuchło nad miarę. Ma chyba z pół miljona ludności. Wszytko tu jest, rząd, złoto, banki, policja z Katowic i poczta z Kielc. Śpią ludzie na ulicy i w bramach, mentlik i tłok, samochodów więcej niż miejsca na jezdni a sklepy zapchane masłem, jajkami, chlebem. Wtedy to po raz pierwszy padły z ust p. Babickiego z Ministerstwa Opieki—gorzkie słowa—no tak, masło mamy a armaty mają oni. Wolę głodować jak Niemcy, a zwyciężać. Nie rozumieliśmy tego jeszcze. Odwrót jest chwilowy, front na Narwi i Wiśle murowany—zatrzymujemy się tutaj. Są z Warszawy dobre wiadomości—wprawdzie Warszawa I nie gra ale dyrektor radia pojechał do Warszawy, żeby stację naprawić (wiezie nowe lampy)—w Lublinie tworzy się legjon ochotniczy (podobno komendant uciekł nazajutrz).

No a iść po Krakowskiem Przedmieściu byle się przez tłumy przepchać—całą Warszawę można spotkać—aktorów, kolegów dziennikarzy. Oto leci ulicą Władek, zobaczył mnie, podskakuje, oburącz ręce ściska, taki serdeczny. Pyta o Zosię. On sam z samochodami propagandowymi jedzie "na front." Zapisał adres, poleciał, tyle go widziałem. W tym zgiełku różnych rzeczy człowiek może się dowiedzieć—że Jaraczówna pięć dni w pociągu pod kulami jechała aż porodziła dziecko, a że na froncie dobrze, angielskich samolotów leci 1500, nasi zbombardowali Berlin, Głos Lubelski wydaje fantastyczne wiadomości w dodatkach nadzwyczajnych drukowanych na wiśniowym i cytrynowym papierze. Wszystkiego wbród, tylko spać niema gdzie i zapałek braknie. Spotykamy też mnóstwo moich kolegów. Gantkowski twierdzi zuchwale, że jutro już stąd jedziemy na zdjęcia. Jest Lipiński z aparatem, samochodem i żoną, niby mieli dalej jechać ale poprawiło się, coś tu zorganizujemy napewno. Bronek powiada, aktorzy niech się zgłaszają do hotelu Europejskiego, robimy zespoły dla teatrów i filmy będziemy kręcić.

Na ulicy spotykam senatora. Jest niespodziewanie inny niż wszyscy. "Czy mogę się przydać?"—pytam—"Oczywiście. Ale czy ma pan samochód?"—"Jestem ze szwagrem, jadę jego samochodem."—"Więc niech się pan trzyma samochodu—niech pan pilnuje miejsca—spotkamy się Lwów, Tarnopol, Stanisławów. . . ." Zostałem zdumiony, on poleciał dalej, jedyna poinformowana osoba, delegat rządu na Lublin.

Dzień mija w chaosie, alarmów się nie robi, widocznie nie warto, choć ciągle samoloty warczą, przeciwlotnicza wali, czasem i bomby świszczą, ale za miastem, przy stacji. Przyjemnie tak chodzić po mieście pod samolotami, lepiej niż sterczeć w zaduchu w bramie lub pod domem w piwnicy.

Ktoby zresztą ukrył te setki tysięcy ? Łazi to po mieście jak robactwo. Ten przyszedł piechotą z Warszawy, ten płacze, że żona w Łodzi, tamtemu się śpieszy do Lwowa, bo ma małe dzieci. Każdy kombinuje benzynę, stara się o samochód. My się nie wybieramy dalej. Chyba że ja te 60 km.—do matki. Samochód tam nie przejdzie, o konie trudno, jak się coś ustali pójdę piechotą. Wszyscy czekamy co się właściwie stanie. Zaczyna się dziać wszystko wieczorem.

Pan Babicki (ten co to o tych armatach i maśle)—jest usposobiony krytycznie i zaczyna mówić głośno to, co wszyscy myślimy ale czego przez cierpliwość wypowiedzieć nie śmiemy. Że cała ta ewakuacja jest skandalem i hańbą. Że ucieka policja i straż ogniowa, uciekają urzędy opieki społecznej, z miejsc które tej opieki dopiero potrzebują. Że nie mamy samolotów ani armat. Że okazało się, jakie kruche było u nas wszystko. Tylko wierzymy przecież, że nastąpi opamiętanie, cud nad Wisłą, ja wiem, coś. Z Polakami tak zawsze—jak klęska to jakąś znajdują nadludzką siłę i odradzają się w zwycięstwie.

Kostek Biernacki zrobi porządek powiada nasz generał. Śmigły to wielki wódz, powiada Szeląg, on to robi planowo. Wojsko się bije, cywile wieją, zrobimy z wojewodami porządek.

Tymczasem kręcimy przy radio, najbardziej drażniące jest to, że odkąd Warszawa I umilkła, tak trudno złapać polskie stacje. Z urywków niemieckiego komunikatu rozumiemy, że tanki zbliżają się do Warszawy i że w Krakowie wystawiono wartę honorową przy grobie Marszałka. Przez tyle lat na siłę nas uczono, że to największy człowiek jakiego Polska wydała, dziś mamy już pewne wątpliwości, przypomina nam się tragiczny rozlew krwi w 1926, okrutne znęcanie się nad opozycją w Brześciu, szlachetczyzna tego dumnego i zarozumiałego Litwina, który tak długo był jedynym symbolem Polski. Nie mówi się tego głośno—bo i cóż, za to wszyscy oburzają się na hańbę jaką jest ta warta honorowa niemiecka przy grobie pierwszego marszałka—jak czasem mówiono stworzyciela Polski. Ale oto złapaliśmy Warszawę I ! ! Gra muzykę Szopena, marsz żałobny. Niepokoimy się. Brzmi to jakoś nieprawdziwie. Ale oto i sygnał Warszawy—pierwsze takty znanej dobrze Brygady. Wpada nagle głos obcy i dziwny, głos nie polski, choć niby poprawnie po polsku mówiący,—Do Wszystkich ! Do wszystkich ! Tu rozgłośnia Warszawa Jeden. Wojska niemieckie wkroczyły do Warszawy. Rozgłośnia Warszawa Jeden znajduje się w ręku niemieckim. Do wszystkich, do wszystkich ! !

Głos ten pada w mroczną ciszę jadalnego pokoju, siecze jak bicz, kobiety płaczą. Mężczyźni denerwują się i bez wiary uspakajają panie. To kłamstwo. Szantaż niemiecki. Ja pró-

buję realniej—że może zajęli Raszyn ale nie Warszawę, bo Warszawa II nadaje. Szukamy innych stacji—bez skutku. Londyn gra dalej murzyńskie, pełne erotyzmu foxtrotty. Wracamy, znowu polonez Szopena, Etiuda Rewolucyjna. Wreszcie raz jeszcze—Do wszystkich! Do wszystkich! Radzę iść do Rachwałów. Tam nocuje Szeląg, radio jest lepsze, sprawdzimy.

Wtedy gdy po raz drugi obcy głos chlubi się zdobyciem Warszawy z ust płaczących kobiet padają po raz pierwszy gorzkie słowa—zdrada, w tem tkwi napewno zdrada. Po ośmiu dniach wojny oddać Warszawę! Gdzież jest Rydz gdzie armia? Bek sprzedał Polskę.

Ileż prawdy jest w melodramacie. Podczas wojny jaskrawe stają się rzeczy śmieszne, głupie, nieudane—nie tracąc przy tym całej wagi dramatu. Ileż razy to " Bek sprzedał Polskę " wydawało się głupiem ględzeniem kucharek i korporantów. Dziś te same słowa—choć fałszywe—mają swoją rację bytu. Ci ludzie mają prawo tak mówić we łzach.

Jesteśmy u Rachwałów. Ci leżą w łóżku, łapią fale, naprzemian z jazzbandem wrzeszczą z głośnika wojenne komunikaty. To nieprawda, niemożliwe. Dziś się już poprawiło, Niemcy łżą. Wreszcie zagrał Lwów. Odpowiedział Niemcom, zdemaskował, że ukradli Warszawie falę, że nastroili na tą falę Königswusternhausen, że Lwów ma ich gdzieś i odpowiada piosenką lwowskich dzieci. Niby nas to uspokoiło. Na ulicy tłoczą się w ciemnościach jacyś ludzie—chwyta nas za ręce ktoś o głosie smutnym i pyta czy to prawda, słyszał w radio o tej Warszawie, Niemcy podobno wzięli, w domu płaczą, wyszedł się dowiedzieć. Tłumaczymy o falach i o Lwowie, uspokajamy.

W domu nastrój bardzo zły. Nic nie pomagają tłumaczenia. Wszyscy chodzą jak struci. Siostra skarży się—jakaż to straszna broń radio ileż straszniejsza od bomb i kul. Zabija—od środka.

Śpię tej nocy w pokoiku pana Grzywacza na sąsiedniej ulicy na strychu. Pan Grzywacz jest zmobilizowany, pracuje w D.O.K. Nastrój jego udziela mi się. Jest coś niedobrze, powiada, niedobrze w wojsku. Ewakuują nas jutro. Nic nie rozumiem. Nie tak miało być. Zasypiam z ciężkim bagażem wątpliwości w sercu. Przypomina się groźba Hitlera—na Polskę wystarczy 2-3 tygodnie. To dopiero drugi tydzień i już tak? To niemożliwe, aby Hitler miał rację.

Ranek jak zawsze budzi bombami, myślę o tym, że pójdę do matki piechotą, ale wypadki nie pozwalają. Wiadomości są niedobre. Janów spalony, Kurów spalony, wioski i dwory ostrzeliwane z powietrza, jest tyle bezdomnych i rannych, siostra pędzi do swego biura opieki społecznej pełna zapału do pracy—ale wraca po chwili rozgoryczona. Opiekę społeczną rozwiązują, wypłacają 3 miesięczne pensje. Wścieka się pan

Babicki—jakto kiedy tyle ofiar i tyle potrzeb likwidować urząd opieki, ewakuować policję i straż ogniową? Jakaż w tem podłość i występek. Zostawać, będziemy tworzyć, organizować sami, choć bez pieniędzy. Ewakuuje się wszystko, więc i Franek który napróżno szukał po zatłoczonym Lublinie swego ministerstwa oświadcza, że jedziemy do Lwowa. Pamiętam, że mi senator obiecywał we Lwowie robotę więc i ja pojadę chyba. Szeląg też, no i nasz generał. Dziunię Franek zostawia, gdzież ją będzie dalej wiózł, ma tu siostrę, dom, rodzinę na wsi, zapasy są, jakoś da radę.

Ledwieśmy benzynę wyfasowali a tu bomby zaczynają walić lepiej niż kiedykolwiek bo dom się trzęsie, szyby lecą i gwizd po gwiździe bez przerwy. Nastrój niedobry bo z okien widać dymy i pożary tuż blisko a Niemcy jak walą tak walą raz poraz—chyba już kilkadziesiąt bomb spadło, wszystkie blisko i w to zatłoczone śródmieście. Rany boskie, ależ tam musi być piekło. Niby chodzimy po mieszkaniu (że parter)—ale w tym pokoju źle bo Franek trzyma za ręce Dziunię i obejmuje wystraszonego Jędrka, bomby liczy, a sam choć oficer szary jest na twarzy. W drugim pokoju ktoś lamentuje żeśmy bańkę z benzyną do mieszkania wnieśli, więc dawaj ją przez podwórze, ciężką bardzo, ciągnąć—choć bomby nie ustają. Potem w bramie, ciemno i tłoczno, z pięter schodzą trzęsące się staruszki, głośno się modlą za umierających a łzy im ciurkiem po zmiętych twarzach lecą. Potem znów Franek woła, że najlepiej w ogrodzie, ciągnie nas za ręce, kucamy pod drzewem, tłumaczy, że trzeba rowy kopać, rowy jedyna rzecz— albo trafi zgóry to zmiejsca trup—albo z boku i już dobrze—a w piwnicy i w chałupie śmierć pewna od gruzów, znowu stać na ulicy—odłamek trafi jak nic.

Trochę się ucisza, bomb spadło chyba ze 200—ileż tam musiało ludzi napsuć—z paręset najmniej. Dym i ogień idzie nad miastem, Krakowskie Przedmieście się pali.

Kulturträgärzy walą na bezbronne miasto, tłuką uciekinierów, cieszą się zdziczeniem. O Ligo Narodów i wzniosły Wilsonie! Wiedzieliśmy, że nowa wojna będzie taka. Uczeni mówię biologiczna konieczność, marxiści—choroba ustroju, demokraci—podłość faszyzmu, nacjonaliści—germański wandalizm—a my pod kulami i bombami ganiamy bezbronni cywile, żołnierze, którzy nie mogą odszukać oddziałów, łaziki samochodowe, wystraszone bezdomne kobiety—cóż powiemy o tem? Piekło otworzyło się na nowo ku czci Hitlerów, Stalinów, Chamberlinów, Daladierów. Bawią się w historję. A my będziemy w tej zabawie znowu jak zawsze gnojem.

D. C. N.

JERZY KUNCEWICZ

O PEŁNE WYZWOLENIE CZŁOWIEKA

UWAGI WSTĘPNE

Ludzie krety, czy ludzie szczury poprzecinali ląd Europy wielomilowymi rowami. W błocie i deszczach jesieni w skwarze lata, w mrozie zimy, ginąc tysiącami, trwali milionami, długo, długo stojąc, naprzeciw siebie. A za linią okopów życie dni codziennych, przytłumione w radości—lecz spokojne, rozwijało się dalej. To było prawie ćwierć wieku temu.

Błyskawiczne uderzenie, śmierć i ogień pogodnego nieba, warkot motorów lotniczych, niepokój matek, krzyk dzieci, drogi zapchane mrowiem, uchodzącym w popłochu, stalowe kadłuby czołgów, brodzących po polach, zagłada wsi i miast —to dni dzisiejsze.

W obrazach tych, tak dobrze znanych wszystkim, że aż banalnych, mieści się dużo więcej, niżeli treść dwóch wojen. Z wojny poprzedniej, z jej rozstrzygnięć militarnych, ale jeszcze bardziej z braku śmiałych koncepcji myślowych—zrodziła się beznadziejność lat pokoju i zrodziły się zbrodnie dni dzisiejszych. Wojna obecna—to nie tylko zmagania całych narodów, bez wyłączenia dzieci, matek i starców, ale to bardziej jeszcze, niż wojna poprzednia i wszystkie wielkie wojny w historii świata źródło zła lub dobra na przyszłe lata pokoju. W obrazie zmagań dzisiejszych, w ich organizacji, w zaprzęgnięciu do pracy milionów kobiet, starców i nieletnich, w środkach degenerujących najgłębsze wartości moralne, w milionach koni parowych, wciągniętych do służby pomocniczej, w spotęgowanej i rozszerzonej terenowo produkcji rolniczej, oraz w olbrzymim zniszczeniu znajdujemy zasadnicze elementy układu powojennego. Odczytać znaczenie i rolę tych sił, wczuć się w tętno duszy ludzkiej i stworzyć wizję nadchodzącego świata—jest obowiązkiem tych, co sprawniej myślą i serdeczniej czują. Rozpalenie wiary w lepszy ład powojenny to spotęgowanie sił do walki obecnej, a zarazem mobilizowanie kadr bojowników przebudowy powojennej.

Człowiek ma skłonność do automatyzowania nie tylko swych gestów, ale i myśli. " Przyzwyczajenie jest drugą naturą "— mówi przysłowie. Przysłowie to powinno być skorygowane przez opuszczenie słowo " drugą," a wtedy u zdecydowanej większości osobników znajdzie ono pełne potwierdzenie. Skłonność do automatyzmu ma swego sojusznika w pokrewnej mu tendencji już tylko myślowej, w skłonności do uogólniania. Skłonność ta dała nam wiele, ona umożliwiła pojęciowe wiązanie podobnych przedmiotów lub stanów uczuciowych w

jednym zwartym, określającym je " słowie." Skłonność ta dopomogła do przyjęcia pokrewnych organizacyjnych szematów przez różnorodne grupy ludzkie. Wspólność zaś form organizacyjnych pogłębiła wspólnotę ludzkich pragnień. Skłonność do szeregowania i ujednolicania zbliża nas do dni, w których będziemy mieli prawo powiedzieć: " Jestem człowiekiem." Lecz jak każde zjawisko, tak i omówione powyżej posiada nie tylko wartości dodatnie, kryje się w niem szereg wielkich niebezpieczeństw dla naszego rozwoju, a nawet i istnienia. Nie będziemy odlegli od prawdy, jeżeli krew rewolucji przypiszemy automatyzmowi i skłonności do uogólniania. Tego rodzaju konstatacja wydać się może mało usprawiedliwiona, albowiem rewolucja z jej dynamiką jest zaprzeczeniem statyki omawianych skłonności. Będziemy się jednak upierali przy tem twierdzeniu, a to z powodów następujących:

Procesy życiowe, otaczające człowieka, a stanowiące jego naturalne środowisko rozwojowe, zmieniają się stale. Zaskorupiała natura ludzka, lubująca się w świecie przyzwyczajeń i generalizacji, pozostaje ta sama mimo naporu sił zewnętrznych. Dolegliwości życiowe rosną, krzywdy jednostek w konfrontacji z możliwościami świata olbrzymieją, następuje załamanie, padają przeszkody, człowiek się wyzwala, lecz wszystko spływa krwią. Szał rewolucyjny mija, dynamika zawodzi—i znowu życie szuka najwygodniejszego łożyska i znowu wraca do odruchu i szematu.

Istnieją jednak siły ludzkie, które mogą nas uchronić przed stałymi wstrząsami. Istnieją jednostki, obdarzone niegasnącą nigdy dynamiką i wyobraźnią. Istnieje także możliwość stworzenia takich form organizacyjnych współżycia społecznego, przy których te motory naturalne mogą być wyzyskane. Zasadą tych form musi być prawo krytyki i kontroli w stosunku do wszystkich, którzy ponoszą wielką lub mniejszą odpowiedzialność ze względu na wagę wykonywanych funkcji. Ustosunkowanie sił społecznych musi być takie, abyśmy żyli pod ciśnieniem tych, którzy rozsadzają i usuwają obumarłe formy. Taki układ powinien zabezpieczać nas przed krwawymi, a często mało płodnymi wstrząsami rewolucji. Siłą chroniącą, a jakże nieocenianą, jest dar, celowo pobudzany zwany twórczym. Dar ten łącznie z dynamiką i wyobraźnią może się stać gwarancję zdrowia i rozwoju.

Dlatego, aby dalsze rozumowanie należycie uzmysłowić i wykazać błędy w dzisiejszej konstrukcji organizacyjnej, oraz nakreślić perspektywy pożądanych przemian, spróbujemy dać określenie tego, co nazywamy twórczością.

Twórczość—jest to zdolność ludzka, która powołuje do istnienia myśli, formy, lub przedmioty o cechach dotychczas

nieznanych, a lepszych lub przydatniejszych w porównaniu z prawdami, poprzednio uznawanymi ; lub przedmiotami dawniej używanymi. Obecna epoka ma niedzielny podziw dla twórczości, a codzienny szacunek i uznanie dla pracy. Pracą nazywamy wykonywanie przez człowieka, przy pomocy jego siły umysłowej lub mięśniowej, samodzielnie albo z pomocą narzędzi czy maszyn, czynności uznanych przez społeczeństwo lub jednostkę za użyteczne. Praca nie mieści w sobie założenia twórczego, lecz najwyżej reprodukcyjne. W tych warunkach czym jest praca w stosunku do jednostki pracującej ? Czym jest zwłaszcza praca wykonywana w stuleciach mechanizacji i specjalizacji ? Praca ta nie jest niczym innym, zarówno w tak zwanej dziedzinie fizycznej, jak i umysłowej, obejmującej większość nauki, polityki i organizacji, jak tylko pogłębianiem automatyzmu i schematyzowania.

Olbrzymi przemysł z rozrastającą się do apokaliptycznych rozmiarów taśmą mechaniczną, usidlającą nićmi niewidzialnych przymusów i nałogów miliony robotników, pogłębia odruchy myśli, niszcząc świadomość. Samodzielność drobnych warsztatów rolniczych, zamienia się w ustroju komunistycznym w bezosobowe fabryki zboża, wytwórnie warzyw i mięsa. Giną drobne i średnie placówki kupieckie wewnątrz kraju. Handel schematyzuje się i traci związek z poszczególnymi terenami i ich potrzebami. Na miejsce niezależnych jednostek powstają potężne bezimienne organizacje, zatrudniające dziesiątki tysięcy urzędników, rozwijających automatyczną działalność w tysiącach zakładów filijalnych. Giną indywidualne przedsiębiorstwa kupieckie, obliczone na wytwórczość i handel z rynkami zagranicznymi, zastępowane przez monopolistyczne organizacje prywatne lub państwowe.

Państwo, składające się z żywych grup społecznych, pozostających w walce, lub współdziałaniu, zamienia się na potwora biurokratycznego, wiedzącego i wykonywującego wszystko " lepiej " od społeczeństwa. Parlamenty stają się skupiskiem zawodowych polityków, którzy zerwali kontakt prawdziwy bo osobisty z życiem i jego potrzebami. Bezimienne organizacje gospodarcze trustów i karteli zaludniają się automatami, zachowującymi pozory myśli i działania. Wszystko tonie w powodzi papierów i pisaniny, wszystko zamienia się w nieodpowiedzialną, pozbawioną ambicji twórczej masę anonimowych automatów.

Ten ustrój, schlebiający skłonnościom do minimalnego wysiłku, zabija wszelką świadomę reakcję i degeneruje prężność organiczną jednostki. Jednocześnie tenże ustrój przekształca w coraz bardziej fantastycznym tempie środowisko nas otaczające, pogłębia poczucie krzywd i niesprawiedliwości, przygotowując

straszną masakrę odruchu rewolucyjnego. Wojna obecna przyśpiesza procesy rewolucyjne w dwóch kierunkach ; z jednej strony mobilizuje ogromne siły ludzkie i mechaniczne, z drugiej zaś stwarza grunt dla ruchów masowych w skali dotąd nieznanej. Ten układ, jeżeli nie będzie rozwiązany tak, aby nastąpiły kardynalne zmiany organizacyjne i obyczajowe w świecie powojennym, zmiany dające masom zaspokojenie ich potrzeb i wzmocnienie sprawiedliwości, spowoduje wyładowania, w których świetle zblednie jak fajerwerk, krew i ogień obecnej wojny totalnej.

Wszelkie próby odwrócenia lub zatrzymania mechanizacji w produkcji gospodarczej są skazane na niepowodzenie. Większe albo mniejsze grupy w momencie ekstazy religijnej mogą wyrzec się wygód nowoczesnych i komfortu, lecz tego rodzaju odruchy nie będą miały poważniejszego znaczenia. Gandizm jest do pomyślenia tylko wśród tych narodów, które nie zaznały jeszcze pełni wygód życia współczesnego. Gandizm może być także przejawem woli jednostek wysoce kulturalnych w bardzo rozwiniętych społeczeństwach, jednostki te jednak zawsze będą stanowiły o wyjątku, nie o zasadzie. Cnota wyrzeczenia zasługuje na kultywację jako moment kształtujący charakter indywidualny, ale nie jest ona potrzebna, jako objaw nagminny, dla rozwoju społecznego.

Nie da się cofnąć procesu mechanizacji, natomiast można w dziedzinie społeczno-organizacyjnej przeprowadzić te reformy, które przybliżą pracę do twórczości i zachowają świeżość sił psychicznych. O ile w sprawach gospodarczych biegu rzeki nie można odwrócić—to jednak w ogólnym dzisiejszym schemacie życiowym można wprowadzić kapitalne przeobrażenia. Nie należy sądzić, że przeobrażenia te usuną niebezpieczeństwa, grożące naszemu gatunkowi i naszemu rozwojowi, tem niemniej należy ustalić kierunek walki, zgodny z podstawowymi ideałami oraz naturą ludzką. Trafna odpowiedź na niepokojące nas pytania, dzisiaj wobec coraz szerszego wiązania się ze sobą odrębnych ludów i grup w jedną całość, posiadać będzie bez porównania większe znaczenie, niżeli przezwyciężenie kryzysu czasów starożytnych. Nowe rozstrzygnięcia zdecydują, czy pójdziemy po linii rozwoju czy też śmierci. . .

Dziś, tak jak nigdy w historii świata, zagadnienia celu i drogi są ważne i powszechne. Wojna totalna jak żadna inna wojna dotychczas, poruszyła wielkie masy ludzi, zmąciła ich spokój, zmusiła do myślenia. Obszar ziem stratowanych przekroczył kontynent Europy, rozszerzył się na Afrykę, rozległą plamą rozlewa się po mapie Azji, a zniszczenie grozi i pozostałym częściom świata. Wiele najodleglejszych lądów, jak Australia, Nowa Zelandia, czy chmurami spowita Islandia, odczuwają

nadciagającą grozę wstrząsów. Potop wojenny zasłania horyzont i zmusza do prac doraźnych. Ratowanie zagrożonych istnień narodowych, kucie i dostarczanie oręża, chór głosów propagandy—to dzień dzisiejszy. Cały wysiłek sfer kierowniczych w państwach wojujących zmusza do zużywania zasobów inteligencji i energii, dla celów doraźnych, jakimi są prowadzenie i zwycięskie zakończenia wojny. Ten stan rzeczy jest pozornie usprawiedliwiony. Ten stan rzeczy jednak mieści w sobie groźbę, że z chwilą zakończenia rozprawy staniemy przed pustką. Pokój zaskoczy nas trudnościami i runie lawiną niezadowolenia. Dlatego trzeba część myśli naszej oraz wysiłku skierować także ku sprawie wygrania pokoju.

Należy pamiętać też i o tym, że atmosfera pokojowa, która ogarnie pewną część społeczeństw po wysłuchaniu rozkazu : "zaprzestać ognia"— będzie atmosferą bezwładu. Głosy wskazujące na potrzebę myślenia i pracy dla jutra nie powinny więc być zagłuszone. Należy zdobyć się na decyzje chroniące przed przyszłymi katastrofami. Niebezpieczeństwo jest tym większe, że obok chóru zdrowych ludzi wojny, pracuje podstępnie pod ich sztandarami szereg usypiaczy, którzy zgoła inne cele mają na uwadze. Usypiacze ci myślą o powrocie do dni egoistycznego dosytu oraz przewodzenia. Zadaniem ich jest pogłębianie dystansów gospodarczych i politycznych pomiędzy sobą, a masą wytwarzającą i oczekującą lepszej przyszłości. Często jedynym tytułem wyższości tych, co uważają się za szczyty społeczne, jest przypadkowe posiadanie środków produkcji lub wymiany. Dla tych jednostek, słabych sercem i mózgiem, krzywda i niedola mas jest źródłem ich praw. Usypiacze pracują nad utrzymaniem rzesz ludzkich w warunkach bezimiennej zależności, a z patriotycznego frazesu korzystają, by unieszkodliwić maniaków prawdy i lunatyków miłosierdzia.

Ekonomia sił i poczucie wartości każdego ludzkiego istnienia nakazuje spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy za nim ono uderzy. Należy wojnę obecną traktować nie tylko jako walkę o te, czy inne granice, czy jako walkę o zachowanie prawa do samostanowienia o sobie narodów, czy tym mniej jako obronę prawa swobodnego składania głosu do urny. Nie można także tej wojny uważać za bój o prawo eksploatowania fabryk, banków, wielkich domów handlowych lub o prawo przewodzenia, organizowania lub prowadzenia związków zawodowych, ani nawet za bój o prawo posiadania teoretycznej często wolności. Wojna obecna to szturm ostatnich rezerw społecznych—wielkich mas chłopów i robotników, szturm który zadecyduje nie tyle, o prawach materialnych, ile o atmosferze moralnej, w której będziemy żyli lub ginęli. Dawniejsze wojny, a nawet częściowo wojna światowa, były wojnami grup prowadzących, w które

wierząc, lub im nie wierząc, wiedząc lub nie wiedząc za co, i dlaczego, ginęli żołnierze. Dzisiaj pełne mobilizowanie całych narodów jest dzięki temu możliwe, że postęp techniczny i zasięg psychiczny wodzów, załamał bierność mas, kształtując ustokrotnionymi głosami propagandy pogląd wszystkich na człowieka, naród, prawo i sprawiedliwość. Warunkiem więc niezbędnym zwycięstwa dobra i sprawiedliwości jest stworzenie takich form organizacyjnych, które przywrócą wolność jednostki. Ustrój ten musi sprawić że człowiek-automat, człowiek pracy, zmieni się w jednostkę świadomą i odpowiedzialną. W każdej dziedzinie działalności ludzkiej może powstać osobiste zainteresowanie wysiłkiem, może się znajdzie pasja walki z martwą czy żywą naturą. Pasja taka znamionuje zazwyczaj artystę, wychowawcę, lub " udarnika." Każda praca może być żmudnym, bezwartościowym mozołem pełnym wartości zadowoleniem. Nadanie każdej pracy tej drugiej treści nasyci ją pierwiastkiem twórczym, nasyci człowieczeństwem.

Oto kierunek, w którym chcemy, aby poszły przemiany we wszystkich dziedzinach życia.

Praca nacechowana znamieniem twórczości wyklucza blagę i wyłącza fałsz, monetę inflacyjną, dominującą we współczesnym obiegu. Rozbudzenie człowieka, zdynamizowanie go przekreśli kult mitycznych wodzów, tak politycznych, jak gospodarczych. Pozytywizm i krytycyzm utrudnia fetyszyzm i uniemożliwia bezgraniczne kredytowanie władcom. W nowych warunkach dzisiejsi usypiacze, oraz zawodowe nieroby i zawalidrogi, których jedynym pragnieniem jest wyłączne posiadanie zagrabionych skarbów, będą musieli zrezygnować. Człowiek twórczy stanie się źródłem takich wartości, których żaden ze skąpców i ciułaczy nie będzie w mocy zamknąć w niedostępnej skrzyni.

LUDWIK GROSFELD

KRYZYS SOCJALIZMU CZY KRYZYS PARTJI SOCJALISTYCZNYCH

Opanowanie Rzeszy Niemieckiej przez Hitlera spowodowało natychmiastową niemal likwidację najpotężniejszej partji socjalistycznej świata, niemieckiej socjal-demokracji, rosporządzającej dziesiątkami dzienników i dużym aparatem partyjnym, miljonami członków i zwolenników, uczestniczącej do ostatniej niemal chwili w rządzie pruskim.

Likwidacja niemieckiej partji socjalistycznej była nie tylko

ciężkim ciosem dla międzynarodowego ruchu socjalistycznego ale także poważnym i jaskrawym symptomem kryzysu partji socjalistycznych. Oto bowiem partja, której przedstawiciel był przez szereg lat prezydentem republiki niemieckiej, która stała u kolebki republiki wejmarskiej i—conajmniej przez dziesięciolecie była najsilniejszym czynnikiem politycznym tej republiki, została usuniętą z powierzchni życia przez ruch, który demagogją zdobywał miljony zwolenników zanim przy pomocy junkrów i kasty oficerskiej reprezentowanej przez Hindenburga, zdobył władzę. Istnienie masowego, z dnia na dzień wzrastającego ruchu nazistowskiego i bezsilność niemieckiej partji socjalnodemokratycznej, która bez próby obrony dała się zniweczyć—dowodziłoby ponad wątpliwość, że jedną z przyczyn, które umożliwiły opanowanie Niemiec przez Hitlera, była wewnętrzna słabość niemieckiego ruchu socjalistycznego.

Bohaterska walka robotników austrjackich z ich domorosłą odmianą faszyzmu pozostanie wprawdzie zawsze świadectwem wierności dla idei i ofiarności—ale nie zdołała zmienić obrazu bezsilności partji socjalistycznych wobec zamachów faszystowskich. Obok tysięcy walczących z bronią w ręku austrjackiego Shutzbundu były setki tysięcy robotników, wiernych idei socjalistycznej, zmuszonych okolicznościami do niemal biernego przyglądania się postępom dolfusowskiego faszyzmu.

Mniej krytycznie ujawnił się kryzys ruchu socjalistycznego na Zachodzie i w państwach skandynawskich. Znamienną była konsekwentna—aż do samozatracenia—obrona neutralności we wszystkich tych krajach, które łudziły się, że unikną wciągnięcia do wojny. Jeszcze bardziej znamienna była niemoc francuskiej partji socjalistycznej, widoczna już w okresie przedwojennym a ujawniona w pełni w czasie wojny. Francuska partja socjalistyczna powołana do zmobilizowania mas pod hasłem bezkompromisowej, zgodnej z interesem Francji walki z faszyzmem była sparaliżowana wewnętrznym rozłamem i nie odegrała żadnej roli w chwili decydującej o losie Francji.

Wszystkie te akty historyczne—które, coprawda, nie obejmują partji socjalistycznych wszystkich krajów (wyjątki stanowią Brytyjska Partja Pracy i P.P.S.)—dowodzą iż ruch, który przez dziesiątki lat wykazywał dużą spoistość i dynamikę a przed 20 laty wydawał się bliskim zwycięstwa—znajdował się w okresie przedwojennym w stanie kryzysu.

Wyczerpujące omawianie przyczyn tego kryzysu przekroczyłoby ramy artykułu. Pozwolę sobie tedy wskazać—na—moim zdaniem—najistotniejsze momenty.

Ruch socjalistyczny był przez dziesiątki lat ruchem opozycyjnym. Wywalczył sobie prawo bytu, zdobył swobodę organizacji, zapewnił masom ludowym prawa obywatelskie, podnosił

wydatnie stopę życiową zorganizowanych robotników a co ważniejsze znakomicie wzmógł ich poczucie godności i ich świadomość polityczną. Socjaliści wprowadzili masy na arenę dziejową a stworzywszy potężne organizacje zdobyli wpływy i znaczenie, korzystali z trybuny parlamentarnej ale pozostawali w zasadniczej opozycji wobec istniejącego ustroju, głosząc konieczność jego radykalnej przebudowy. Po pierwszej wojnie światowej ruch socjalistyczny wzmógł się znacznie, (niestety nie we wszystkich krajach równocześnie) stał się siłą przeciw której a nawet bez której rządzenie było nie możliwe, nigdzie jednak nie zdobył większości, koniecznej do objęcia—drogą parlamentarną—pełni władzy. Równocześnie stawały przed społeczeństwami nowe, skomplikowane zadania. Trzeba było zapewniać ludności żywność i pracę, uzupełniać braki, likwidować gospodarcze i polityczne skutki 4-letniej wojny. Żywotne interesy mas reprezentowanych przez partje socjalistyczne wymagały współdziałania socjalistów w działności zmierzającej do gojenia ran powojennych, do odbudowy normalnego życia. Zaczął się pełen warjantów taniec koalicji i kompromisów. Przed ruchem socjalistycznym stanęły nowe możliwości ale równocześnie musiał on opuścić twardy grunt zasadniczej opozycji i wejść na grząski teren dorywczych porozumień, na trudną pełną wyboi, wilczych dołów i celowo układanych min—drogę "współrządzenia." Jasnem jest, że w pewnej części mas powstawało niezadowolenie, wyzyskiwali je agitatorzy Kominternu, zmierzający celowo do rozbicia jedności klasy robotniczej. Wszak to komuniści niemieccy wraz z hitlerowcami żądali w plebiscycie rozwiązania sejmu pruskiego a francuscy komuniści przywitali "jednolito-frontowy" rząd Bluma strejkami, które stały się początkiem upadku tego rządu.

Ujmując w skrócie dzieje wypadków politycznych między dwiema wojnami światowymi musi się stwierdzić, że partje socjalistyczne w różnych krajach schodziły do rządowych koalicji, że wywierały wpływ na rządy ale nigdzie nie rozpoczęły realizacji socjalizmu.

Czy należy tedy mówić o kryzysie socjalizmu czy tylko o kryzysie przedwojennych partji socjalistycznych ?

Cele socjalizmu można—w sposób niezwykle uproszczony określić następująco : socjaliści stwierdzali, iż dla mas pracujących sprawy gospodarcze, sprawy bytu codziennego są zagadnieniami podstawowymi, decydującymi o ich radości, życiu rodzinnem, kulturze. Wywodzili, że ustrój oparty na własności prywatnej, na prawie jednostki czy grupy kapitalistów do decydowania—wedle swej woli i swego interesu—o losach miljonów—nie daje masom bezpieczeństwa normalnego rozwoju, pozbawia je istotnej dla ich losu części dochodu społecznego, uniemożliwia

wyzyskanie wszystkich sił gospodarczych, hamuje rozwój, zużywa bezprodukcyjnie całą masę dóbr i energji. Ustrojowi temu przeciwstawiali socjaliści hasło gospodarki społecznej, zmierzającej do maksymalnego zaspokojenia potrzeb całej ludności. Jako drogę prowadzącą do takiej przebudowy ustroju socjaliści wskazywali zorganizowaną walkę polityczną mas, świadomych swych celów i przygotowanych przez organizacje zawodowe, polityczne, oświatowe i spółdzielcze.

Ta metoda walki o nowy ustrój czyniła z socjalistów najbardziej konsekwentnych, najbardziej pewnych obrońców demokracji.

Powodzenia — czasowe — państw totalistycznych nasuwały wniosek, że ta metoda zbankrutowała. Ale właśnie przeżywany okres wojny wykazał, że bez pełnego zwycięstwa demokracji, bez *powszechnego* jej zastosowania niemożliwe jest uzyskanie trwałego pokoju, za którym tęskni cała niemal ludzkość. Zapowiedź socjalistów, że " faszyzm to wojna," (choć nie wszyscy socjaliści wyciągali z tego konsekwencje)—spełniła się. Dziesiątki, setki miljonów są dziś najgłębiej przekonane, że każdy ustrój totalistyczny, z istoty swej, zmierza ku wojnie i że pokój zapewniony być może tylko, jeśli *wszędzie* zapewniony będzie decydujący wpływ mas ludowych na polityczny i gospodarczy ustrój państwa.

To też roją się na świecie deklaracje demokratyczne, nie zawsze może w pełni szczere, ale świadczące, że demokracja stała się hasłem dnia.

Coraz szersze kręgi zatacza też świadomość, że demokracja nie może się ograniczyć do zasady formalnej równości praw politycznych. Dla wielu, którzy tego nie dostrzegali, staje się jasnem, że wartość i trwałość zasady równości obywatelskiej zależy od stopnia realizowania jej także w życiu społecznem i gospodarczem. Powszechną jest już dziś świadomość, iż zapewnienie wszystkim ludziom t.zw. " bezpieczeństwa społecznego," to znaczy dachu nad głową, przyzwoitego utrzymania, udziału w dobrach materjalnych i kulturalnych narodu—jest koniecznością. Rozpowszechnia się i utrwala też przekonanie, że to " bezpieczeństwo społeczne " da się uzyskać tylko drogą —nie tylko ograniczenia—ale złamania przywilejów klas posiadających, drogą zastąpienia w życiu gospodarczem anarchistycznej woli prywatnego kapitalisty—zbiorową wolą społeczeństwa. Już w okresie wojennym dokonują się olbrzymie zmiany w życiu gospodarczem i społecznem państw demokratycznych. Można krytykować tempo tych zmian, ale nie należy przemilczać ich doniosłości i nieuchronnych następstw.

Tak to w okresie niemocy wszystkich niemal—prócz brytyjskiej—partji socjalistycznych—zasady i hasła demokratycznego

socjalizmu wychodzą daleko poza kręgi członków partji i opanowują inne ugrupowania polityczne.

Realizacja tych zasad i haseł po zwycięskiej wojnie, natrafi niewątpliwie na duże trudności. Będą spory o tempo i formę, będą próby ratowania starego ustroju częściowymi ustępstwami, będą nieodzowne błędy i kosztowne doświadczenia—ale droga ku przyszłości jest dziś już widoczna, bardziej widoczna niż przed 10 laty.

ZYGMUNT HŁADKI

HUMANISTYCZNE OBLICZE FILOZOFJI BERGSONA

Rok już minął jak umarł w Paryżu Henryk Bergson, największy filozof nowoczesnej doby, postać najbardziej może przełomowa w dotychczasowych dziejach filozofji, jeden z tych wielkich myślicieli-odkrywców, których dzieła, jak ogromne drogowskazy na przestrzeni wieków, wyznaczać będą kiedyś drogę duchowej ewolucji ludzkości.

Przez tumult wojenny śmierć ta przeszła prawie niepostrzeżenie. Wśród tragicznych dni Francji i Europy przesunął się Jego nędzny pogrzeb na małym cmentarzyku pod Paryżem, gdzie tylko drobna garstka najbliższych odważyła się Go żegnać, przesunął się cicho do historji, jak symbol rozmiaru absurdów. I mało kto na świecie zdał sobie sprawę że oto umarł człowiek, którego imię przeżyje być może wszystkie współczesne nam imiona.

Kiedy życie powróci znów do spokojnych łożysk i człowiek przestanie mierzyć swą wielkość jedynie zasięgiem uzbrojonego ramienia, nadchodzące po nas pokolenie oceni głębokość rewolucji jaką zarysował w możliwościach ludzkich genjusz Bergsona. W warunkach bardziej skupianiu ducha sprzyjających rozniecą na swoich drogach światło Jego mądrości filozofowie i uczeni, poeci i moraliści, nauczyciele i mężowie stanu.

Dziś za oddalającym się coraz bardziej od swych ziemskich kształtów cieniem wielkiego myśliciela jeszcze długo patrzeć będzie pełnemi miłości oczami każdy kto zetknął się z Jego dziełem, kogo bieg Jego myśli mądrze pochylił nad tajemniczym nurtem życia i komu z otwartych przez Niego perspektyw powiała ulga najgłębszych przejrzeń.

1.

Dotychczasowa pozycja filozofji w praktycznem życiu człowieka otoczona była niewątpliwie atmosferą jakiegoś głębokiego nieporozumienia. Zachowując swą nominalną rolę królowej nauk—akceptowaną ze strony specjalistów przez snobizm tradycyjnej wyższości, a ze strony laików przez snobizm udawanego rozumienia—filozofja w istocie coraz bardziej izolowała się od utylitarnych racyj swego istnienia i, w miarę komplikowania swej dialektyki, coraz bardziej oddalała się od człowieka.

Niewątpliwie systemy filozoficzne nie były przystosowane do rzeczywistości w której żyjemy na codzień. Niewątpliwie były one zbyt sztywne, zbyt abstrakcyjne i nie tylko nie zbliżały nas do wyjaśnienia wielkich

tajemnic życia, ale nawet nie zdołały dać nam w sprawach ducha tej praktycznej orjentacji, jaką dzięki naukom ścisłym zdobyliśmy w sprawach materji. W dziedzinie religji, moralności czy polityki, a więc wszędzie tam gdzie walczący z tajemniczemi siłami natury człowiek styka się po raz pierwszy z zupełnie nowemi, przez siebie samego wytwarzanemi sytuacjami —jesteśmy taksamo ubodzy w mądrość, taksamo prymitywni, jak byliśmy przed dwoma tysiącami lat.

Nic więc dziwnego, że na tle tych zawiedzionych spodziewań narastała dokoła filozofji dyskretna nieufność. Nieufność tę potęgował separatyzm człowieka wiary, do którego intelektualny ekskluzywizm filozofji nie potrafił przerzucić mostów, systematycznie wykluczając doświadczenia religijne ze swych teorjopoznawczych założeń. Nieufność tę umacniało również rosnące lekceważenie ze strony nauk ścisłych, porównywujących swój wspaniały pochód wgłąb materji z dialektycznem błędnem kołem, w którem od wieków plącze się metafizyka. W rezultacie pomiędzy filozofją a człowiekiem wytworzył się rodzaj przepaści—obok wielkich problemów niezmiennie czekających na jakieś zbawienne światło.

Systemy i teorje filozoficzne bądź odwracały nas od życia, wciągając naszą myśl do światów abstrakcyjnych, budowanych prawie całkowicie poza praktyczną rzeczywistością, bądź pozostawiały nas w mroku, darząc jedynie smutnym uśmiechem stwierdzającym " niepoznawalność absolutu."

Same słowa " filozof," " filizoficzny " oznaczały postawę jakiejś systematycznej rezygnacji, a w swych najwyższych interpretacjach—czy to u Orfików czy u Platona, u Montaigne'a czy Schopenhauera—" filozofować " znaczyło odwracać myśl od życia ziemskiego i przygotowywać się do śmierci.

Przeciwko temu stanowi rzeczy zwróciło się rewolucyjne dzieło Bergsona, nadając filozofji zupełnie nowe, niespodziewane znaczenia.

2.

Postawa jaką genjusz Bergsona zajął wobec problemów poznawania rzeczywistości jest tak odmienną od naszych najgłębszych nawyków myślowych, że przy jej odtwarzaniu tradycjonalna symbolistyka metafizyczna staje się raczej przeszkodą niż pomocą. Trzeba niezmiernej ostrożności, żeby nie minąć się z istotą tej postawy już in statu nascendi nasuwających się chwytów dialektycznych i nie wpaść w ten sposób w klasyczny już niemal błąd, przed którym Bergson tylokrotnie swoich przyszłych interpretatorów ostrzegał. Każda interpretacja usiłująca filozofję Bergsona odtworzyć, a choćby przynajmniej wyprowadzić z jej dialektycznych precedensów, automatycznie ześlizguje się w zasadnicze nieporozumienie. Chcąc tego nieporozumienia uniknąć, trzeba raczej, odwracając przyrodzony kierunek naszych nastawień myślowych, sięgnąć odrazu in medias res właśnie tego wszystkiego co jest w sposobach myślenia Bergsona najmniej do znanych nam wzorów podobne. Uchwycony w ten sposób zostaje szereg perspektyw widzianych jakgdyby od wewnątrz zasadniczej postawy myśliciela, a następnie perspektywy te już same układają się nam w pewną linię, kierunek, orjentację.

U źródła impulsów które skłoniły Bergsona do rewizji wszystkich najbardziej uświęconych założeń metafizycznego myślenia leżał przedewszystkiem fakt beznadziejności metody filozoficznej opartej na logice Arystotelesa i dialektyce platońskiej i praktykowanej w różnych odmianach aż do dzisiaj, mimo notorycznych niepowodzeń. Cechą wspólną wszystkich dotychczasowych filozofij było usiłowanie wydedukowania istoty życia z solucyj czysto werbalnych. Usiłowanie to doprowadzało bądź do prób wyrażenia " absolutu " w takiej czy innej formule uniwersalnej—bądź do iluzji krańcowo przeciwnej : że istota życia jest dla człowieka wogóle nie-

poznawalna. Czy tajemniczą istotą wszelkiego istnienia miała być " Substancja " jak tego chciał Spinoza, czy " Ja " Fichtego, czy heglowski " Absolut," czy " Wola " Schopenhauera—formuła uniwersalna pozostawała pustą nazwą, symbolem niewiadomej, kluczem, co mając otworzyć naraz wszystkie prawdy, otwierał jedynie wnętrze struktury werbalnej do której był dopasowany.

Ale i druga krańcowość—ugruntowana przez krytycyzm Kanta teza stwierdzająca niepoznawalność istoty rzeczywistości—nie wytrzymuje próby życia. Bowiem pewne osiągnięcia wyobraźni u ludzi czynu, a przedewszystkiem u artystów, świadczą o możliwości uchwycenia wewnętrznej istoty zjawisk życiowych, a więc poznania " absolutu," drogą jakiegoś prostego, pozaintelektualnego aktu. Przeciwnie, kompilacja u artystów i trzymanie się wiedzy werbalnej u ludzi czynu prowadzi zawsze do błędów. To też główne niebezpieczeństwo dla prawdziwej metafizyki widzi Bergson w werbaliźmie, czyli w deformującym wpływie jaki sama istota mowy ludzkiej, skostniała wiedza w samym języku zmagazynowana, wywiera na poznawcze funkcje naszej myśli.

W sferze przejawów życia jedynem zródłem absolutnego poznania jest doświadczenie bezpośrednie. Poznanie względne, opisowe, osiąga się z zewnątrz, przez zastąpienie zjawiska kombinacją symbolów. Jest ono pożyteczne dla naszych codziennych działań praktycznych i dlatego jest podstawą wszystkich nauk ścisłych. Ale poznanie absolutne, to które jest zadaniem filozofa, artysty a czasem i polityka, osiągnąć można jedynie przez pozaintelektualne wniknięcie we wnętrze zjawiska, jakgdyby psychiczne umieszczenie się w środku jego istoty, jakgdyby utożsamienie na mgnienie oka siebie jako poznającego podmiotu z twórczym tego zjawiska nurtem.

Jest w prostocie bezpośredniego doświadczenia coś co idzie jakgdyby naukos, a czasem nawet przeciw całej apriorycznej wiedzy, a równocześnie ją nieskończenie prześciga. To samo jest w prostocie aktu twórczego i ma tam nawet swoją nazwę: nazywa się natchnieniem. To natchnienie, wzbudzone w wysiłku myśli poznawczej wobec badanej rzeczywistości i będące stanem pewnej sympatji koincydującej z płynnością istoty tej rzeczywistości, Bergson nazywa intuicją. Intelekt, jako organ fabrykujący symbole, przeznaczony jest przedewszystkiem do ułatwiania nam życia czynnego, do zatrzymywania i utrwalania płynności, i dlatego poznanie jakie on nam daje jest poznaniem względnem, dekomponującem, umożliwiającem uchwytność kosztem niedopuszczania nas do istoty rzeczy.

Poznanie intuicyjne jest jedynem prawdziwem, ale z natury swej jest niezmiernie nieuchwytne. Jeżeli więc z posiłkowania się niem chcemy uczynić narzędzie naukowe, musimy wytworzyć pewnego rodzaju współpracę intuicji z intelektem, współpracę w której intelekt utrwala i drogą analizy rozbudowuje rezultaty intuicyjnych przejrzeń.

3.

Kiedy spojrzeć wstecz na zakończone dziś dzieło Bergsona, to przypomina ono jakgdyby drogę nawzajem potwierdzających się odkryć. Raczej drogę odkryć, niż planowo wznoszone budowle do których podobne były dotychczasowe systemy i teorje metafizyczne. Odkryciami były impulsy z których Bergson wyprowadził swoją metodę, odkryciem była sama metoda i jak wielkie odkrycia wynikały z niej coraz pełniejsze rewelacyjnego światła perspektywy. Dlatego też nie próbójmy szukać w zarysie jego dzieła kształtów jeszcze jednego filozoficznego systemu. Ani nie próbójmy sprowadzać bogactwa odkrytych aspektów do jakiejś jednej formuły. Spójrzmy poprostu na jego wielką drogę, na przebyte tej drogi etapy. Każdy z tych etapów jest jakgdyby przedzieraniem się przez dżunglę. Przez gęstwinę

odwiecznych problemów, rzeczywistych i fikcyjnych, splątanych ze sobą tragicznie, wrośniętych w najłębsze źródła złudzeń, powyginanych ciężarem nawyków i przytłoczonych cieniami autorytetów. Każdy jest mozolną pracą rozplątywania tej dżungli od korzeni, rozeznawania źródeł fikcji i kierunków rzeczywistości, wykrywania wspólnych błędów w sprzecznych ze sobą tezach antynomij i demaskowania różnorodnych zaplątań tej samej iluzji. I każdy wyprowadza nas w końcu na drogę tak pełną niespodziewanego światła i tak oczywistą, że aż dziwimy się żeśmy przez tyle wieków błądzili w zwodniczych labiryntach, będąc tylko o krok od wyjścia.

4.

W poszukiwaniu przyczyny notorycznego mijania się filozofji z życiem, natrafił Bergson na podstawowe swe odkrycie otwierające niespodziewane perspektywy. Stwierdził że wyobrażenie czasu przyjęte przez wszystkie dyscypliny myślenia ścisłego jest wyobrażeniem spaczonem, oderwanem od swej istoty, pomylonem z kategorjami przestrzennemi i nie mającem nic wspólnego z czasem rzeczywistym, z tem realnem trwaniem, którego płynięcie postrzegamy jakgdyby od wewnątrz, w nas samych. Istota tego trwania wymyka się naszemu rozumowemu pojmowaniu, pomimo że jest dla nas czemś oczywistem, bowiem nasz umysł, z racji samej swej struktury, zdolny jest pojmować ruch i zmienność jedynie w transpozycji przestrzennej, czy to w formie następstwa nieruchomych pozycyj, linij po których coś nieruchomego się porusza, czy to w formie serji następujących po sobie nieruchomych stanów. Mechanizm naszego pojmowania jest jak mechanizm filmu: dzieli na nieruchome obrazy to co w rzeczywistości jest niepodzielnem trwaniem. Czas, który jest treścią i przyczyną wszelkiej zmienności, wyobrażamy sobie jako kolejność sztucznie wykrawanych momentów, jako drogę po której zmienność płynie, a która jest przecież jedynie symbolicznym tej zmienności śladem. Przez takie abstrakcyjne pojmowanie czasu nie można uchwycić jego istoty, gdyż w rzeczywistości moment który przeminął już nie istnieje, moment nadchodzący jeszcze nie istnieje, a granicą między nimi, czyli teraźniejszością, staje się idealny punkt matematyczny w którym żadne istnienie pomieścić się nie może. A tymczasem w praktyce teraźniejszość nie tylko niewątpliwie istnieje, ale posiada w naszej psychice zupełnie konkretny, substancjalny charakter. Istotę czasu, istotę trwania rzeczywistego świadomość nasza uchwycić może jedynie aktem intuicji, przez umieszczenie się jakgdyby we wnętrzu swej własnej płynności, przez pewną koincydencję uwagi, która ustala, z płynnością, która ucieka. Zmienność nie jest atrybutem rzeczywistości, lecz jej najgłębszą istotą. Ta prawda, wyczuwana w rzeczywistości duchowej przez intuicję, zaczyna się zresztą potwierdzać i w odniesieniu do materji. Nowoczesna fizyka, penetrując coraz głębiej w wewnętrzną dynamikę atomu, coraz wyraźniej odsłania w jego istocie jedynie jakiś ruch ruchów. Podstawianie czasu abstrakcyjnego na miejsce rzeczywistego trwania jest niezbędne dla opanowywania materji, ale w sferze zjawisk duchowych doprowadza do stwarzania problemów fikcyjnych i błąkania się dociekań w nigdy nierozwiązalnych antynomjach. Natomiast reintegracja czasu rzeczywistego, lokując naszą postawę poznawczą jakgdyby w samem wnętrzu przemijania, zestraja orjentację naszych dociekań z orjentacją płynącego przez nas nurtu życia i przywraca naszej myśli kontakt z głębokimi kierunkami rzeczywistości.

Na tle rozwiniętych aspektów tego odkrycia teza doktorska Bergsona *Essai sur les données immédiates de la conscience* rozwiązuje jeden z najbardziej beznadziejnych problemów filozofji, przykryty grubą warstwą

nagromadzonych sprzeczności, od wieków błądzący pomiędzy dowolnością transcedentalną a materjalistycznym determinizmem i ugrzęzły zdawało się na zawsze w trzeciej antynomji Kanta,—problem wolności woli.

Wnikliwe analizy rozpraszają tu pierwszą dialektyczną zasłonę dzielącą nas od rzeczywistości. W ich świetle zaczynamy rozumieć, że nasze życie psychiczne nie jest ani czemś co dowolnie wybiera sobie istniejące już w przyszłości drogi, ani też czemś co ze swej przeszłości w sposób konieczny wynika. Że jest trwaniem w dynamicznym sensie tego słowa, trwaniem naprzód, niosącem w sobie całą swą nieustannie narastającą przeszłość i całą swą przeszłością torującem sobie w bezwładzie materji swą własną zupełnie nową i absolutnie nieprzewidzialną drogę. Jest więc trwaniem w sensie twórczym i w tym sensie jest wolnością.

Ale człowiek wplątany jest w organiczne i społeczne prawa natury i w swojej codziennej zautomatyzowanej aktywności mimowoli tym prawom podlega. Dlatego też prawdziwie wolnym staje się człowiek tylko w ważnych momentach życia, kiedy decyzję swoją wydobywa z wysiłku zwróconego przeciwko inercji natury i kiedy w walce z tą naturą wyciska w jej koniecznościach piętno swojego ducha.

5.

Matière et mémoire jest ze ściśle metafizycznego punktu widzenia najpiękniejszem może dziełem Bergsona, największe trudności przezwyciężającem, penetrującem w najgłębsze tajniki życia.

Centralnym tematem dzieła jest problem stosunku pomiędzy psychiką i ciałem. Problem ten nigdy nie był przez filozofów dostatecznie pogłębiony, a z chwilą przejęcia go przez psychofizjologję, utknął swemi nierozwiązanemi podstawami w konkurencyjnych hipotezach epifenomenizmu i paralelizmu, odmiennych w eksplikacji ale zgodnych w ścisłem uzależnianiu zjawiska świadomości od funkcyj mózgowych. Kierując swe dociekania po linjach niemal jasnowidząco wnikliwej introspekcji, kontrolując je olbrzymim materjałem faktów dostarczonych przez anatomję, fizjologję, psychologję i psychopatologję i poddając specjalnemu badaniu sferę zjawisk pamięci,—Bergson dokonywa tu analizy całego wnętrza ludzkiej świadomości, od najelelementarniejszych mechanizmów aktu postrzeżenia do najwyższych funkcyj umysłu. Analiza ta przynosi w skromnej formie wynik pełen niezmiernego znaczenia nie tylko dla metafizyki i psychologji ale dla całej świadomej postawy człowieka. Stwierdza ona bowiem fakt, że ciało nasze jest wyłącznie organem działania i w żadnym wypadku nie wytwarza samo przez się treści psychicznej. Że mózg jest jedynie instrumentem umożliwiającym użytkowanie pamięci dla celów praktycznych, rodzajem filtru dopuszczającego potrzebne fragmenty wspomnień na powierzchnię świadomości, ale w żadnym wypadku i w żadnej formie nie jest tej pamięci ani źródłem ani nawet siedzibą. Że wreszcie głęboka natura pamięci ,będąca podstawą naszej psychiki, wykracza nieskończenie poza wszystko co jakiemikolwiek funkcjami materji można wytłumaczyć. We wszystkich swych przejawach, w przełamywaniu się przez wszystkie konieczności natury organicznej i społecznej, duchowa istota naszej osobowości ukazuje się tutaj coraz wyraźniej jako proces tworzący sam siebie, związany wprawdzie z materją w pewnych swych aspektach i funkcjach, ale w głębokim swym nurcie od niej niezależny.

Jak pierwszy etap prac Bergsona odsłonił istotę wolności wewnętrznej człowieka, tak drugi, potwierdzając rzeczywistość materji i potwierdzając pozamaterjalny charakter płynącego w nas nurtu życia, ustalił linię faktów rozjaśniającą wnętrze najbardziej tajemniczych mechanizmów

jakiemi te dwa niewspółwymierne światy, świat ducha i świat materji, wiążą się w nas ze sobą.

Świat zewnętrzny, jakim go nam, w miarę rozwikływania sztucznych zasłon, ukazuje Bergson, nie jest ani tajemniczem widmem, złudzeniem istniejącem jedynie w naszym umyśle, jak to na różne warianty tłumaczył idealizm, ani też mechanicznym, bezbarwnym i bezjakościowym systemem drgań fizycznych, w jaki nas usiłował wtłoczyć t.zw. realizm. Z jakąż ulgą stwierdzamy, że, w świetle faktów ustalanych z tak ogromną wiedzą i z tak wnikliwą precyzją, rzeczywistość jest jednak bliższa naszemu naturalnemu pojmowaniu niż sztucznym koncepcjom, że istnieje dokoła nas naprawdę barwna, naprawdę mieniąca się nieskończoną skalą jakości.

Zarysowana w *Matière et mémoire* teorja pochodzenia materji zostanie później w *Evolution créatrice* rozwinięta do rozmiarów wizji kosmogonicznej. Jednak już tutaj, w zawrotnych analizach stosunku pomiędzy ilością i jakością, rozciągłością i natężeniem, koniecznością i wolnością—schodzi Bergson po linjach tych dualizmów w najgłębsze perspektywy ludzkiej widzialności duchowej.

6.

Ale filozofja Bergsona nie jest rozwiązywaniem szeregu oddzielnych problemów. Jest raczej rozwijaną poprzez wielość fenomenów charakterystyką wciąż tej samej istoty życia. Jest metodycznem, prowadzonem poprzez coraz bardziej złożone sfery przejawów, wykrywaniem tej samej tajemnicy odwiecznych nieporozumień, odsłanianiem tego samego światła prawdy. Pierwsze dwa etapy ustalają niematerjalny charakter najgłębszych motorów życia i odsłaniają strukturalne przyczyny, dla których przyrodzone logiczne funkcje naszego intellektu nie są w stanie istoty tych motorów uchwycić. Dla tych prawd rozwinięte zostaje w *Evolution créatrice* szerokie tło genetyczne oparte o historję życia organicznego na Ziemi.

Evolution créatrice, która rewelacyjnością perspektyw i poetycką potęgą swej wizji biologicznej zdobyła sobie sławę daleko wykraczającą poza świat ścisłej filozofji, w swych głównych znaczeniach jest właściwie bergsonowską teorją poznania. Jest potwierdzeniem sprawdzonego już na problemach psychologicznych istotnego charakteru naszych funkcyj poznawczych i ukazaniem jak te funkcje powstały i kształtowały się w nieprzerwanym procesie na drogach ewolucji życia. Opierając się na ogromnym materjale wiedzy przyrodniczej, Bergson odsłania tu linie faktów wykazujące, że historja życia nie jest ani łańcuchem przyczynowości, jak to tłumaczą mechanistyczne teorje biologji, ani łańcuchem celowości, jak tego chce t. zw. finalizm. Że w rzeczywistości rozwój życia dystansuje jakgdyby hipotezę finalizmu i posiada wszystkie cechy procesu twórczego, twórczej ewolucji. Równocześnie te same linie faktów ukazują nam, jak dwa najwyższe narzędzia orjentowania się życia pośród materji—instynkt i inteligencja—początkowo zmieszane ze sobą, rozgałęziły się później i rozwinęły na drogach oddzielnych : instynkt na linji owadów, osiągając swój szczyt w aparatach społecznych mrówek i pszczół—a inteligencja kształtując się wzdłuż linji kręgowców i osiągając swoją pełnię w formie ludzkiego intellektu.

Biologiczne przeznaczenie obu tych narzędzi jest jednakowe : rozszerzanie działania przez organizowanie wysiłków. Funkcje ich natomiast zwrócone zostały jakgdyby w diametralnie przeciwnych kierunkach. Instynkt polega na nieświadomym ale bezpośrednim kontakcie z istotą życia, intellekt zaś na świadomości wyboru, uzyskanej kosztem stracenia tego bezpośredniego

kontaktu. Mechanizm intelektu, pozwalający na dowolny wybór reakcyj, umożliwił człowiekowi fabrykowanie narzędzi sztucznych i zamienienie konieczności materji w instrument wolności. Ale mechanizm ten, żeby dać psychice czas na dokonywanie wyboru, musiał ją niejako oderwać od płynności i wyposażyć w świadomość pojmującą życie w kategorjach stałych, sztucznych wprawdzie, ale zato dających się zatrzymywać, dzielić, mierzyć i porównywać. Dlatego też w dziedzinie materji, która jest dziedziną ruchów automatycznie powtarzających się, podlegających ściśle swoim koniecznościom i dających się wskutek tego ująć bez reszty w t. zw. prawa—intelekt nasz operuje z naturalną trafnością i osiąga zawrotne postępy. Ale z tych samych przyczyn nasze myślenie czysto logiczne nie jest w stanie uchwycić głębokiej natury zjawisk duchowych i w sferze rzeczywistości witalnej błąka się od labiryntów abstrakcji do labiryntów samokrytycyzmu, napróżno usiłując przezwyciężyć stwarzane przez siebie sprzeczności.

Ten charakter intelektu tłumaczy z jednej strony wspaniałe postępy nauk ścisłych i wszelkiej techniki, a z drugiej przyczynę błędnego koła w którem od swych początków drepce metafizyka. Przeoczenie tej istoty intelektu i pomieszanie dwuch niewspółmiernych porządków rzeczywistości, porządku twórczego, będącego motorem zjawisk witalnych, i porządku geometrycznego, w który daje się ująć materja,—było głównem nieporozumieniem leżącem u podstaw zarówno dogmatyzmu myśli starożytnej jak i nowożytnego relatywizmu.

Jakaż jest biologiczna geneza intuicji, owej podstawy bergsonowskiej metody, owej furtki przez którą rozum nasz może wychylać się poza swe własne granice?

Jedną z cech życia jest fakt że żadna tendencja, żadna forma nie występują w niem w stanie idealnego odosobnienia. Wszystko w mniejszym lub większym stopniu przenika się nawzajem. Tak w intelekcie pozostał jakgdyby ślad instynktu, słaba obwódka innego porządku poznania, zbyt słaba żeby utrzymać stały kontakt naszej myśli z głębokim nurtem rzeczywistości, ale dostateczna aby w aktach wysiłku duchowego, w aktach podobnych do tych, które artyści nazywają natchnieniem, na mgnienie oka kontakt ten nawiązać i dać nam w ten sposób, wprawdzie logicznie nieuchwytną, ale zato niezawodnie trafną orjentację.

Z bergsonowskiej konfrontacji metafizyki z biologją, konfrontacji z której obie te dyscypliny dociekań wynoszą niespodziewane korzyści, autorytet czystego intelektu wychodzi z nieco okrojoną kompetencją. Ale zato jakże podnosi się znaczenie wszelkiej twórczości, jakie powołania zarysowują się nad nami, kiedy z ogromnej rewji faktów wyłania się nam historja Życia—owego elanu tchniętego w materjalną treść Ziemi, pędu twórczego, który od pierwszych zawiązków protoplazmy aż do dzisiejszego niezmierzonego bogactwa flory i fauny torował sobie swój pochód poprzez bezwład materji, stwarzając coraz trafniejsze mechanizmy panowania, przezwyciężając napotykane opory, rozwidlając się na coraz liczniejsze drogi prób i udoskonaleń, tworząc i porzucając coraz to nowe rozgałęzienia jakgdyby w poszukiwaniu jakiegoś najkorzystniejszego dla siebie wyjścia—by wreszcie uczynić z materji swoje narzędzie i otworzyć sobie tem samem zawrotne możliwości na linji swego najwyższego sukcesu twórczego: na linji człowieka.

W tem świetle człowiek przestaje być osamotnionem, przypadkowem stworzeniem rzuconem w jakieś pozaludzkie konieczności, jak pył w bezmiary wszechświata, a zaczyna czuć się pionierem wszystkiego życia, czołową falą ogromnego przebijającego się przez materję potoku twórczości, pędu porywającego, który, jak mówi słynne zakończenie III rozdziału

" Ewolucji twórczej," " zdolny jest pokonać wszystkie opory i przezwyciężyć wiele przeszkód, a może nawet i śmierć."

7.

Jak w sferze zadań właściwej metafizyki tak i w obejmowanej ambicjami filozofów dziedzinie zjawisk moralnych, religijnych i politycznych, konwencjonalne spekulacje filozoficzne nie posuwały naprzód praktycznej orjentacji człowieka. I w tej dziedzinie podstawowe złudzenia intelektualizmu, mieszające dwa różne porządki rzeczywistości, i zastępujące biologiczną genezę zjawisk ich logiczną analizą, doprowadzały filozofów do stwarzania problemów fikcyjnych i szukania rozwiązań w aspektach pozbawionych kontaktu z żywem życiem. Starożytna Idea Dobra taksamo nie wyjaśnia rzeczywistych motorów zjawisk moralnych, jak nie wyjaśnia ich " imperatyw kategoryczny " czy " transcedentalna jaźń " Kanta ; a poziom orjentowania się nowoczesnej filozofji w głębokich nurtach zjawisk społeczno-politycznych różni się od poziomu orjentowania się Platona jedynie złożonością djalektyki.

Bergson wkracza do tej dziedziny z zupełnie innej strony. Wkracza do niej drogami na których śledził charakter, zachowanie się i twórcze tendencje życia od jego początków na ziemi, poprzez całą ewolucję roślinną i zwierzęcą, aż do osiągnięcia mechanizmu wolności w Człowieku. Do zjawisk więc takich jak ścieranie się indywiduum ze społeczeństwem czy społeczeństwa z ludzkością, jak funkcjonowanie motorów moralnych, religijnych czy politycznych, myśl Bergsona wchodzi odrazu jakgdyby od wewnątrz, uzbrojona już w orjentację odśrodkową, opartą na liniach faktów kontaktujących z najgłębszym nurtem tych zjawisk, nurtem którego charakter nie jest już obcy i którego tendencje podpatrzone zostały już przedtem, na szerszym terenie obserwacji. W *Les deux sources de la morale et de la réligion* Bergson podchodzi do złożonych zjawisk życia ludzkości, jako do rezultatów przebijania się twórczego elanu życia poprzez biologiczną rzeczywistość człowieka. Filozoficzna metoda, czy to w jej intuicyjnych orjentacjach, czy w utrwalaniu ich linjami potwierdzeń naukowych, nie traci tu z oczu pytania : " comment la vie s'y prend ? "—jak życie zwykło zabierać się do ro wiązywania zadań stwarzanych przez siebie w rosnącej złożoności dróg i oporów ?

Ostatni wielki etap pracy myślowej Bergsona nie przynosi ani jeszcze jednego " systemu etyki " ani konwencjonalnej " koncepcji teologicznej." Jest on natomiast etapem analiz, z jednej strony doprowadzających do zidentyfikowania głębokich tendencyj na które życie rozszczepia się w naturze ludzkiej dla realizowania swego twórczego pochodu, a z drugiej odkrywających nam wnętrze wielkich rytmów, przy pomocy których ten pochód się odbywa.

Analizy te, orjentowane wzdłuż linij specyficznego dualizmu, tak charakterystycznego dla twórczej techniki życia, i tu doprowadzają do wykrycia dwuch porządków ewolucyjnych, dwuch niewspółmiernych ale współdziałających ze sobą źródeł impulsów : *nacisku*, wywieranego na wolę ludzką przez jej naturalne, zoologiczne podstawy, i *aspiracji*, pociągającej tę wolę ku ukazywanym jej od czasu do czasu perspektywom wyższych przeznaczeń. Nacisk wytwarza moralność elementarną, zamkniętą jakgdyby w tendencje instynktu i naginającą wolę człowieka jedynie do potrzeb społeczeństwa. Powoduje on również powstawanie religij " statycznych," fabrykowanych przez zdolności fabulacyjne wrodzone umysłowi jako zabezpieczenie przeciw pewnym niepożądanym dla społeczeństwa odchyleniom wyobraźni. Operując za pośrednictwem socjalnej struktury psychiki

ludzkiej, nacisk natury podtrzymuje spoistość wewnętrzną społeczeństw, niezbędną dla rozbudowywania i doskonalenia panowania człowieka nad materją a więc dla wytwarzania cywilizacyj, ale tem samem zamyka społeczeństwa w fatalizmie instynktów prymitywnych, fatalizmie doprowadzającym, w miarę rozwoju narzędzi, do coraz tragiczniejszych konfliktów.

Aspiracja, będąca źródłem moralności " otwartej " i religij " dynamicznych," działa inną drogą. Nie presją od wewnątrz woli, lecz jakgdyby apelem z zewnątrz. Nie przez naturalne sprężyny egotyzmów społecznych, lecz przez duchową atrakcyjność zjawiających się od czasu do czasu jednostek wyjątkowych, zdolnych wznieść swój punkt widzenia do horyzontów obejmujących drogę całej ludzkości. Jednostki te, wychylając się jakgdyby poza naturalną zamkniętość swych społeczeństw i osiągając w swych aktach intuicyjnych bezpośredni kontakt z głębokim kierunkiem całej rzeczywistości ludzkiej, samem czysto duchowem działaniem swej myśli przeciwważą zbyt dalekie zagalopowania społecznych mechanizmów i w odpowiednich momentach pociągają wikłającą się w swych kolejnych tragizmach wolę ludzką ku wyższym, o nowe doświadczenia bogatszym, stopniom wolności.

Wykrywając biologiczne genezy i wielkie rytmy wzajemnego przenikania się moralności zamkniętej i moralności otwartej, religji statycznej i religji dynamicznej, a wreszcie istoty społeczeństwa naturalnego i istoty humanizmu —odsłania Bergson jakgdyby biologiczne wnętrze ewolucji ludzkości. Na liniach faktów, oświetlonych niezrównaną wnikliwością analiz, rozpraszają się tajemnice dotychczasowych antynomij i nierozwiązalności, o które rozbijały się próby wtłaczania sfery moralnej w dyscyplinę norm intelektualnych. Znika odwieczna przepaść oddzielająca kompetencję myśli ścisłej od kompetencji doświadczeń religijnych. Zrozumiałemi stają się mechanizmy ideologicznych zagmatwań i politycznych tragizmów wynikających z pomieszania dwuch różnych porządków : porządku społecznego i porządku humanistycznego. A równocześnie głębokiego biologicznego sensu nabiera rola indywidualnych wzlotów ducha ludzkiego. Rola bohaterów którzy przykładem swego życia czy przykładem swej śmierci podnosili moralną postawę człowieka ponad jej naturalne widnokręgi, rola natchnionych artystów kierujących ludzkie uczucia na bezinteresowne, wewnętrzne perspektywy zjawisk, a przedewszystkiem rola wielkich mistyków których bezpośredni kontakt z samą istotą życia nadaje ich doświadczeniom znaczenie najwyższej orjentacji, nie tylko religijnej ale i metafizycznej.

* * *

Niejednokrotnie w dziejach filozofji na szczytach dociekań ścisłych czynione były próby pojednania najwyższych hipotez rozumu z najwyższą zasadą wiary. Ale od arystotelesowej Pierwszej Przyczyny do heglowskiego Absolutu pojęcie Boga zjawiało się jako koncepcja intelektualna, djalektyczny kompromis z niedającą się pominąć sferą pozarozumową, konstrukcja słowna piękna w swych wiązaniach, ale wiejąca chłodem czystej umowności. W *Les deux sources* drogi wiodące do wielkiego spotkania na szczytach są drogami odkryć biologicznych, otwierających jedynie pewien kierunek prawdopodobieństwa. Ale kiedy spojrzymy wstecz, wzdłuż wielkich etapów, któremi poprzez zawiłość zjawisk prowadzi nas jasna myśl Bergsona —widzimy jak owo prawdopodobieństwo wyłania się i rośnie, by wreszcie tchnąć w nas powiewem rzeczywistości, której niewyrażalność staje się zrozumiała i której charakteru zaczynamy jakgdyby dotykać w Jego najgłębszym atrybucie, czy może w Jego istocie, w Miłości.

8.

Zjawiając się w epoce kiedy myśl ludzka, zaplątana jeszcze w dogmatyzmie epigonów Kanta, stanęła przed groźbą utracenia swych atrybutów duchowych w więzach materjalizmu naukowego—dzieła Bergsona przebiegły przez świat jak dreszcz niespodziewanej nadziei. Przynosiły one hasło wyzwolenia myśli z mroku jej odwiecznych zawikłań. A przytem przynosiły coś znacznie więcej niż tylko druzgocącą trafność uzbrojonych w najwyższe kompetencje argumentów. Po raz pierwszy w dziejach filozofji przynosiły powiew autentyczności odkryć.

Ożywcze tchnienie tego powiewu obiegło szybko całą kulę ziemską, pociągając za sobą nie tylko wrażliwsze umysły ale i gorętsze serca i roztaczając wkrótce dokoła imienia Bergsona aureolę sławy, jakiej żaden chyba przed nim filozof za życia nie zaznał. Niezwykły urok jego wykładów ściągał wielbicieli z najodleglejszych nieraz stron świata, a poczytność jego książek, tłumaczonych na wszystkie niemal języki, wykraczała daleko poza sferę akademickich specjalistów. Zarówno powszechność poruszenia jakie we wszystkich prawie środowiskach umysłowych wywołały jego dzieła, jak i namiętność obudzonych polemik—świadczyły, że myśl jego dotykała najistotniejszych głębi duszy ludzkiej.

Wpływy wielkich filozofij na sąsiednie sfery aktywności człowieka musiały zazwyczaj czas dłuższy dojrzewać w interpretacjach ściśle fachowych, zanim w formie idej pochodnych zaczynały być szerzej użytkowane. Drogi, jakiemi poszły w świat wpływy Bergsona, były odrazu odmienne. Poprzez złożoność trudnych nieraz analiz wrażliwsze umysły wyczuły powiew płynący od samych źródeł życia i dlatego pierwsze wpływy, w kształcie pewnych postaw duchowych, wycisnęły się odrazu w najróżnorodniejszych dziedzinach w których aktywność myślowa człowieka dotyka życia bezpośrednio. Poruszyły one artystów, którzy jak Proust próbowali reintegrować w technice twórczej odsłonięte przez Bergsona aspekty świadomości. Natchnęły rewolucjonistów, jak Jerzy Sorel, buntujących się przeciw ciasnocie djalektyki materjalistycznej. Podchwycone zostały przez filozofów kultury, jak Stanisław Brzozowski, który dla bergsonowskiej metody odtwarzania źródeł przeszłości tak owocne i tak głębokie potrafił znaleźć zastosowania. Wreszcie, jak w wypadku najwybitniejszego ucznia Bergsona i jego najłębszego dotychczas interpretatora, Edwarda Le Roy, wzbudziły instynktowną akceptację wielu myślicieli katolickich, wyczuwających poprzez bergsonowskie rewelacje pierwszy poważny pomost przerzucony ze świata rozumu do świata zjawisk religijnych.

Natomiast najmniej głębokiego zrozumienia znalazło dzieło Bergsona w świecie filozofów zawodowych. Poruszyli się oni wprawdzie wszyscy, przejęli się dość powszechnie, choć dość powierzchownie, trafnością jego krytycyzmu, rozwinęli ożywione polemiki nad tezami jego teorji poznania, problemem intuicji, teorją intelektu, nad stosunkiem jego filozofji do nauk ścisłych i do mistycyzmu; najwięksi ze współczesnych mu myśliciele niewątpliwie uwzględnili niedające się pominąć aspekty jego teorji rzeczywistości, bądź jak William James licząc się z niemi przy pewnych modyfikacjach swych poglądów, bądź jak Łosskij lub profesor Whitehead wprowadzając bardzo podobne odkrycia do swych systemów i usiłując pogodzić je z resztkami tradycyjnych koncepcyj świata. Naogół jednak filozofowie zawodowi, zwolennicy czy przeciwnicy, prawie wszyscy usiłowali wtłoczyć to nowe zjawisko w ramy interpretacyj akademickich, w których istotna treść odkryć Bergsona gubiła się między słowami.

Nic w tem zresztą dziwnego. Z istoty każdego wielkiego odkrycia wynika, że idzie ono jakgdyby naprzełaj wszystkich zastanych porządków.

Zrozumienie jego wymaga przezwyciężenia całej rutyny umysłowej, od najgłębszych jej podstaw do najdrobniejszych nawyków. Wymaga generalnego przestawienia nie tylko pojęć ale i podłoży te pojęcia wytwarzających. Wymaga nowej wyobraźni.

9.

Bergson otworzył perspektywy, których praktyczne znaczenie dla ludzkości przekracza daleko wszystkie akademickie sensy filozofji, a w swych przedłużeniach wychyla się niemal poza horyzonty dzisiejszej naszej widzialności. Ale przedewszystkiem dokonał on wielkiego uporządkowania podstawowych pojęć orjentacyjnych człowieka. Odsłonił przyczyny, dla których myśl ściśle logiczna osiągać może sukcesy jedynie w sferze porządku materjalnego, nie może natomiast uchwycić głębokich nurtów innego porządku, porządku witalnego, którego istotą jest twórczość ; równocześnie jednak, stwarzając metodę systematycznej współpracy myśli ścisłej z intuicją, otworzył drogę do stopniowego orjentowania się w głębiach tego drugiego porządku. Ustalił rzeczywiste kompetencje nauk pozytywnych i ukazał przyczyny złudzeń scientyfizmu, owej magji nowożytnych czasów, wierzącej w możność naukowego opanowania twórczych procesów życia. Wykrywając biologiczny charakter mistycyzmu, usunął przepaść dzielącą myśl ścisłą od świata wiary i otworzył w ten sposób perspektywę przezwyciężenia tej największej antynomji moralnej człowieka. Wreszcie, w głębokich mechanizmach społeczeństwa ukazał źródła nieporozumień i tragizmów wynikających z pomieszania przeznaczeń i możliwości rozumu z przeznaczeniami i możliwościami motorów moralnych.

Dziś, kiedy technika życia zbiorowego staje się z dnia na dzień coraz bardziej złożoną i kiedy człowiek zaczyna wydobywać z materji tak potężne możliwości energetyczne, że dalsze pozostawianie ich w rękach instynktów prymitywnych może już wkrótce doprowadzić ludzkość do zbyt kosztownych absurdów—dziś bardziej niż kiedykolwiek chaos w pojęciach staje się sprzymierzeńcem ciemnych sił natury i bardziej niż kiedykolwiek trafność głębokiej orjentacji zaczyna być niezbędnem narzędziem wszelkiej dobrej woli.

Dynamika społeczeństw tkwi zawsze swemi korzeniami w prymitywnych tendencjach natury. Wszędzie, gdzie złudzenia intelektualizmu usiłują zbyt długo zatrzymywać duchową płynność życia w ramach instytucyj zbyt sztywnych lub praw zbytnio ze świata materji zapożyczonych—prymityw wślizguje się niepostrzeżenie, by któregoś dnia ramy te rozsadzić. Natura otacza nas ze wszystkich stron, czyha na każdy nasz krok, na każdy odruch naszej myśli i woli. Jest tam, gdzie jej obecności nawet nie podejrzewamy. W postawach, które wydają się nam tryumfem naszej wolności, przemyca elementy swojego nad nami tryumfu. Któż rozpoznawał jej podszept, kiedy w poetyckich modlitwach o skrzydła planowała kształty bombowca ! . .

Ale, jak nieraz powtarzał Bergson, niema takich fatalizmów, którym zorganizowana wola ludzka nie zdołałaby zapobiec, jeśli tylko w porę się do tego zabierze.

I to właśnie zabieranie się w porę, działanie zanim fatalizmy nie zaczną działać, jest może najistotniejszym atrybutem prawdziwej mądrości politycznej. Żeby jednak ten atrybut zdobyć, polityka musi widzieć rzeczy głębiej, musi operować wysiłkami idącemi przeciw przyrodzonym automatyzmom myślenia, musi utrzymywać kontakt z wielkiemi źródłami zjawisk.

W sferze życia czynnego, tak jak w sferze czystych dociekań, automatyzmy naszego intellektu prowadzą do stwarzania problemów fikcyjnych i mimowolnego zaciemniania istotnych kierunków rzeczywistości. Werbalizm, czyli trzymanie się znaczeń słów a nie znaczeń życia, był, jak wykazał

Bergson, główną przyczyną błądzenia filozofji w sztucznych labiryntach. Ten sam werbalizm, przedostajac się do polityki, wytwarza rodzaj wewnętrznego deklamatorstwa usypiającego sumienie, rodzaj oportunistycznej skłonności do zastępowania rozwiązań rzeczywistych rozwiązaniami słownemi. Mnożąc się przez ilość produkujących go głów, staje się przyczyną niebezpiecznych zaniedbań i błędów, tem groźniejszych że zawsze wychodzących najaw zapóźno, bo dopiero w ogniu i krwi jakiegoś wybuchu. I jeśli zważyć jak poważną rolę w dzisiejszej złożoności życia posiada czynnik miarodajnej interpretacji wydarzeń, to niewiadomo co bardziej przyczynia się do rozrostu nowoczesnych katastrof politycznych : czy ambicje jednostek wysuwanych od czasu do czasu na czoło przez prymitywną naturę społeczeństw, czy owa intelektualna inercja przerażającej większości mężów stanu, dyplomatów i polityków, którzy, rezygnując z wysiłków wznoszenia się ponad swą rutynę, bez skrupułów ześlizgując się w łatwiznę miraży fabrykowanych automatycznie przez dialektykę, opierając w rezultacie swoje opinje o wiedzę wtórną, czysto syntetyczną, i tracąc tym sposobem kontakt z głęboką treścią zjawisk, mimowoli stają się maszynami do pomnażania każdego błędu i reprezentantami najszkodliwszego bodaj typu umysłowości ludzkiej, typu, który Bergson nazywa *Homo loquax* w odróżnieniu od *Homo sapiens*.

* * *

Myśl filozofa jest postawą czystej bezinteresowności : szuka ona istoty rzeczy, a nie jej aspektów praktycznych. Ale filozofja, którą zapoczątkował genjusz Bergsona, nabiera równocześnie innego charakteru : staje się systematyką mądrości życiowej. Staje się jedyną nauką wprowadzającą nas we wnętrze czysto duchowych procesów życia, w kulisy wielkich regulatorów ludzkiej woli.

Jesteśmy jeszcze za blisko. I dopiero przyszłość znajdzie właściwe miary dla ocenienia zasługi myśliciela, co rozum ludzki, zbłąkany we własnych labiryntach, na proste wyprowadził drogi, następcom swoim na tych drogach mądre drogowskazy poznaczył, a odchodząc zostawił nam klucze do tajemniczych mechanizmów naszej równowagi, która w swych głębiach była, jest i zawsze będzie połączona poprzez społeczeństwo z instynktem zwierzęcia, a poprzez ludzkość z perspektywą Boga.

H. G. WELLS.

MÓZG ŚWIATA.

Pragnę na wstępie przytoczyć raz jeszcze pewne stwierdzenia faktyczne, które w ciągu ostatnich kilku lat niejednokrotnie powtarzałem. Znaczenie ich wydaje mi się tak żywotne, że przewyższa ono znaczenie wszystkiego innego coby można w chwili obecnej powiedzieć o życiu lub o świecie. Jasnem jest jednak, że dla większości ludzi, którzy wysłuchali tych stwierdzeń, nie mają one żadnego wogóle znaczenia. Nie mówią o nich. Nie zaprzeczają im. Poprostu postępują tak, jakby nic nie zostało powiedziane.

Chciałbym więc obecnie omówić tę akustyczną ślepotę, tę możliwość przemawiania w próżni. Pragnę skupić uwagę na fakcie, że to co nazwę Mózgiem Świata, nie jest w rzeczywistości nawet skoordynowanym mózgiem, że jest tylko bełkotem niewysłuchiwanych i nieuporządkowanych wypowiedzeń, że mówimy i wykrzykujemy pewne słowa jedni do drugich, nie słuchając się wzajemnie, że gdyby jakiś wielki i ponadludzki rozum w dalekiej przestrzeni postawił pytanie: " O czem myśli obecnie Człowiek, Homo Sapiens ? " odpowiedź musiałaby brzmieć: " Jest w gorączce. Do niedawna bredził o najrozmaitszych sprawach, obecnie jednak w wielkim bólu budzi się i mówi głośniej."

" Do czego zmierza ? "

" Do niczego. Poprostu mówi jedno po drugim i nie ustaje nawet by rozważyć to co sam przed chwilą powiedział."

Więc chcę jeszcze raz wrócić do tych wielokrotnie powtarzanych słów, które najwidoczniej nikomu niczego nie mówią.

Pierwsze. W ciągu ostatnich czterdziestu lat warunki życia ludzkiego uległy zasadniczemu przewrotowi. Warunki te zmieniły się tak gruntownie, że Homo Sapiens nie może nadal tak żyć, jak żył przez ostatnie kilkadziesiąt tysięcy lat. Jak każdy inny rodzaj zwierzęcia, musi przystosować się do zmian zaszłych w warunkach jego bytowania lub zginąć jako rodzaj. Może zaniknąć doszczętnie lub też może ulec przemianie w inny rodzaj. Trudno nam przypuścić aby pozostał taki jakim jest i chodzi o to, czy potrafi dostosować się dostatecznie szybko, by stać się stopniowo super-Homo, rodzajem wznoszącym się czy też jednym z degenerujących się sub-ludzkich gatunków, lub czy też zupełnie nie zdoła się przystosować i skończy się na zawsze.

Pozwolę sobie omówić nieco szerzej tę sprawę i przypomnieć niektóre prawdy z dziedziny ekologji.

Doświadczenia przeszłości na ogół nie potwierdzają przypuszczenia, że gatunek człowieczy się utrzyma. W przeszłości, dominujące gatunki, grupy i rodzaje zwykle znikały z powierzchni ziemi w chwili gdy znajdowały się u szczytu swego panowania. Pogląd, że zginęły w walce o byt jest przestarzałym nieporozumieniem ekologicznym. Poprostu nie umiały się przystosować. Bezpośrednią reakcją ich na zmianę warunków było wytworzenie pewnych mutacyj z których niektóre utrzymywały się przez jakiś czas, lecz nie miały w sobie elementów utrzymania się przy życiu na trwałe. Tak n. p, stało się z dinosaurami i dinotheriami. Ich faza końcowa była wznoszeniem się, a jednak zanikły.

Czy w wypadku tego stworzenia, które nazywamy Homo Sapiens istnieje cokolwiek coby usprawiedliwiało naszą wiarę, że spotka go inny los ? Tak jest. A jest to jego dar słowa. Niemal całkowicie, aczkolwiek niezupełnie, tym czymś jest dar słowa. Można mu mówić o rzeczach. Może słuchać i uczyć się. Żadne inne zwierzę nie może tego doznać.

Homo Sapiens może przystosować się po tysiąckroć szybciej aniżeli każde inne zwierzę. Każde pokolenie Homo Sapiens może poznać to przystosowanie myślowe, które zmienione warunki narzuciły poprzedzającemu go pokoleniu. Jeśli zmiana nie poszła zbyt daleko, może zmienionym warunkom sprostać przez odmienną tradycję postępowania. Jeśli zmiana nie poszła zbyt daleko.

I tak, w ciągu ubiegłych kilkudziesięciu tysięcy lat, które stanowiły przebieg życia tego osobliwego zwierzęcia, dotrzymywało ono kroku zmieniającym się warunkom swego bytowania. Wynalazki i odkrycia przemieniły zarówno wojnę jak i życie gospodarcze, poszerzyły jego ugrupowania społeczne, nie dość szybko jednak by prześcignąć jego zdolność myślowej adaptacji. Do roku 1900 wzrósł liczebnie i wzmocnił się w panowaniu nad resztą życia tej planety z chyżością przekraczającą wszystkie poprzednie fazy ewolucji zwierzęcej. Miljon lat temu różnorodne gatunki Hominidoe stanowiły grupę rzadkich, nieczęstych zwierząt. W tym krótkim okresie czasu geologicznego, jeden z tych gatunków wyłonił się z tej ciemności by stać się, jak to się mówi, Panem Stworzenia. I w tymże okresie swego wznoszenia się ku panowaniu, zasiał z równym pośpiechem ziarna swej własnej biologicznej zagłady.

Wróćmy teraz do stwierdzenia tego co zaszło w ciągu ostatnich czterdziestu lat.

Więc przedewszystkiem, głównie z powodu awjacji, radja i ulepszonych środków komunikacyjnych nastąpiło coś, co zostało nazwane niemal całkowitym zniesieniem odległości. Wypadki znane są niemal równocześnie w całym świecie. Na szczęście czy nieszczęście, ludzie mogą się przenosić z jednego końca ziemi na drugi w ciągu jednego czy dwóch dni. Z bombami, lekarstwami czy jakimikolwiek innymi artykułami. Odległości, które uzasadniały istnienie odrębnych suwerennych rządów, znikły. Zbiegły się wszystkie na całej rozciągłości wzajemnych granic. Żyjemy jedni na progu drugich, ludzkość stała się jedną zbiorowością. W roku 1900 byłoby fizyczną niemożliwością zarządzać sprawami ludzkimi w ramach jednego wszechobejmującego systemu pokojowego. Rządy mogły utrzymywać pokój na bardzo rozległych obszarach, ale nie w skali światowej. Zniesienie odległości sprawiło, że obecnie jest to nietylko możliwe, ale w obliczu samolotów bombowych i totalnych sposobów prowadzenia wojny, nagląco pożądane.

Przejdźmy teraz do drugiego z moich punktów: w ciągu ostatnich czterdziestu lat miało miejsce oszałamiające zwiększenie naszej zdolności wyzwalania i użytkowania energji materjalnej. W roku 1900 świat człowieka był światem względnego niedostatku. Dla znacznej większości ludzi był to świat znoju, współzawodnictwa i nieuniknionych niemal nierówności społecznych. Dziś jest to świat przytłaczająco obfitej energji materjalnej. Potrzeba samego znoju ludzkiego szybko sie zmniejsza do punktu zanikania. Nie ma użytku dla istot ludzkich niekwalifikowanych lub tylko wyćwiczonych i kwalifikowanych do wykonania jakiejś ściśle oznaczonej pracy: muszą one również przystosowywać się rozumnie do nieustannie zmieniającego się świata. Coraz mniej istot ludzkich jest potrzebnych dla zaspokojenia popytu spożywców, ograniczonych w swym spożyciu poglądami na prawo własności i posiadanie i metodami finansowymi, które przetrwały niemal bez zmiany od poprzedniej epoki. Warunki zmieniły się całkowicie, gdy tymczasem myśmy nie zaczęli jeszcze zmieniać naszego odnoszenia się do nich.

Dlatego też to, co zostało nazwane bezrobociem technologicznym, stało się jednym z najbardziej palących zagadnień społecznych. Wszędzie pojawia się nadwyżka młodych, pełnych żywotności ludzi, którym nasz

obecny świat nie daje żadnych widoków zadawalającego życia. Są więc gotowi do każdej swawoli i przyjmą każde przywództwo mające w sobie choćby strzęp jakiejś zapowiedzi i podniety. Ostatnie cztery dziesiątki lat obejmują dzieje zniszczenia starego porządku społecznego i politycznego przez niewyżytych, niezadowolonych i źle kierowanych młodych. Huligani, apasze, kawalerowie księżyca i anarchiści ostatnich lat ubiegłego stulecia przeobrazili się we współczesnych gangsterów, Ku-Klux Klanistów i t. p. Rozwinęli oni nielegalne organizacje. Sprzymierzyli się z politykami, aż wreszcie ich gniewny terror objął całe narody i cały świat. Ich ślepy bunt przeciwko unicestwieniu, ich pragnienie przewodzenia doprowadziło do tej najstraszliwszej wojny w całym toku ludzkich doświadczeń.

Upadający, przeżyty porządek społeczny i polityczny, w którym żyjemy nie przewidział tej sytuacji i nie przygotował żadnego środka zaradczego. W Ameryce doradzał: " Jedź na Zachód młody człowieku." Dziś młody człowiek dotarł do Pacyfiku i spoglądając na drugą stronę oceanu, widzi stłoczone wyspy Japonji. W Anglji i w Europie zachodniej mówiliśmy, " Emigrujcie." Ale dziś wszelkie możliwe obszary kolonjalne są przejęte na własność i gdy Niemcy domagają się Lebensraumu, mają na myśli kolonizację na cmentarzyskach innych narodów.

W mniej obfitej przeszłości nacisk ludzi młodych nie był tak wielki, stało przed nimi służalcze lecz dostateczne życie, a różne księstewka odprężały napięcie nadwyżkowe w drodze wojen. Nasi władcy i dziś nie mają innego wyjścia aniżeli wojny i pozwolili na rzeź tych kłopotliwych młodych ludzi dochodzącą do trzech czy czterech miljonów w ciągu stu dni. Jednak jest to tylko dorywczy półśrodek na zwichnięcia społeczne. Zabijanie nie ogranicza się dziś do ludzi młodych i spadek żywotności ludzkiej dotyka całe społeczeństwo. Samo zmniejszenie liczby ludności nie załatwia zagadnienia. Nawet przy mniejszej liczbie ludności i przy mniejszych możliwościach władzy, proporcja niezadowolonych młodych ludzi pozostanie zawsze ta sama. A gdy ta obłędna i bezkształtna wojna ustąpi miejsca równie idjotycznemu i bezplanowemu pokojowi, pozostanie przed nami w większym jeszcze rozmiarze to zagadnienie ludzi młodych bez widoków na przyszłość.

Przed społecznością ludzką stanie zupełnie nowe pokolenie, zaprawione jedynie do walki, pytając: " A co z nami zrobicie *teraz* ? "

Jakie są nasze przygotowania na ten wypadek ?

Śmiem twierdzić, że prawdopodobnie okażą się niedostateczne wobec wyzwania rzuconego przez tych młodych ludzi, których przyzwyczailiśmy jedynie do zabijania.

Ci młodzi wrócą, niecierpliwi tą niecierpliwością młodych i zapytają, " Co uczynicie dla nas *tym* razem ? "

I cóż uczynimy dla nich tym razem ?

Wobec zniesienia odległości i przypływu bezplanowej obfitości, państwo współczesne coraz bardziej upodabnia się do poczciwego starego okrętu, który odegrał swoją rolę w wymianie światowej i został obecnie pośpiesznie wydzierżawiony dla odbycia dalekiej i niebezpiecznej podróży i wyposażony w olbrzymie, nowe maszyny, zupełnie niewspółmierne z wytrzymałością kadłuba . . . Które to maszyny najwidoczniej i w olbrzymim tempie roztrzęsują stary okręt w kawałki.

Jak dotąd stwierdzałem oczywiste fakty, na które z niewiadomych powodów świat i dziś jeszcze nie zwraca żadnej uwagi. Obecnie przejdźmy do trzeciego podstawowego aspektu zagadnienia ludzkiego, które wciąż jeszcze jest niemal całkowicie nieuwzględniane w tym steku patryjotycznej i stronniczej propagandy, przesądów i anegdot określanych mianem historji, w naszych szkołach i uniwersytetach. A jest nim to: Państwa i społeczności

kształtowały wspomniane nasze historje. Są one już ssakami, aczkolwiek zawsze jeszcze traktujemy je jakgdyby były płazami czy amfibjami, z których się rozwinęły.

Porównajmy dla przykładu Anglję elżbietańską z Anglją dzisiejszą. Rozważmy na początek podział ludności według wieku. Świat elżbietański był światem młodocianym. Mimo ostrej selekcji wśród niemowląt i dzieci, krzepcy starcy rzadko osiągali siedemdziesiątkę i przeważnie umierali przed pięćdziesiątką. Głównym zajęciem kobiet było rodzenie dzieci i grzebanie dzieci. Dentystyka była nieznana i wystarczyło by mężczyznie czy kobiecie wypadły zęby, by romans się kończył. Młodość była zaiste tworem nietrwałym. Młodego Romea zamknęlibyśmy dziś w więzieniu za romans z nieletnią Julią. Ulice były brudne. Istniały czasem wodociągi, ale nie było bieżącej wody na użytek domowy. Zwyczajni obywatele byli brudni i cuchnący. Ludzie chodzili uzbrojeni i używali broni w burdach i w samoobronie. Temperament społeczeństwa był popędliwy, swawolny, powierzchowny i lekkomyślny jeśli sądzić według kryterjów współczesnych, przyjętych w wielkich państwach demokratycznych.

Rozważmy następnie stan oświaty w tamtych czasach. Masy były zbiorowiskiem zupełnych analfabetów. Nie miały w sprawach społecznych większego znaczenia aniżeli zwierzęta domowe. Można je było wtrącić w popłoch lub skłonić do zaburzeń, ale nie wiedziały niczego. Rozstrzygnięcia polityczne wychodziły z Dworu, a Kościół i Sądy dostarczały koronie ministrów. Szkoły elementarne króla Edwarda wydawały niekiedy jakąś osobliwość pochodzącą z warstwy średniej w rodzaju niejakiego Williama Szekspira, bedącego najznamienniejszą z nich. Aż do czasu wojen napoleońskich, prowadzenie wojny, organizacja i kontrola handlu były podobnie całkowicie niedostępne dla ogółu ludności. Te państwa i społeczeństwa przeszłości miały mózgi warstwy górnej ale masa ludności nie miała niczego coby można mózgiem nazwać.

Dziś wszystko to uległo zmianie. Pod naciskiem tych samych sił, które skasowały ludzi znoju, sztuka pisania i czytania upowszechniła się tak, iż cała społeczność jest dziś poinformowana i uświadomiona. Niema już warstwy niezbudzonej i nie śledzącej tego co się dzieje. W Anglji znaleść można młodych ludzi, wyrosłych na zapomogach dla bezrobotnych, którzy spędzali czas w bibliotekach publicznych, kupowali sześcio-pensowe wydawnictwa książkowe i dziś są o wiele lepiej oczytani, aniżeli wielu młodych ludzi wychowanych w szkołach uprzywilejowanych i zawsze jeszcze pretendujących do monopolizowania rządów w swym ręku.

We współczesnej nam Anglji istnieją dwie rzeczy pokrewne, które nawet w formie prymitywnej były nieznane w Anglji elżbietańskiej, mianowicie reklama i propaganda. W naszych szkolnych podręcznikach historji nie ma słowa o szybkim rozwoju w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu masowej produkcji i masowej sprzedaży gazet utrzymujących się z ogłoszeń. Naraziłyby się wielkim przedsiębiorstwom handlowym gdyby to uczyniły. A przecież to rzecz, którą każdy młody człowiek powinien wiedzieć.

Dopiero dziś, na pełnej fali wojny totalnej, zdaliśmy sobie sprawę jak przepotężnie wpływa to przenikanie oddźwięków na cały światopogląd człowieka. Z drugiej strony, mamy pewne systemy starej i wypróbowanej blagi, mamy zorganizowaną blagę handlową, blagę bezdusznych organizacji religijnych, blagę stanowisk i przywilejów, wszystkie daleko posunięte w rozkładzie i znajdujące się w konflikcie z brutalnym realizmem gwałtu, zastraszania, okrucieństwa i kłamstwa. Wojna między blagą i gwałtem. Konflikt ten zbiega się z grubsza z formalnymi granicami państw prowa-

dzących wojnę. Nie zupełnie jednak. W poprzek walki dostrzegamy wysiłki rozumnej mniejszości wyłuskania z tego chaosu jakiejś dorzecznej koncepcji życia. Taki jest w chwili obecnej stan Mózgu Świata i dlatego ostateczne rozstrzygnięcie przeznaczenia ludzkiego tkwi w tej wojnie propagandowej.

Chciałbym w kilku słowach wspomnieć o sytuacji ludzkiej z punktu widzenia prostego, zdrowego rozsądku. Jasnym jest, że jeśli na ziemi ma zapanować pokój, musi powstać federalna kontrola powietrza i środków międzynarodowego transportu.. Pozatym musimy uratować naszą planetę od zniszczenia grożącego jej ze strony bezwzględnego politycznego lub handlowego przywłaszczenia, co możemy uczynić przez przyjęcie projektu Gifford Pinchot'a Federalnej Kontroli Zasobów Świata. Po trzecie musimy narzucić światu w formie kardynalnego prawa prostą Deklarację Praw Człowieka, która każdemu człowiekowi zapewni należny mu w tych zasobach udział i tchnie w niego poczucie odpowiedzialności za władanie naszą planetą. To są te trzy oczywiste imperatywy, uparcie narzucające się Homo Sapiens.

Te trzy imperatywy są tak proste, że uzasadnianie ich byłoby obelgą dla czytelników. Co jednak nie jest tak proste, to powody, dla których te trzy imperatywy traktowane są przez masy ludzkie na całym świecie jako komunały lub nieosiągalne absurdy i przyczyny naszej bezsilności w skłonieniu Mózgu-Świata do ich przyjęcia. Narzuca się odpowiedź będąca stwierdzeniem, że Mózg-Świata jeszcze nie istnieje i że stoimy wobec olbrzymiej demencji, że gdy wyjdziemy poza nasze względnie oświecone koła, wejdziemy w krąg nieruszającego z miejsca pomieszania pojęć, i wrzasku niezdającego sobie sprawy z gotującego się dlań losu. Dlatego uważam za niezbędne zbadanie natury i jakości potencjalnego Mózgu-Świata i dlatego musimy zastanowić się czy my, ludzie nauki, mając pewien tytuł do uważania się za intelektualnych suflerów ludzkości, wypełniliśmy cały nasz obowiązek w tej sprawie ludzkiego uświadomienia.

Zamierzyłem dziś wyczarować Zjawę i zaprosić ją do wzięcia udziału w tej dyskusji. Ta Zjawa jest groźniejszym duchem aniżeli biedne, nastraszone, niepochowane i niepomszczone widma przeszłości. Zjawa znajdująca się wśród nas w tej chwili, stojąca obok mnie i demaskująca nasze własne udanie, przemawiająca do naszej energji i odwagi, to Nowy Porządek Świata, którego powstanie zależy od nas samych.

" Mówicie—przemawia Zjawa—o Nowym Porządku Świata. Jest to najoczywiściej niemożliwe bez Mózgu-Świata. A Mózg-Świata wymaga języka, w którym ludzie mogliby wymieniać myśli od jednego końca federacji do drugiego. Co dla tej sprawy robicie ? "

Robimy dla tej sprawy tak nie wiele, że ludzie zawsze jeszcze powtarzają ospale i mechanicznie, że nawet to minimum rozumnego porządku świata pozbawi ten szeroki świat jakieś odmiany piękna istniejącego obecnie. " Coż za straszliwa monotonja," zwykło się mówić.

Wezwałbym tych ludzi do spojrzenia na świat w chwili obecnej i do zdania sobie sprawy, że ta rzekoma różnolitość jest fikcyjna. Na całym świecie, od Chin do Peru widzimy masy ludzkie przybrane w podobne mundury, poddawane tej samej mustrze i miasta doznające podobnych przemian na skupiska baterji przeciw-lotniczych, balonów zaporowych, schronów podziemnych itd. Gdziekolwiek się zwrócimy, na wschód czy na zachód, przekonamy sie, że wszędzie te same sklepy należące do jednego trustu, sprzedające standardyzowane towary, już zrównały ludzkość do tego samego poziomu powszedniego życia. Ludzie mieszkają w jednakowych domach, ubierają się podobnie, jedzą te same rozmamłane potrawy i zażywają, ze swą szkodą, tych samych reklamowanych lekarstw. Gdziekolwiek

kwitła jakaś miejscowa sztuka piękna, zagarniał ją niedozorowany komiwojażer wielkiego businessu, podnosił cenę materjału, barwników, czy tkanin, metalów czy innych jej części składowych, by naśladownictwem zwulgaryzować wytwory tej sztuki. Federalna Konserwacja Zasobów Naturalnych i Deklaracja Praw i Godności Człowieka nie tylko nie przyczyniłaby się do zmonotonizowania ludzkości, lecz przeciwnie, dała by daleko idącą ochronę przywróconej istocie tych narodowych różnic. Federacja Światowa nietylko w dziedzinie politycznej federacji Świata, lecz rozszerzona na dziedzinę gospodarczą i prawną, zabezpieczyłaby istnienie różnic lokalnych na całym świecie.

A teraz zastanówmy się nad sprawą języka. Potrzebny nam jest wspólny język, w którym moglibyśmy omawiać uniwersalne sprawy ludzkości, wspólny wehikuł dla politycznej, naukowej, filozoficznej i religijnej interkomunikacji. Musi to być wielki i giętki język wspólny, ale to nie przeszkodzi nikomu być dwujęzycznym czy też poliglotą. W niedawnej przeszłości zwalczających się dynastyj i ministerstw spraw zagranicznych, których musimy się pozbyć, jeśli nie chcemy zginąć, zakazy językowe w różnych częściach świata były próbą napastniczych rządów pożarcia i asymilacji narodów obcych, co oczywiście wywoływało opór przeciwko używaniu języka mocarstwa napastniczego. Bojkot narzuconego języka był punktem honoru. Z chwilą jednak, gdy takie próby eksterminacji języków ustaną, zniknie sprzeciw przeciwko nadaniu Mózgowi-Świata światowego języka.

Wyobrażam sobie, że na całym świecie ludzie będą używali języka potocznego, ojczystego, języka pieszczot i żartów, misternej poezji i stosunków osobistych. Co więcej, niema powodu, dla którego język uniwersalny nie miałby być mówiony najróżnorodniejszymi akcentami i w różnych intonacjach, o ile tylko byłby uniwersalnie rozumiany. Nie widzę, dlaczego żądanie naszej Zjawy ze Świata Nadchodzącego, wprowadzenia języka uniwersalnego miałoby przeszkadzać energicznemu uprawianiu dziesięciu języków miejscowych, z chwilą, gdy wyzwolone zostaną z przypadkowego związku z psotnictwem politycznym.

Przejdźmy teraz do sedna moich rozważań, którym jest pytanie, czy my sami—a mam tu na myśli socjologów, ekologów rodzaju ludzkiego, inteligencję światową i wogóle ludzi naszego pokroju—czy my sami istotnie spełniamy nasz obowiązek, czy robimy wszystko co leży w naszej mocy, by wyjaśnić zagadnienie metod i organizacji tego Mózgu-Świata ujętego w język światowy ? Zadanie to musi być spełnione i tylko my sami możemy opracować prosty i określony plan rozwiązania. Cośmy naprawdę uczynili w tej sprawie ? Co mamy gotowego na tyle, by było bezsporne ? O ile mogłem wybadać, nie mamy nic prócz znacznej ilości luźnego i nieprzetrawionego materjału, szczęśliwych pomysłów z rodzaju tych jałowych oświadczeń, których ludzie słuchają ze zbudowaniem, i nazywają je pokarmem duchowym by niezwłocznie o nich zapomnieć.

Zdaję sobie sprawę, że niektórzy z nas zaczynają mieć wątpliwości czy to wystarcza.

Stopień współpracy w różnych dziedzinach aktywności ludzkiej, którą określamy wspólnym mianem " nauki " ma dużą rozpiętość. W dziedzinie mechaniki i fizyki, w medycynie i w chemji oraz astronomii istnieje daleko idąca współpraca. Nie widzimy, by ludzie budujący mosty czy zapory wodne, wypisujący recepty lub opisujący jakieś nowe zjawisko niebieskie czynili to na zasadzie kilku nieuzgodnionych i niesprawdzonych przypuszczeń, idealistycznych aspiracyj i jakichś wysoce podniosłych powiedzeń. W tych dziedzinach, gdy człowiek doniesie o dokonanym spostrzeżeniu lub wyciąga jakiś wniosek, natychmiast się go sprawdza, robi się doświadczenia i to co powiedział albo się potwierdza, lub poprawia

albo odrzuca jako niesprawdzone. Surowiec, na którym się oparł uczony nie obciąża dokonania. Z roku na rok te dziedziny nauki, które składają sprawozdania ze swego postępu nieustannie wzrastają na sile.

Niedawno temu widziałem w Pasadena w budowie wielki teleskop Lick'a i gigantyczne to przedsięwzięcie wydało mi się jaknajszczegółowiej obmyślane. Wzbudzało niemal przerażenie. Tam czułem się jak pigmej przed obliczem gigantycznej woli i mądrości. A jednak, musimy przyznać, że budowa tego teleskopu nie jest nawet w przybliżeniu zadaniem równie ważnem, jak zadanie skoordynowania myśli i celów ludzkości.

I cóż mamy do przedłożenia naszej Zjawie i światu ?

Na długo przed urodzeniem się moim, ta kwestja uniwersalnego języka zajmowała umysły ludzi. Opracowano kilka pomocniczych, sztucznych języków w rodzaju Esperanto, Ido i im podobnych. Kosztowały sporo energji mózgowej i spowodowały powstanie znacznych organizacyj, tak iż możliwym jest dla esperantysty japońskiego udającego się do Peru, Norwegji czy Afryki Południowej porozumieć się tam z jednym czy dwoma bratnimi specjalistami. Ale nie pomoże mu to w najmniejszym stopniu do porozumienia się z resztą ludności danego kraju. Jest to organizacja podobna do światowego związku szachistów.

Przywodzi nam to na myśl tę tajemniczą ćmę, która znajduje towarzysza po przebyciu olbrzymiej przestrzeni, ale nikt jeszcze nie odkrył co to ma wspólnego z kwestją ogólnej interkomunikacji ludzkiej. Jasnem jest żeśmy mogli już dawno, gdybyśmy byli gotowi współpracować tak jak współpracują uczeni nauk bardziej ścisłych, oczyścić gąszcz nieuchwytnego chaosu wszystkich tych sztucznych języków i opracować warunki społeczne, w których okazałoby się czy są obiecujące, czy też beznadziejne i ustalić co mamy do przedłożenia naszej już zniecierpliwionej Zjawie.

Równolegle z tą dyscypliną umysłu ludzkiego idzie coraz większa skłonność rozważenia możliwości użycia jednego z istniejących języków światowych w formie uproszczonej, rozszerzonej i złagodzonej. Wiele nieuchwytnej i nieskoordynowanej pracy włożonej zostało również w to zagadnienie. Doświadczenia z Basic English prowadzone przez Ogdena, Richards'a i innych, były niezmiernie cenne w tej dziedzinie.

Na ogół opinja większości jest za użyciem angielskiego jako głównej podstawy języka światowego—nie mówię jako języka światowego, lecz jako głównej podstawy takiego języka. Na korzyść angielskiego przemawiają: obecne jego światowe rozpowszechnienie, brak w nim przypadkowania i gramatycznych powikłań i jego zdolność przyswajania słów obcych. Przeciw niemu przemawia uparty konserwatyzm warstw górnych, który zawsze jeszcze odgrywa rolę w brytyjskiej tradycji oświatowej, ściśle klasycznej i ekskluzywnej w swym duchu, która nietylko nie pomaga, ale zdecydowanie przeszkadza rozszerzeniu języka.

Jasnem jest naprzykład, że zanim język angielski będzie mógł być zaofiarowany Światu Przyszłości, trzeba będzie uprościć jego pisownię. Nie jest dziś dostatecznie prosta choć już jest prostsza aniżeli była. Ale dziś stoi przed nami Nagląca Przysłość i trzeba się zapytać co dla niej mamy gotowego ? Tu znowu stoimy przed natychmiastowym żądaniem, by wziąć się wspólnie do dzieła i domagać się określonych rozstrzygnięć.

Rozważmy następnie inny aspekt możliwości powstania Mózgu Swiata. Mamy inny, ważny, lecz nieskoordynowany jeszcze rozwój badań znaczenia i skojarzeń słów. Odkrywamy niektóre figle, które wyrządzają nam słowa. Takie naprzykład książki jak "The Tyranny of Words" skłaniają ludzi do bliższego zbadania materjału słownego, który wiódł ich ku złudzeniu, że myśleli i wymieniali wzajemnie myśli, gdy tymczasem wymieniali wyszłe z użycia i wytarte monety, które powinny być wycofane z obiegu.

Używane przez nas słownictwo, ten język, który ofiarujemy Mózgowi Świata jako najlepsze dlań narzędzie, jest wielkim oszustem, bezużytecznym bezczelnym oszustem chełpliwie przechadzającym się po naszym mózgu, w imponującej zbroji wypolerowanych komunałów. Najlepsza rzecz jaką można o nim powiedzieć to ta, że na ogół nie jest tak zły jak inne możliwe języki światowe.

Weźmy jeden przykład szkód jakie wyrządza nam niechlujne używanie słów. Przez blisko stulecie całe ludzie nierozumieli się i wyrządzali sobie wzajemnie przykrości gadaniną o konflikcie między wiedzą a religją. Spowodowała ona cierpienia duchowe, prześladowania i zakazy i zawsze jeszcze sprawia nam wiele kłopotów. Tak samo dobrze możnaby mówić o konflikcie między kwiatami polnymi a tapetami. Tu niejeden się obruszy i powie : " No, przecież wszyscy wiemy co oznacza wiedza i religja."

Nie wielu z nas wie, gdyż inaczej nie mielibyśmy tego śmiesznego antagonizmu. Ze swej strony uważam że słowo " wiedza " wprowadza nas w błąd a ma przytem posmak jakiejś aroganckiej finalności, obsolutnie sprzecznej z naszą rzeczywistą działalnością.

Słowo " religja " jest jeszcze bardziej dwuznaczne. Moglibyśmy zebrać każdą ilość sprzecznych określeń tych słów. Trudności więc były nieuniknione. To co zaszło w tym, źle nazwanym, konflikcie między Religją a Nauką jest bardzo proste. Organizacje kapłańskie, które dawniej kierowały i regulowały postępowanie zbiorowości ludzkich uważały za potrzebne wyjaśniać konflikty moralne ludzkości przy pomocy mitologji i dlatego też kapłani nierozłącznie związali kierownictwo moralne z mitologją. Zgadywali i zgadywali jak ludzie pierwotni. Wymyślili Stworzenie świata, i wynaleźli dokładną datę tego zdarzenia. Dodali do tego dzieje Raju, Grzechu i Wygnania i zbudowali na tem cały wielki i skomplikowany system wskazówek dla ludzi—czyniąc z wiary w tę mitologję istotną część życia religijnego, zaniedbując przytem wiele prawdziwie istotnych cech tego życia. Większość religijnych konfliktów, wojen i prześladowań obracała się dookoła kwestyj definicyjnych.

W miarę rozwoju filozofji naturalnej zaczęto kwestjonować tę starożytną, sztuczną mitologję. Do świadomości ludzkiej dotarły dzieje *życia w czasie* i księża i religje kapłańskie spostrzegły, że ich autorytet, ich dogmaty, ich kardynalne ceremonje i cała ich kontrola życia ludzkiego zostały zachwiane tymi nowymi odkryciami. Nie mogli dopuścić do tego by uwierzono, że możliwe jest życie religijne bez ich nieocenionej mitologji i jest zupełnie zrozumiałe, że uczynili wszystko co leżało w ich mocy, by przekonać poczciwych i prostodusznych ludzi, którzy im wierzyli, że ta nowa wiedza oznacza koniec wszystkich religij. Nie wolno im słuchać, nie wolno im zdobywać tej wiedzy.

W rzeczywistości natomiast, rosnąca świadomość wielkiej przeszłości i przypuszczalnych możliwości ludzkości, jest nie tyle końcem religji, ile jej odrodzeniem. Jakże nam jednak przeszkadza ten jeden źle pomyślany, luźnie określony frazes. Jakże ciężko przychodzi nam płacić za niedbałość i bezkrytyczność naszych słów.

W świecie spragnionym Religji Świata, która, związałaby nas jak bliźnich, nie widzimy zgoła żadnej próby zorganizowania tego pragnienia przez te martwe religje, równie martwe i niedostateczne jak martwe języki, którymi nadal przemawiają. Podobnie jak interesy finansowe i interesy własności przekazane nam przez umarłą przeszłość opierają się najoczywistszej potrzebie światowej konserwacji zasobów naturalnych, podobnie jak ciasne granice narodowe walczą obecnie do upadłego przeciwko pokojowi światowemu, opartemu na zasadzie federalnej, czynią tak i te wielkie organizacje martwych religij, ludzie, którzy powiedzieli sobie w duchu Niema Boga, mimo że na

zewnątrz upierają się przy monopolizacji Jego Imienia i chwytają się wszelkiego możliwego pomieszania pojęć, by niedopuścić do równoległego rozwoju wiedzy i solidarności religijnej, którego tak bardzo dziś świat potrzebuje.

I tu znowu mamy coś, nad czem powinnibyśmy skupić nasze myśli już teraz, a jasnem jest że krytyczne zbadanie na nowo znaczenia słów musi być jaknajśpieszniej objęte nauczaniem języka w szkołach.

Zastrzyk semantyki może wystarczyć by w znacznym stopniu uchronić nasze dzieci od powodzi bredni, które utrzymują świat w stanie jego obecnej demencji.

A teraz rozważmy inne możliwości zorganizowania racjonalnego Mózgu Świata.

Chodzi nam o zebranie i utrwalenie organizacji światowej pamięci dla tego Mózgu Świata. Musi on nie tylko przemawiać jasno i myśleć jasno, ale musi mieć również wszędzie na świecie dostęp do wszystkiego, czego się Mózg ten nauczył i co pomyślał.

I tu również widzimy cały szereg inicjatyw, które wymagają jedynie energicznego scalenia by dostarczyć materjalnej podstawy, komórek rejestracyjnych dla tego czynnika koniecznego w umysłowości świata.

Wykraczałoby daleko poza ramy moich rozważań, gdybym chciał dać pełny wykaz tego co zostało zrobione i co się robi w tej dziedzinie. Ale robi się więcej aniżeli przeciętnie wykształceni ludzie przypuszczają.

Ze swej strony podejmowałem, być może nieco dziennikarskie, niezręczne i nieatrakcyjne wysiłki, by w moim własnym umyśle zebrać ten cały materjał. Użyłem terminu " Encyklopedja Światowa " dla objęcia nagromadzonych okazów i myśli, bogactwa sztuki i wiedzy wszystkich dostępnych nam dziedzin. Encyklopedia ta objęłaby wszystkie muzea, galerje obrazów, biblioteki, archiwa, atlasy, i badania w całym świecie. Tymczasem dziś mamy tylko olbrzymi rozproszony czy też powiedzmy niedostatecznie zgromadzony, przeważnie niedostępny skarb wiedzy, i pierwszy nasz krok polegać musi na zarejestrowaniu tego podstawowego materjału.

W naukach bardziej usystematyzowanych zdołano już w znacznym stopniu uniknąć podwójnej roboty i zbytecznego powtarzania, a Dokumentacja stale powiększa zasięg tego nieocenionego katalogowania.

Równolegle z tą praca idą wysiłki spisania jak największej części zebranego bogactwa i przechowania go w bezpiecznym miejscu na czas tej orgji ślepego zniszczenia, którą przeżywamy. Temu celowi służy w coraz większym stopniu mikrofotografja. I tu znowu dokonywuje się wiele pożytecznej i obiecującej pracy. Zawartość całej biblioteki da się dziś skondesować w małym pudełku i znaczna część wczesnej literatury angielskiej została w ten sposób skondensowana, przeniesiona i zabezpieczona przed zniszczeniem. Już dziś jest możliwym wykonanie tej pracy w barwach naturalnych. Każdy obraz i budynek, maszyna lub zwierzę na świecie da się przedstawić w barwach naturalnych, a ponieważ nie ma absolutnego ograniczenia reprodukcji i dystrybucji tego materjału, filmy te możnaby rozsyłać uczonym całego świata w tem sam sposób w jaki czynią to wypożyczalnie książek. I to jest zniesieniem odległości w sferze intelektualnej.

Należy podreślić, że wszystko to nie są rzeczy, z których ludzie mogliby sobie kpić jak z utworów imaginacyjnych. Praca ta już się odbywa i nie trzeba jej niczego, prócz środków materjalnych i organizacji dla objęcia całej rozpiętości myśli i wiedzy ludzkiej. To wszystko można wykonać już obecnie dla zbiorowego wykorzystania tego co pozwolę sobie nazwać ogólnym zapasem umysłowym ludzkości.

Ale jest to tylko jeden, podstawowy aspekt Encyklopedji Świata. Ten zapas ogólny musi zaowocować, a żeby się tak stało, musimy poddać go nieustającemu procesowi trawienia. Mózg Świata potrzebuje całego tego zapasu dla rejestracji i rozważenia na nowo, ale wiele z tego zapasu zawiera rzeczy powtarzające się, fałszywe, lub wprowadzające w błąd, albo też tylko sporne, ciekawe lub przedawnione dzięki skutecznicjszym wysiłkom określenia ich, lub też zgoła pozbawione znaczenia. Ale nie możemy niczego niszczyć. Niech sobie leży na strychu. Może nam się przydać, ale w warsztacie, w którym pracuje Mózg Świata trzeba nam nietylko ogólnego lecz i szczegółowego przeglądu i dlatego niezbędne nam są setki tysięcy pracowników modernizujących i planujących na nowo te ogólne i szczegółowe zestawienia. O tym zwykle myślimy, gdy mówimy o Encyklopediach i gdybym mógł życie moje raz jeszcze przeżyć niewątpliwie zarzuciłbym określenie Encyklopedia Świata i zamienił je na " Światowy Instytut Myśli i Wiedzy."

Posiadamy już pewną ilość encyklopedji specjalnych o wielkiej wartości, ale przez długi czas Encyklopedia ogólna nie wyszła poza ramy wzoru ustalonego przed stu laty. Tamte encyklopedje uzależnione były od skrajnego komercjalizmu, i nie będzie niesprawiedliwym nazwanie ich zbiorem różnorodnego materjału ułożonego zgodnie z koncepją pomocnika księgarskiego.

Nie będę się wdawał w dyskusję sposobów przy pomocy których nieustannie sprawdzana i modernizowana encyklopedia ogólna stałaby się podstawą powszechnego wykształcenia społeczności światowej. W tej dziedzinie zrobiono zdumiewająco mało.

Ludność świata obliczana jest na 2,000,000,000 i znój fizyczny stał się absurdem. Całą tę ludność musimy wykształcić dla wspólnoty. Pomyślmy tylko co to oznacza. Ilu inteligentnych nauczycieli potrzeba, by nawet przy najpełniejszem użyciu radja, gramofonu i filmów nauczać 2,000 ludzi. Ile potrzeba umysłowego leczenia i pomocy. Ile wzajemnej wymiany usług intelektualnych ? Niech sobie to każdy sam obliczy.

Starałem się wyjaśnić w formie jakiegoś dorzecznego sformułowania te olbrzymie przedsięwzięcia, do podejmowania których ludzie są powołani w chwili obecnej.

Jest nas nie wielu. Nie jest to jednak żaden powód do zniechęcania się. Największe rzeczy na tym świecie zaczęły się od zarodków. Jest nas niewielu, ale możemy ruszyć lawinę umysłową, która oczyści świat dla nowego poczęcia. Możemy dać początek, ale jeśli tego nie zrobimy, rzecz sama nigdy się nie zacznie.

" Marzenia "—powiedzą niektórzy—" Niepraktyczne marzenia."

Być może, są to marzenia, i to nawet niepraktyczne. Ale jeśli nie weźmiemy udziału w tych marzeniach, jeśli w tym kurczącym się czasie, który nam pozostał nie uczynimy wszystkiego co leży w naszej mocy, by urzeczywistnić te marzenia, wówczas nie tylko nie zdołamy spełnić żadnego z nich, ale nowe zmory opadną zarówno nas samych jak i wszystko co mamy najdroższego na świecie.

Ja sam nie znam uczuć ożywiających gatunek, który nie zdołał się przystosować. Żyłem lat 75 w fazie wznoszenia się rodzaju ludzkiego, ale wyobrażam sobie, że nasze dzieci i wnuki, całe to młode istnienie otaczające nas, zapłaci gorzko hańbą, nędzą, ciasnotą i chorobą życia i ogólną brutalizacją, z chwilą gdy Przyroda bez pośpiechu ale i bez zwłoki, na swój sposób, dokona ich zagłady.

Mógłbym skończyć na tym. Byłby to z literackiego punktu widzenia efektowny koniec, ale nie mam prawa tego czynić. Taka jest ogólna tendencja spraw ludzkich. Ta tendencja zawsze jeszcze nastawiona jest na

katastrofę i zagładę, ale zanim będziemy mogli przystąpić do omawiania czegoś bardziej określonego aniżeli tendencje, będziemy musieli zająć się dwoma najtrudniejszymi rzeczami. Oszacowaniem kwantytatywnym, oszacowaniem czasu oraz ledwo dotychczas zauważonymi procesami psychologji mas. Być może, otwiera się przed nami faza zmęczenia i nieokreślona faza połowicznych i nieszczerych wojen religijnych. Mam tu oczywiście na myśli wyprawy krzyżowe i rozbójnicze podejmowane w imię tych martwych religij, które dziś zaśmiecają świat. Martwa religja jest jak zdechły kot, im jest sztywniejsza i bardziej przegniła tym lepiej da się użyć jako pocisk. Zaburzenia i fluktuacje przez nie wywoływane dają sposobność rozsądnym a upartym ludziom do podjęcia próby ocalenia przy pomocy Mózgu Swiata. Nie usprawiedliwia to zwłoki, ale pozwala nam ożywić nadzieją naszą determinację wypełnienia niezbędnego zadania, którego żąda od nas wspomniana Zjawa z Świata Przyszłości.

Nie wspominałem tu o niczem, coby już nie było próbowane, wypracowane, demonstrowane a nawet moja myśl ogólna, scalenia wszystkiego, jest tylko echem niedawnej przeszłości. Funkcja moja polegała na wypowiedzeniu i podkreśleniu. Bylem czemś w rodzaju speakera rozgłośni radjowej. Właśnie ukończyłem wyliczanie wiadomości. Oto wiadomości z roku 1941 a czyta je wam H. G. Wells. Oto istota tego co świat pracowników naukowych ma do powiedzenia ludzkości. Musimy mówić jasno i zdecydowanie. My, pracownicy umysłowi musimy zdecydować się czy mamy zostać czemś w rodzaju niewolników greckich, wykonujących rozkazy naszych panów-gangsterów i paskarzy, czy też zajmiemy należne nam miejsce jako panowie-słudzy świata.

NAUKA I PORZĄDEK ŚWIATA.

Brytyjskie Stowarzyszenie dla Popierania Nauki odbyło w Londynie w dniach 26-28 września 1941 trzydniową Konferencję poświęconą całkowicie dyskusji nad pracą jednego działu Stowarzyszenia, mianowicie Działu Społecznych i Międzynarodowych Stosunków Nauki. Tematem dyskusji było zagadnienie Nauki w Porządku Świata.

W połowie lutego 1942, British Association ogłosiło sprawozdanie z debat Konferencji, które objęły sześć zasadniczych tematów: 1) Nauka i Rząd, 2) Nauka i Potrzeby Człowieka, 3) Nauka i Planowanie Światowe, 4) Nauka i Postęp Technologiczny, 5) Nauka i Zagadnienie Powojennej Odbudowy, 6) Nauka i Mózg Swiata.

Redakcja " Nowej Polski " zamierza kolejno omówić poszczególne tematy dyskusji Konferencji Brytyjskiego Stowarzyszenia. W numerze niniejszym podajemy zasadniczą rozprawę H. G. WELLS' a pt. " Mózg Swiata." Autor tej rozprawy przewodniczył na sesji Konferencji poświęconej dyskusji tego właśnie zagadnienia i dyskusję zainicjował.

Drugi z kolei mówca J. G. CROWTHER, oświetlił kwestję nauczania publicznego. Stwierdził on, że szkoły dzisiejsze budzą w świadomości ludzkiej siły paraliżujące inteligencję człowieczą: w ten sposób wiodą narody ku samobójstwu. W ciągu ostatnich 25 lat całe państwa doprowadzone zostały do stanu bezradnego ogłupienia. Automatyzm okresu, który przeżywamy jest bezprzykładny w dziejach. Koniecznym jest zniszczenie tego automatyzmu i umożliwienie ludzkości działania zgodnie z świadomie przyjętymi, rozumnymi zasadami. Jakie jest znaczenie tego współczesnego automatyzmu? Dlaczego narody znajdujące się w całkowicie różnych sytuacjach i posiadające zupełnie odmienne formy rządów, popełniają te same błędy polityczne? Dzieje się to zapewne na skutek jakiejś ukrytej przyczyny, tkwiącej poza zasięgiem zwykłych sił politycznych. Wydaje się, że przyczyną tą jest nieprzystosowanie form społecznych do możliwości technologicznych.

Nowoczesna nauka ofiarowała ludzkości wielką możliwość unifikacji świata. Takie wynalazki jak telegraf, radio, maszyna parowa, samolot sprawiły, że unifikacja ta jest nieunikniona. Urzeczywistnić ją muszą ludzie sami. Ale powstaje pytanie, czy uczynią to zbrodniarze, czy też ludzie uczciwi. Ludzie dobrej woli nie zdołają opanować tej tendencji dziejów, jeśli jej nie zrozumieją. Należy się obawiać, że zrozumienie bez pewnej znajomości faktów będzie niemożliwe.

Według istniejących teorii politycznych, odziedziczonych po starożytnej Grecji lecz i dziś kształtujących nasze koncepcje, posiadanie wiedzy nie jest wymagane od mężów stanu. Zawsze jeszcze uznawana jest zasada, że ludzie sprawujący rządy w cywilizacji technologicznej nie muszą opierać się na przesłankach naukowych.

Najsmutniejszym jednak jest fakt, że niektóre z możliwości nowoczesnej wiedzy lepiej są rozumiane przez niewykształconych zbrodniarzy politycznych, aniżeli przez ludzi dobrej woli, skastrowanych intelektualnie szkołą przestarzałą o kilka stuleci.

J. G. CROWTHER przeprowadza analizę nagród Nobla przynanych uczonym angielskim, niemieckim, francuskim i amerykańskim, by wskazać na zaniedbanie nauki w Anglji. Analiza to wykazuje, że na uczonych niemieckich przypadła największa liczba nagród Nobla. Wartość wyciągniętych w ten sposób wniosków wydaje się jednak wątpliwa, gdyż analiza nie uwzględnia takiego

faktu jak np. że ludność Niemiec jest dwukrotnie większa od ludności Anglji. Końcowe jednak zalecenie Crowthera, jak najdalej idącej popularyzacji nauki, jako warunku utrzymania się cywilizacji, są słuszne. Wyzwolenie genjuszu naukowego państw demokratycznych stworzy tak potężne narzędzie naukowe, że dinosaur nazizmu padnie pokonany.

Profesor MAX BORN obrał za temat swojej rozprawy kwestję krzewienia nowego ładu światowego. Jeśli nauczanie ma się odbywać w sposób zgodny z miejscem, jakie zajmie w nowym ładzie, musimy sobie przedewszystkiem zdać sprawę z tego jaki to będzie ład. Jest to zagadnienie polityki i ekonomji kierowane zasadami filozofiji i religji, a więc zagadnienie nietylko pozostające poza dziedziną wiedzy ścisłej, lecz co więcej zagadnienie zgoła nie naukowe. Nauka bowiem zajmuje się faktami i ich interpretacją. Jej zdolność przepowiadania nieznanych faktów i przyszłych wypadków zależy od powszechnie przyjętych zasad i praw i od znajomości dostatecznych danych. Czy istnieją takie zasady i dane dotyczące zagadnienia Ładu Świata? Dla celów praktycznych zgadzamy się wszyscy, co do kierunku, w którym chcielibyśmy widzieć ludzkość postępującą, chociaż nie wiemy czy w tym kierunku pójdzie, mianowicie: w kierunku pokojowej współpracy, możliwie najpełniejszej wolności jednostki, połączonej z możliwie najlepszą organizacją wydajności produkcji, oraz gospodarczego i politycznego bezpieczeństwa, o którym mówi Karta Atlantycka. Jakie ma być nauczanie by wiedza zajęła odpowiednie miejsce w nowym Ładzie Świata? Pierwszym warunkiem jest niezależność i swoboda naukowego myślenia. Istnieją, dwie skrajne i sprzeczne teorje o roli nauki w życiu społeczeństwa. Ortodoksyjny marksizm uważa naukę za twór warunków socjalnych, kierowany potrzebami społecznymi, bez żadnego innego celu i uzasadnienia poza systematycznym rozwojem praktycznych metod użytkowania przyrody i gromadzenia bogactwa i siły. Druga teorja jest indywidualistyczna: nauka jest ponętnym, szlachetnym zajęciem, jest zabawna, czasami podniecająca, a celem jej jest jedynie zadowolenie tych, którzy się jej poświęcają.

Jeśli jednak nauka miałaby być jedynie narzędziem postępu materjalnego, człowiek byłby tylko zwierzęciem i to bardziej nieszczęśliwym od innych zwierząt—a to z powodu coraz większych komplikacyj utrudniajacyh mu bytowanie: pracy by się wyżywić, żywienia się by pracować. Nauka jest czemś więcej. Jest świadomością człowieka, jego zbiorowym posiadaniem wiedzy o świecie, w którym żyje. Jest to czynnik decydujący, odróżniający człowieka od zwierzęcia i nadający mu godność.

Nie można wyeliminować ze spraw ludzkich ani aspektu zbiorowości ani indywidualności. Nauka, a również i sztuka jest tworem pojedyńczych mózgów i nie da sie oddzielić od jednostki. Równocześnie jednak zarówno nauka, jak i sztuka jest cząstką cywilizacji, która jest dziełem zbiorowym, wytworzonym przez współpracę i użytkowanym społecznie. Musimy pogodzić więc jednostkę z planowaniem, które jest nieuniknione, a planowanie z wolnością prowadzenia badań. Zgódźmy się, że nauka i sztuka są własnoscią, z której jednostka korzysta w miarę uzdolnień. My, uczeni i artyści, musimy się uważać za strażników wspólnego dobra i bronić godności nauki jako niezależnego i swobodnego działania, oddanego jedynie zadaniu poznania struktury świata, w którym żyjemy. Tylko wówczas zajmie nauka należne jej miejsce w naszej cywilizacji, służąc materjalnemu i duchowemu wzbogacaniu a nie niszczeniu życia. Nauka bowiem nie może być tylko narzędziem używanym dla korżyści materjalnych przez ludzi sprawujących władzę.

Profesor JOSEPH NEEDHAM omówił " Aspekty Mózgu Świata w Czasie i Przestrzeni " zwracając uwagę na zdobycze naukowe dokonane w innych cywilizacjach poza europejskich, w pierwszym rzędzie w cywilizacji chińskiej i zakończył pieknym akordem wyznania wiary : Ludzka organizacja socjalna, w której żyjemy—mówił—ma jeszcze daleką drogę przed sobą zanim osiągnie swój ostateczny tryumf. Cała działalność nauki jest manifestacją tej organizacji społecznej, która z kolei jest zarazem tworem ewolucji i gwarancją ewolucji dalszej. Naszym zadaniem jako uczonych jest zbadanie sposobu, przy pomocy którego możemy stać się najskuteczniejszym narzędziem procesu kosmicznego przejawiającego się w ewolucji społeczności ludzkiej, bez względu na to czy kiedyś zginiemy dla tej sprawy, składając świętą i żywą ofiarę, pamiętni tych wszystkich dobrodziejstw, które przysporzyli nam męczennicy dawnych pokoleń. Otaczają nas dziś nietylko zastępy tych świadków w procesie czasu, ale idą ku nam z tamtego krańca świata mężowie starożytni, meżowie innej barwy skóry, bracia z krwi naszej, składający świadectwo prawdzie o solidarności ludzi i jednocie Mózgu Swiata.

Profesor J. A. LAUWERYS mówił o organizacji szkolenia nauczycieli i konieczności radykalnej rewizji programów szkolnych pod kątem widzenia zużycia nowoczesnych pomocy, jak radjo i kinematograf. Wszystkie programy szkolne powinny się opierać na naukach przyrodniczych i studjach socjalnych a nie jak dotychczas na nauce języków i przedmiotów czysto literackich.

Profesor J. S. HUXLEY wybrał temat "Naukowy Pogląd na Nauczanie jako Funkcję Socjalną." Wyliczył główne zmiany jakie zajść powinny w nauczaniu współczesnym : 1) zwiększony nacisk na funkcje ewolucyjne oraz zmniejszenie zainteresowania przeszłością, przy wzroście pragnienia urzeczywistnienia idealnych, lecz naukowo ustalonych celów przyszłości, 2) w dziedzinie normatywnej, pobudzanie postawy naukowej i samodzielności myślenia w przeciwstawieniu do biernego przyjmowania tradycyjnych mitów i ortodoksyjnej moralności, 3) uprzystępnienie lepszego nauczania szerszym warstwom społecznym, 4) rozwój świeckiego systemu szkolnego równolegle z systemem wyznaniowym.

W chwili obecnej ludzie zainteresowani funkcją społeczną szkolnictwa uważają za pożądane dalsze zmiany : 1) unifikacja ogólnego systemu szkolnego zarówno pod względem klasowym jak i ideologicznym (wyznaniowo-świeckim). 2)zużytkowanie nietkniętego dotychczas zbiornika energji umysłowej tkwiącej w uboższych warstwach społecznych. 3) Ułatwienia w szkoleniu nowych elit umysłowych, typu kwalifikowanych mechaników i lotników. 4) potrzeba wciągnięcia szkolnictwa do pomocy w stworzeniu silnej pobudliwości społecznej i społecznego samopoczucia, jako podstawy nowoczesnego demokratycznego, ale należycie scalonego społeczeństwa. 5) potrzeba związania narodowych systemów szkolnych wspólną podstawą szkolnictwa światowego.

Aby uniknąć konfliktu między silnym lokalnym samo-stanowieniem kulturalnym i odrębnym samopoczuciem a świadomością ogólno światową, Huxley proponuje : 1) lepsze szkolenie naukowe i wprowadzenie idei kwantytatywnych. 2) przyjęcia międzynarodowego języka pomocniczego i innych ułatwień dla międzynarodowej wymiany myśli, proponowanych przez Wells'a. 3) zarzucenie rzekomego uniwersalizmu klasycznego typu szkolenia klas wyższych na korzyść systemu relatywistycznego, t.z. typu związanego z potrzebami społecznymi danego społeczeństwa w danym okresie, lecz wzbogaconego przez dodanie mu podstawy uniwersalnej, w drodze dalszego związania go z

wspólnymi acz ewolującymi ideami i dążeniami naukowego humanizmu. 4) Świadome popieranie przez państwo działalności kulturalnych.

Huxley w dalszym ciągu rozważa to zagadnienie funkcji socjalnej szkolenia indywidualistycznego, a nie społecznego z punktu widzenia pojedynczego obywatela, dla którego system szkolny jest przeznaczony. Najważniejszym zadaniem szkolnictwa nie jest zadanie intelektualne, lecz moralne i emocjonalne, którym jest modyfikacja rygorystycznych represji w świetle tolerancji i rozumu.

Zagadnienie więc musi być rozwiązywane obustronnie. Jeśli warunki socjalne są tego rodzaju, że budzą uczucia unicestwienia i lęku, lub ich przeciwieństwo kompensacyjne w postaci nietolerancyjnej arogancji i brutalności, żadna poprawa systemu nauczania nie przyda się na nic. W tym też leży waga środków dyskutowanych na Konferencji, zmierzających do zwiększenia stabilizacji, bezpieczeństwa i usunięcia groźby chorób, ubóstwa i wojny. Żadne z tych zagadnień jadnak nie da się rozwiązać w sposób zadawalający, jeśli będziemy się nadal opierać na ortodoksji i tradycji kierując wzrok ku przeszłości. Możliwa jest tylko metoda naukowa należytego rozgraniczenia celów wraz z nieustającymi badaniami i eksperymentacją.

ANDRZEJ ZAMOYSKI poruszył zagadnienie roli przypadającej ludziom nauki w dzisiejszym świecie.

Jeśli chodzi o konflikt między humanistą a człowiekiem nauki, wydaje się, że obowiązkiem uczonego jest przyjęcie szerszych horyzontów humanisty i wypełnienie tej luki, której humanista nigdy nie zdoła wypełnić poprostu dlatego, że zupełnie nie zna dokonań nauki. Bez tej wspaniałej fuzji, bez rewolucji intelektualnej, wszelkie projekty planowania staną się monstrualnymi organami tak dla nas wstrętnej, zorganizowanej tyranji biurokratycznej. Jeśli uczeni mają nadać życie tej maszynie, muszą wziąć udział w odbudowie i przemawiać nietylko do wiedzy i intelektu, ale i do uczucia.

Wreszcie DR. J. SKLADAL przedłożył Konferencji szczegółowy projekt Akademji Międzynarodowej, która zastąpiłaby niewystarczający Komitet Współpracy Intelektualnej przy Lidze Narodów. Musiałaby to być stała instytucja międzynarodowa oparta na kooperacji uczonych, myślicieli, i artystów całego świata. Mogłaby nią być międzynarodowa, lub conajmniej europejska Akademja, która stałaby się prawdziwym laboratorjum najlepszych mózgów do walki z wojną, ubóstwem wśród obfitości, do walki o godność człowieka przeciwko wszelkim formom faszyzmu, do walki o świadomość europejską i obywatelstwo światowe przeciwko politycznej i gospodarczej anarchji.

(F.B.C.)

PISARZE I WOJNA

W październikowym numerze pisma artystyczno-literackiego Horizon ukazała się odezwa podpisana przez szereg wybitnych przedstawicieli młodej literatury i poezji angielskiej, będąca dowodem głębokiej ewolucji, jaka zaszła w pojęciach intelektualnej lewicy.

Grupa literacka lat 30-ych w Anglii—Stephen Spender, Auden, Ischerwood i inni—była grupą o żywych zainteresowaniach politycznych. Prawie wszyscy jej członkowie byli mniej lub więcej " sympatykami " komunizmu i sztuka ich była w znacznej mierze sztuką propagandową, a w każdym razie sztuką ściśle związaną z życiem społecznem. Wojna domowa hiszpańska była dla wszystkich tych

pisarzy niezmiernie głębokiem przeżyciem i antologia poezji, wojnie tej poświęconych, zawierałaby napewno najcelniejsze osiągnięcia poezji angielskiej w ostatniem dzięsięcioleciu.

Początek wojny obecnej zdezorjentował tych pisarzy zupełnie. Pakt rosyjsko-niemiecki odstręczył ich od komunizmu, jednocześnie jednak nie potrafili oni wykrzesać z siebie tej wiary, która jedynie mogłaby stać się elementem poetyckim. Poeci i literaci albo milczeli, albo też nawrócili do poezji czysto lirycznej, lub czysto intelektualnej.

Trafnie sytuację tę scharakteryzował jeden z najciekawszych młodych poetów Anglii, Day Lewis, w następującym wierszu, datującym z roku 1940 a zatytułowanym ; "Gdzie są poeci wojny ? "

They who in panic or mere greed
Enslaved religion, markets, laws
Borrow our language now and bid
Us to speak up in freedoms cause.

It is the logic of our times,
No subject for immortal verse
That we who lived by honest dreams
Defend the bad against the worse.

Powoli jednak nastawienie poczynało się zmieniać. Bombardowanie Londynu poruszyło serca. Książka Johna Stracheya w prostych słowach opowiadająca jego przeżycia jako " air raid warden'a " była pierwszym sygnałem tego ponownego zwrócenia się ku rzeczywistości.

Obecny zaś manifest podpisany w imieniu szeregu młodych pisarzy " zarówno w wojsku, jak i zajętych inną pracą o znaczeniu narodowem " przez Artura Calder Marshall, Cyrila Connolly, Bonamy Dobree, Toma Harrisona, Artura Koestlera, Aluna Lewisa, George Orwella i Stephene Spendera głosi :

" Rola pisarza dzisiaj, gdy niemiecka maszyna wojenna zagraża każdemu wolnemu narodowi i każdemu wolnemu mężczyźnie czy kobiecie jest rzeczą najwyższej wagi.

Pisarze twórczy, poeci, powieściopisarze i autorzy dramatyczni posiadają umiejętność, wyobraźnię i zrozumienie psychologiczne które powinny być zużytkowane w równie pełnej mierze jak uzdolnienia dziennikarskie. Pisarze mogą dać z głębią, z żywością niedostępną dla autora reportażu albo artykułu, zrozumienie tego co się dzieje dookoła nas a co nie jest doświadczeniem nas wszystkich.

Każdy z nas żyje w ciasnem kółku i praca traci na znaczeniu albowiem nie jesteśmy w stanie znaleść związku między naszą działalnością a wysiłkiem wojennym. Książka może obudzić tę świadomość. Powieść da obraz, której artykuł dziennikarski nie zatrze nazajutrz. Książka dzięki swemu szerszemu zakresowi może mówić nietylko o tych dobrych rzeczach do których udoskonalenia, należy dążyć, ale i o tem złem, które trzeba naprawić. Książki są mniej podejrzane od gazet, dla których opinia nie ma szacunku.

Na początku wojny panowało przekonanie, że rolą pisarza twórczego jest napisanie dobrej książki o wojnie . . . po skończeniu wojny. Doświadczenie dwuletnie wskazało pisarzom że zadaniem ich jest napisanie dobrej książki o wojnie teraz.

Gdy wojna wybuchła, wielu pisarzy się wahało. Sprawa, o którą walczono nie była dla nich tak jasna jak jasną dla nich była sprawa wojny domowej hiszpańskiej, albo ostatniej wojny europejskiej. Times i inne gazety zapytywały dlaczego wojna obecna nie dała poetów. Poeci pisali essay'e tłumaczące dlaczego nie są w stanie pisać poezji. Front kulturalny pisarzy rozłamał się na skłócone grupki po dwóch, trzech autorów.

Inwazja Rosji skrystalizowała uczucia. Nikt już nie może stanąć na uboczu i nazywać wojnę wojną imperjalistyczną. Dla każdego pisarza wojna jest wojną o możność życia. Bez zwycięstwa sztuka nasza będzie skazana na zagładę.

Rząd także zaczyna się orjentować

że błędem jest uznanie dziennikarstwa, przy ignorowaniu pisarzy twórczych. Rząd przeprowadza rozróżnienie między artystami wojennymi i fotografami wojennymi. Oba zawody są jednako uznawane i funkcje ich są rozgraniczone. Artyści winni wypadkom wojennym nadać wieczne znaczenie estetyczne, fotografowie zajmują się stroną informacyjną i dokumentarną. Byłoby logicznem zastosować tę samą zasadę do dziennikarzy i pisarzy i dać obu kategorjom te same ułatwienia . . .

Oto więc pierwsza zasada : pisarze twórczy powinni mieć te same ułatwienia, co dziennikarze.

Dziennikarza interesuje to, co jest niezwykłe. Zainteresowania pisarza twórczego są znacznie szersze. Życie codzienne, praca codzienna, małe ofiary są nieraz ważniejsze od nadzwyczajnych wypadków, gdyż są bardziej powszechne. Dla niektórych pisarzy największem źródłem natchnienia jest akcja, niebezpieczeństwo i przygoda—ci niech piszą o bombach, o łodziach podwodnych, o desantach, o froncie bojowym, o tych co zbierają niewybuchłe bomby. Inni niech piszą o organizacji, o rozroście przemysłu, o opiece społecznej. Czemuż nie ma wartościowych powieści o budowaniu fabryk zastępczych, o planowaniu służb społecznych wojennych, o, powiedzmy, planach ewakuacyjnych ? Czemu nie ma satyr na tych co gromadzą zapasy, na paskarzy ? Czemu nie ma powieści o życiu w wojsku ? Albowiem ci pisarze, którzyby mogli takie powieści pisać albo mają znajomość przedmiotu, ale nie mają czasu, albo też mają czas bez znajomości przedmiotu.

Przed wojną zarówno wydawcy jak pisarze byli w stałem poszukiwaniu tematów dla książek. Dzisiaj tematów jest mnóstwo. Ale autor albo nie może dostać urlopu z wojska dla napisania książki, albo nie może dostać od Ministerstwa Informacji przepustek, koniecznych dla zebrania materjału. Stąd wypływa druga zasada : pisarze twórczy powinni być zużyci dla interpretowania świata wojennego w celu zbudowania na nowo jedności kulturalnej i koordynacji uczuciowej wysiłku wojennego. Długofalowa polityka twórczego pisarza musi być obliczona na dalszą metę ; na krótką metę zwycięstwa może on jednak służyć potrzebom narodu. Artykuły dziennikarskie są efemerydami o lokalnem znaczeniu. Książki żyją dłużej i mają szerszy zasięg. Książki mogą powiedzieć Amerykanom, Australijczykom, Kanadyjczykom, Hindusom, Rosjanom o wojnie w Wielkiej Brytanji, podczas kiedy większość artykułów dziennikarskich będzie dla nich niezrozumiała.

W zastosowaniu naszej pierwszej zasady (t.j.że twórczy pisarze powinni otrzymać te same ułatwienia, co dziennikarze) twierdzimy, że powinno się zaprosić do Wielkiej Brytanji poetów, powieściopisarzy, i autorów dramatycznych amerykańskich i rosyjskich, ażeby mogli tu znaleść tematy dla swych dzieł i tłumaczyć swym ziomkom co się tu dzieje. Podobnie pisarze brytyjscy powinni być wysyłani do obu Ameryk, do Dominiów i do Rosji, aby móc w poematach, powieściach, nowelach i dramatach powiedzieć, co się tam dzieje. Istnieje wzajemna wymiana pomocy materjalnej, istnieją przymierza polityczne i wojskowe, jest wspólna determinacja zniszczenia faszyzmu i nazizmu. Tak samo powinna istnieć wolna wymiana kulturalna pisarzy twórczych, aby już podczas wojny doprowadzić do tego wzajemnego zrozumienia międzynarodowego które jest głównym celem pokojowym. Reasumując proponujemy:

1) Utworzenie oficjalnej grupy pisarzy wojennych.

2) Danie pisarzom ułatwień koniecznych dla napisania książek.

3) Poparcie i przyśpieszenie międzynarodowej wymiany pisarzy.

4) Odpowiednia liczba tych pisarzy winna być wzięta z grup najaktywniej zaangażowanych w wojnie."

Jak wynika z tego manifestu młoda litreatura brytyjska nietylko głosi konieczność zwrócenia się do rzeczywistości współczesnej, jako do źródła natchnienia, ale wyraźnie zupełnie żąda od pisarzy, aby sztuka ich stała się sztuką wojującą, żąda od nich aby uznali własną twórczość artystyczną za część wysiłku wojennego narodu.

I to jest dowodem jak daleko już sięgnęło zrozumienie, że wojna obecna jest wojną totalną.

(c.p.)

PLEBISCYT KONTYNENTU

Od czerwca roku obecnego "Left News," organ wydawany przez Victora Gollancza dla członków Left Book Club ma dodatek pod tytułem "International Socialist Forum." Redaktorem tego dodatku jest socjalista austrjacki, Juliusz Braunthal, a "Komitet doradczy" stanowią Louis de Brouckere, Harold Laski, Louis Levy, Ryszard Loewenthal, Oskar Pollak, Hans Vogel. Znaczy to, że w redakcji obok jednego Anglika, jednego Belga i jednego Francuza znajduje się dwóch Niemców i dwóch Austrjaków.

Nic więc dziwnego, że gdy prezes Labour Party James Walker, otwierając konferencję Labour Party powiedział: "Nie jestem z tych, którzyby rozróżniali naród niemiecki od rządu niemieckiego. Naród niemiecki jest równie odpowiedzialny za postępki swego rządu jak i sam rząd," "Forum" natychmiast zareagowało. Sam naczelny redaktor, Braunthal, w bardzo zresztą umiarkowanym i zręcznym artykule starał się udowodnić, że naród niemiecki jest tak samo podbitym narodem, jak naród francuski, że polityka oparta na uznaniu winy narodu niemieckiego za to co się dzieje uniemożliwiłaby stały i sprawiedliwy pokój.

W wrześniowym numerze Walker odpowiedział na argumentację Braunthala. Stwierdził, że niepodobna porównywać narodu niemieckiego do innych podbitych narodów albowiem pomijając już to, że w krajach podbitych rządzi obca armia, Niemcami zaś rzadzą sami Niemcy, faktem jest, że wszędzie oprócz Niemiec istnieje silny opór przeciwko rządom okupantów. Stwierdził dalej, że teorja Herrenvolku nie jest wymysłem Hitlera a dawną teorją niemiecką. "Nie wierzę pisał Walker—że wszyscy Niemcy są źli, ale wierzę, że większość z nich całem sercem popiera okrucieństwa popełniane dziś w Europie." I dodał; "Ktokolwiek dziś występuje w obronie Niemiec działa w ten sam sposób jak ci, co na usługach rządu niemieckiego po całym świecie starają się usilnie o wpłynięcie na narody innych kontynentów by nie weszły do wojny przed zupełnem podbiciem Europy przez Niemcy."

Na skutek tego listu Walkera redakcja "Forum" postanowiła szeroko otworzyć swe łamy dla zasadniczego przedyskutowania problemu niemieckiego. W październikowym numerze ukazały się artykuły dwóch socjalistów angielskich H. N. Brailsforda i Aubrey Douglasa Smitha. Oba te artykuły były obroną narodu niemieckiego, przyczem Brailsford nawet Stresemanna uważa za szczerego zwolennika Ligi Narodów. Obaj autorzy uważają demokrację niemiecką za sprzymierzeńca w wojnie obecnej.

Do tego momentu dyskusja była mało interesująca, zarówno bowiem przeciwieństwa w ujmowaniu sprawy niemieckiej między większościa robotniczą Labour Party, stanowisko której reprezentuje Walker, a lewicą intelektualną tejże partji, zahypnotyzowaną liczbą głosów oddanych przed dojściem do władzy Hitlera na socjalistyczną partje niemiecką, jak i argumenta lewicy nie są niczem nowem. W numerze listopadowym jednak doszedł do głosu kontynent Europy—i te wypowiedzi

były bardziej interesujące. " Forum" zwróciło się do czterech pisarzy kontynentalnych ; byłego prezesa drugiej Miedzynarodówki i weterana socjalizmu belgijskiego, Louis de Brouckere'a, do byłego ambasadora Hiszpanii w Berlinie, Louisa Araquistaina, do byłego redaktora dyplomatycznego Populaire, Louis Levy, i do Czesława Poznańskiego. I okazało się że Belg, Francuz i Polak mówią jednym głosem. De Brouckere rozprawia się z tymi Niemcami, którzy twierdzą, że są podbici przez Hitlera : "W głębi serca zapewne myślą, że to Rosjanie, albo Brytyjczycy, Sprzymierzeni albo Stany Zjednoczone (których brak energii potępiają) powinni uwolnić świat od Hitlera, ale nigdy Niemcy, którzy powinni jedynie czekać aż kto inny za nich to zrobi. Podług nich rola demokratycznych Niemiec rozpocznie się dopiero potem. Rozpoczną one swe życie nie pozwalając nikomu wtrącać się do niego, nie dopuszczając nawet do tego, by kto sprawdził czy te nowe Niemcy przedsięwzięły środki zabezpieczające świat przed nową katastrofą. Podług nich Niemcy poprostu powinny wrócić do swej dawnej roli, oczywiście roli przodującej z racji wyższości geniuszu niemieckiego i organizacji niemieckiej, z racji " kultury " Niemiec (cokolwiek by to słowo oznaczało). Wtedy Niemcy roztoczą nad Europą a może nad całym światem dobroczynną opiekę, o wiele milszą od tej, o której marzy Hitler. Będą uczyły resztę świata sekretów wiedzy technicznej, a może także jak zdobyć i zachować wolność."

De Brouckere stwierdza dalej ; nie można uwolnić narodu niemieckiego od odpowiedzialności, stwierdza, że Niemcy nie dorosły jeszcze do praw narodu wolnego. " Proszę mych niemieckich przyjaciół, by mnie źle nie zrozumieli. To nie oskarżenie. To poprostu stwierdzenie smutnego faktu równie tragicznego dla nas jak dla nich, faktu za który i my i oni cierpimy. Czyż to nie jeden z największych synów Niemiec Karol Marks pisał o swej ojczyźnie—którą głęboko kochał—że pozostała " poniżej poziomu historji."

De Brouckere nie przeczy że mogą być i są zapewne inne lepsze Niemcy, Niemcy te jednak dla różnych powodów historycznych zawsze były i są niezmiernie słabe, nie potrafiły się przeciwstawić siłom reakcyjnym, które w Niemczech rządziły. Po zniszczeniu tych sił, może przy pomocy zwycięzców, te inne Niemcy nareszcie dokonają rewolucji, która je uczyni dorosłym narodem. "Ale zanim ten szczęśliwy dzień nadejdzie ? Do tej pory świat zewnętrzny będzie musiał uzupełnić niewystarczającą siłę demokracji niemieckiej.

Jakżeż to—powiedzą niektórzy—Czy to oznacza, że pan chce by Niemcy pozostały pod kontrolą polityczną reszty świata ? Odpowiedź moja jest jasna ; " tak, w takich granicach i na taki czas, jak to się okaże potrzebne dla sprawiedliwej organizacji życia międzynarodowego.

Spieszę dodać że granice te będą w znacznej mierze zależały od okoliczności. To zresztą winno się stosować do wszystkich narodów."

I de Brouckere kończy ; " Te inne Niemcy źle by postawiły sprawę, gdyby przedewszystkiem żądały zaufania. Ich rzeczą będzie pozyskać zaufanie przez własny tym razem wysiłek, taki wysiłek, by w miarę czasu kontrola zewnętrzna mogła być ograniczona a w końcu stała się zbyteczna."

Louis Araquistain jeszcze mocniej stawia sprawę. Przypomina że przywódca socjalistów niemieckich, Wels, 21 marca 1933 " pokornie ofiarował nacjonalistom współpracę związków zawodowych." Opowiada jak u niego, jako u ambasadora Hiszpanii zjawił się z polecenia Hitlera były socjalistyczny prezes parlamentu Loebe, by prosić o powstrzymanie ataków na Hitlera w socjalistycznych pismach hiszpańskich. Zdaniem Araquistaina Niemcy

nie są narodem współczesnym mimo wspaniałe osiągnięcia techniczne. Tkwią jeszcze w średniowieczu pańszczyzny i wojen najemnych. Niemcy zawsze będą posłuszne władzy, jakakolwiek by była. I Araquistain konkluduje ; " Jeżeli Hitler upadnie, jak tego się spodziewamy, to upadnie wbrew Niemcom, dzięki reszcie Europy i Ameryce, tak jak Niemcy feodalne poczęły upadać dzięki Napoleonowi, jak Hohenzollernowie upadli znowu dzięki Europie i Ameryce. Wszystkie wielkie przemiany historyczne Niemcy zawdzięczały światu zewnętrznemu. Co za gwarancję ma jednak świat, że za lat dwadzieścia lub trzydzieści nowy Hitler znowu nie będzie podniesiony na tarczy—i że znowu naród niemiecki nie będzie mu posłuszny? Oto pytanie, na które Niemcy muszą odpowiedzieć słowami— i czynami."

Louis Levy tak samo stwierdza pełną odpowiedzialność Niemców za Hitlera. Tak samo uważa, że upadek Hitlera nie rozwiąże jeszcze zagadnienia Niemiec. I mówi w konkluzji : " Nie życzę sobie dla mego kraju aneksji jednego metra kwadratowego terytorjum niemieckiego. Po wojnie jednak powstaną kwestje bardzo delikatne. Istotnem jest zupełne rozbrojenie Niemiec. . . . Hegemonia Prus musi także być zniszczona. Niemcy jutrzejsze winny być republiką federacyjną. . . .

Niema innego rozwiązania zagadnienia Niemiec, jak rozwiązanie międzynarodowe. Narody demokratyczne muszą wziąć Niemcy w garść. A raczej, jeżeli to słowo was przeraża, muszą uważać Niemcy za chorego z którym trzeba się obchodzić nader ostrożnie, aby wyzdrowiał. Przyszła organizacja międzynarodowa we współpracy z rządcami Niemiec demokratycznych będzie musiała dopilnować rozbrojenia Niemiec i demokratyzacji całego ich ustroju wewnętrznego z systemem wychowawczym włącznie."

Poznański wreszcie, który również podkreśla, że hitleryzm jest jedynie egzasperacją pewnych cech i prądów, które panowały zarówno w Niemczech cesarskich jak republikańskich, zwraca specjalną uwagę na zupełną jednolitość narodu niemieckiego gdy idzie o sprawę polską i przestrzega przed nawrotem do błędów Locarna.

Tak więc reprezentanci lewicy czterech narodów kontynentu, którzy uprzednio między sobą się nie porozumieli dochodzą do jednego wniosku : że nawet jeżeli po porażce militarnej Niemiec wybuchnie tam rewolucja anty-hitlerowska, to sam fakt powstania nowych " demokratycznych " Niemiec nie będzie jeszcze legitymacją dostateczną dopuszczenia ich na równych prawach do społeczności międzynarodowej. Podkreślają jednomyślnie, że te nowe Niemcy bedą musiały pozostać przez czas pewien pod kontrolą międzynarodową, obejmującą i wychowanie młodzieży. Są jednomyślni co do konieczności rozbrojenia Niemiec. Jest to więc niejako plebiscyt kontynentu europejskiego, plebiscyt lewicy europejskiej. I plebiscyt ten niewątpliwie zaważy, gdy Labour Party będzie musiała na nowo podjąć sprecyzowanie swego stanowiska w sprawie niemieckiej.

CEP.



SPIS RZECZY

STANISŁAW KOT	Str.
Nauka polska w okresie rozbiorów	3–16
ANTONI SŁONIMSKI	
Profesorowie, fragment aktu trzeciego	17–21
KAROL ESTREICHER	
Walka klasyków z romantykami	22–32
MARJA KUNCEWICZOWA	
Blitz	33–43
STANISŁAW BALIŃSKI	
Ewangelja szczęśliwych	44
OLGIERD GÓRKA	
Historyczny rewizjonizm — przebudowa polskiego myślenia	45–58
FELIKS TOPOLSKI	
Podróż do Rosji (*z* 17 *ilustracjami autora*)	59–81
MARJA PAWLIKOWSKA	
Dla Minotaura	82
TYMON TERLECKI	
Z listów niewysłanych	83–87
STEFANJA ZAHORSKA	
Polska jesień (*fragment powieści*)	88–104
EUGENIUSZ CĘKALSKI	
Ostatnia jesień	105–119
JERZY KUNCEWICZ	
O pełne wyzwolenie człowieka	120–125
LUDWIK GROSFELD	
Kryzys socjalizmu czy kryzys partji socjalistycznych ..	125–129
ZYGMUNT HŁADKI	
Humanistyczne oblicze filozofji Bergsona	129–140
H. G. WELLS	
Mózg świata	141–152
(F. B. C.)—*Nauka i porządek świata*	152–155
(*c.p.*)—*Pisarze i wojna*	156–158
(cep.)—*Plebiscyt kontynentu*	158–160

4/-

Published by "NOWA POLSKA," 91, Great Titchfield Street, London, W.1, and Printed by STAPLES & STAPLES LIMITED 83-91, Great Titchfield Street, London, W.1.